

Nowy THRILLER autorki
bestsellera *BLIŻEJ, NIŻ MYŚLISZ*

MIAŁA UMRZEĆ

EWA PRZYDRYGA

MIAŁA UMRZEĆ

EWA PRZYDRYGA



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Ewa Przydryga po raz kolejny udowadnia, że w tworzeniu gęstych, wywołujących ciarki na plecach thrillerów psychologicznych, nie ma sobie równych! Pozycja obowiązkowa dla miłośników mocnych wrażeń. Nie możecie przejść obok niej obojętnie. Mistrzostwo!

Małgorzata, ladymargot.pl

Ewa Przydryga tworzy historie, które dosłownie wgryzają się w czytelnika i zostawiają po sobie wyraziste, emocjonalne blizny. Tym razem autorka pokazuje, jak wielki wpływ na budowanie własnej tożsamości mają ukryte w nas same demony przeszłości i jak niebezpieczna okazuje się droga do ich poskromienia. To historia, która po przeczytaniu przestaje istnieć tylko na papierze – we mnie będzie tkwiła już na zawsze.

Ewelina, [@bookini.w.poscieli](https://bookini.w.poscieli)

Sięgając po tę powieść, możecie być pewni dwóch rzeczy. Po pierwsze, szybko się od niej nie oderwiecie. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że odłożycie ją dopiero, kiedy poznacie jej zakończenie. Po drugie, długo o niej nie zapomnicie. To przejmująca, pełna tajemnic i napięcia powieść, która uzależnia i fascynuje. Musicie ją przeczytać!

Natalia, [@prostymislowami](https://prostymislowami)

Intrygująca fabuła, unikatowy klimat, nietuzinkowi bohaterowie i akcja, która z każdą stroną pochłania coraz bardziej. *Miała umrzeć* to pozycja absolutnie nieodkładalna. Autorka po raz kolejny udowadnia, że wśród twórców mrocznych historii jest w czołówce. Ja jestem zachwycona i gwarantuję, że Wy również będziecie!

Gabriela, [@gabriela_setla_](https://gabriela_setla_)

Porywa od pierwszych stron niesamowitym, niepokojącym klimatem i dręczącą niewiadomą, która domaga się ujawnienia. Zahipnotyzowała mnie do tego stopnia, że nie wyzwolę się szybko spod jej wpływu. Ba, wcale nie chcę i już czekam na więcej.

Jolanta, @czytanie.na.platanie

Najnowszym thrillerem psychologicznym Przydryga znów udowadnia, że na gatunkowym podium zajmuje należne sobie miejsce. Mistrzowsko budowane napięcie i gorzki smak tajemnic, który czujemy na języku aż do ostatniej strony.

Sylwia, @_bookini_

Niebezpiecznie wciągająca historia o przetrwaniu w rzeczywistości, w której próżno szukać pomocy u bliskiej osoby. Czuję, że to będzie hit tej jesieni! Gorąco polecam!

Barbara, @_my_world_book_

W tej powieści smutek skrada się wzdłuż kręgosłupa, oplata i zasiewa niepokój. Nieunikniona tragedia wisi w powietrzu... Polecam!

Zuza, @zuzamaniek

To książka pełna smutku i bólu. Pokazuje jak destrukcyjne dzieciństwo kształtuje naszą przyszłość i jak ciężko poradzić sobie z traumą, kiedy spoczywa na nas odpowiedzialność za najbliższych. Ewa Przydryga stworzyła powieść, którą powinien przeczytać każdy rodzic.

Joanna, @panda_zksiazka_

Przydryga nie oszczędza ani swoich bohaterów, ani czytelników i funduje prawdziwy armagedon emocjonalny. *Miała umrzeć* to rasowy thriller psychologiczny, który osacza, przynębia i przeraża.

Anna, @tylkoskonczerozdzialpl

Powieść o rodzinnej tajemnicy, poczuciu osamotnienia, potrzebie akceptacji, a także potwierdzeniu własnej tożsamości. Wszystko to owinięte szczelnie w wielki smutek i niepokój. To historia, która zostaje z czytelnikiem na dłużej.

Paulina, @thesmallest_puma

Gęsta od kłamstw klimatyczna opowieść o grzechach z przeszłości i konsekwencjach zbyt pochopnie podjętych

decyzji. Zaskakujący finał idealnie wpisuje się w konwencję gatunku z pogranicza kryminału i thrillera psychologicznego.

Tomasz, @nowalijki

Hipnotyzująca i poruszająca opowieść o poszukiwaniu prawdy i własnej tożsamości. Autorka po mistrzowsku wnika w bohaterów i przemawia ich językiem, przez co powieść staje się wiarygodną lekcją.

Agnieszka, @aga.bookish

Autorka wprowadziła mnie w trans, dosłownie. Strony przeleciały nawet nie wiem kiedy. Jest to wciągający, pełen tajemnic thriller, który pokazuje, że życie nastolatków potrafi być bardzo bolesne. Thriller, który pochłania się błyskawicznie. Polecam.

Ewelina, @evelina.czyta

Co to była za historia! Emocjonująca i niepokojąca już od pierwszych stron! To właśnie dla niej zarwałam noc i warto było, bo zakończenie sprawiło, że zbierałam szczepę z podłogi! Jest to najlepsza książka Ewy Przydrygi. Polecam!

Agnieszka, @__pinklife

Intrygujący początek, zawrotne tempo i tajemnica to niejedyne atuty tej powieści. Ewa Przydryga w szczytowej formie.

Katarzyna, @herbatkowa.czyta

Uzależniająca. Do ostatniej strony trzyma w napięciu. Nagłe zwroty akcji mogą przyprawić Was o zawrót głowy! Nie przegapcie tej historii!

Magdalena, @czytamtamitu

Ewa Przydryga po raz kolejny zachwyca i stawia nas na ostrzu noża! Strona po stronie będziesz szukał rozwiązania, ale pamiętaj... Najciemniej będzie zawsze pod latarnią.

Aleksandra, @livremacabre

Królowa polskiego thrillera psychologicznego, po raz kolejny stworzyła historię naznaczoną mrokiem i tajemnicami

z przeszłości. Nie odłóżcie tej książki, dopóki nie poznacie zakończenia. *Miała umrzeć*, to must have tej jesieni!

Dagmara, @books.cat.tea

Ewa Przydryga mistrzowsko myli tropy, nie pozwalając do końca przejrzeć intrygi, w której ludzkie życia padają niczym kostki domina. Nieprzewidywalny, intrygujący thriller psychologiczny. Wchodzisz w tę grę?

Wioletta, @w_i_o_l_a_a__

Ewa Przydryga po raz kolejny udowadnia, że przerażające ludzkie historie najczęściej toczą się obok nas. Ten thriller nie pozwala zasnąć, wciąga niczym najlepszy seans filmowy, a do tego szokuje końcowym twistem. Ona miała umrzeć, a wy musicie przeczytać tę książkę!

Wioletta, subiektywnieoksiazkach.pl

Osobliwa i wstrząsająca historia pełna bólu, strachu i koszmarów, które angażują czytelnika do granic możliwości i ukorzeniają się w pamięci na długo. Duszna atmosfera i psychodeliczny klimat tej historii to kwintesencja thrillera psychologicznego.

Natalia, @Girlinthebooks

To coś zupełnie innego! Nie odłóżysz tej książki, dopóki nie poznasz zakończenia tej kryminalnej zagadki.

Natalia, @rudy_lisek_czyta

Ewa Przydryga w formie. W nowej powieści mistrzowsko odkrywa przed czytelnikiem tajemnice, łącząc wszystko w kolejną intrygującą historię.

Katarzyna, @kasia_i_ksiazki

Ewa Przydryga jest mistrzynią w tworzeniu niepowtarzalnej atmosfery, pełnej niepokoju i domysłów. Tę historię wprost się pochłania, a stopniowo narastające napięcie prowadzi do zaskakującego finału. Zdecydowanie polecam!

Paulina, @pszczola_czyta

Miała umrzeć to klasyka gatunku. Autorka powraca z mocnym, intrygującym i śmiało mogę powiedzieć, najlepszym kryminałem tego roku! Historia wciąga już od pierwszych stron i nie pozwala odłożyć książki przed przeczytaniem ostatniego rozdziału. Ewa Przydryga, to zdecydowanie top of the top polskich pisarzy kryminalnych. Polecam!

Julita, @mojzapachksiazki

Nikt nie potrafi pisać o bólu i stracie tak, jak robi to Ewa Przydryga. W swojej książce przekroczyła granicę wytrzymałości swoich bohaterów, a czytelnika pozbawiła tchu niejednym zadziwiającym zwrotem.

Marta, @misera_ble

Przydryga zabiera nas w pełną tajemnic i niebezpiecznych sekretów podróż, której finał totalnie was zaskoczy. Wciągająca, pełna napięcia i intryg fabuła sprawia, że od tej książki trudno się oderwać. Fani mrocznych thrillerów będą zachwyceni!

Agata, @agata.recenzuje

Utwierdziłam się tylko w przekonaniu, że naprawdę dobre thrillery – to koniecznie u Ewy Przydrygi! Historia wciąga od pierwszej strony, a cała fabuła posiada wszystko, co powinien posiadać dobry thriller! Miłośnikom mrocznych thrillerów polecam najnowszą książkę Ewy *Miała umrzeć*! Jest to istna jazda bez trzymanki, gwarantuję!

Daniella, @z0uz.a

Dobrze przemyślana intryga, świetnie ukazana psychologiczna analiza postaci i zaskakujące zakończenie powodują, że ta książka jest po prostu nieodkładalna.

Karolina, @karola_pod_lasem_czyta

Miała umrzeć to świetnie skonstruowany thriller psychologiczny, który wciąga od pierwszej strony. Mroczny, niepokojący i tajemniczy. Nie odłożysz, póki nie dotrzesz do końca. Świetna powieść.

Katarzyna, @zaczytany_bebenek

Dawno nie czytałam książki, w której emocje są tak prawdziwie pokazane. Przeszywa nas niemal namacalny ból, lęk, strach przed przeszłością i tym, co przyniesie nowy dzień. Serdecznie polecam.

Magda, @tu.zabookowana

Projekt okładki: *Tomasz Majewski*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna: *Sylwia Rogowska-Kusz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lilianna Mieszczńska*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© Igor Ustynskyy/Moment/Getty Images

© by Ewa Przydryga

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2020

ISBN 978-83-287-1535-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2020

Dla Sarsy.

Mam aż nadto powodów.

Kiedy rozum śpi, budzą się potwory.

FRANCISCO GOYA

Spis treści

ADA

LENA

ADA

LENA

ADA

LENA

ADA

LENA

ADA

LENA

LENA

LENA

LENA

LENA

ADA

LENA

LENA

LENA

ADA

LENA

ADA

LENA

Epilog

Podziękowania

ADA

21 października 1998 r.

Nie ma jeszcze szesnastej, gdy ponury od samego rana dzień zaczyna przechodzić w popołudniową szarówkę. Tym lepiej. Ze względu na zawartość mojego plecaka wolę pozostać niewidzialna.

Zastaję matkę w salonie wyciągniętą jak zwykle na skórzanej sofie. Jest w jedwabnej podomce. Nie jestem pewna, czy w ogóle dzisiaj była ubrana. W lewej ręce trzyma pilota, dziabiąc w niego błyszczącym czerwienią paznokciem, w prawej kieliszek z jakimś alkoholem. Kołysze nim, nie roniąc ani kropelki. Na blacie leży słuchawka, z której dobiega pełna współczucia paplanina jednej z koleżanek. Płaczliwy jazgot podobnej do niej frajerki. Matka jest zwrócona do mnie plecami. Wsłuchuje się w te słowa pocieszenia i szłocha. Potrząsa maniakalnie głową na znak niezgody albo wielokrotnego zaprzeczenia. To też ostatnio jej stały rytuał, a mnie nie jest jej już nawet żal.

Kilka dni temu nakryła starego na kolejnej w tym roku zdradzie i nie byłoby w tym nic nowego, gdyby nie to, że tym razem przy okazji awantur i wzajemnych oskarżeń pojawiło się słowo „rozwód”. Wypowiedziane przez ojca kategorycznie i wielokrotnie. W normalnym odruchu powinnam pewnie się zmartwić, że rozwód zniszczy naszą rodzinę, ale od dawna w tym domu brakowało spokoju i poczucia bezpieczeństwa. A tym bardziej miłości. Wiem, to brzmi okrutnie, ale zdążyłam się już z tym oswoić.

Odkąd pamiętam, ten dom tworzyły wyłącznie puste ściany w modnych kolorach i wzorach, inspirowanych zagranicznymi magazynami z wyszukany designem. Wystrój zmieniał się równie często, co przedmioty kupowane przez starego

w domach aukcyjnych, kiedy był przy forsie, zwykle tuż po tym, jak ubijał lewe interesy. Wolałam nie znać szczegółów.

Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek w domu pachniało świeżo upieczonym ciastem, raczej forszą i dymem papierosowym maskowanym przez drogie perfumy starych. Zastanawiam się, co dobrego mogłabym powiedzieć o swoim dzieciństwie, ale w głowie mam tylko pustkę.

Na skórze zdartej z grzbietu jakiejś nieszczęsnej zebry, jednym z ważniejszych i najobrzydliwszych trofeów mojego ojca, służącej u nas za dywanik, walają się dziś zabawki i okruchy tostów. Przez metalowe oparcie krzesła przewieszona są ciuchy matki. Na samej górze tej sterty widzę jej wymięte koronkowe majtki. Mdli mnie na ich widok. Zresztą nie tylko one napawają mnie obrzydzeniem.

Choć matka nie jest chora, obok sofy piętrzy się stos zużytych chusteczek, podłoga klei się od soku, a w zlewie zalega góra zaschniętych talerzy po wczorajszym obiedzie. Nie zawsze jest tutaj taki chlew. A przynajmniej nie wtedy, kiedy o porządek dba nasza gosposia. Tylko że pani Marianna nie przychodzi już od kilku dni, a moje próby względnego ogarnięcia domu i tak spełzają na niczym.

Obok matki kręci się moja czteroletnia siostrzyczka Nela. W rączkach ma pusty kubeczek. Trochę nieporadnie wdrapuje się na sofę, a stamtąd na kolana matki, żeby tylko wreszcie ją zauważyła. Nawet z miejsca, w którym stoję, nieopodal drzwi wejściowych, oddalona od salonu o jakieś dziesięć metrów, dobrze widzę, że małej chce się pić. Za to matka w ogóle nie zwraca na nią uwagi.

– Wychodzę – mówię najwyraźniej, jak potrafię, usiłując przebić się przez jej rozmowę z koleżanką. – Nela chce pić – dodaję głośniejszym głosem.

Czekam jeszcze chwilę w naiwnym przypiływie nadziei, że matka jakoś zareaguje, wstanie, może nawet spyta, dokąd idę albo kiedy wrócę. Ale zarówno ja, jak i Nela pozostajemy dla niej niewidzialne.

– Mamo! – próbuję jeszcze raz. Tym razem odkłada pilota i obojętnie kiwa dłonią na pożegnanie. Wolną ręką odgania od siebie małą, jak odgania się brzęczącą nad uchem muchę. Twarzyczka mojej siostry czerwienieje, do oczu natychmiast napływają jej łzy.

– Zajmij się nią! – wydaje mi komendę matka, nie odrywając wzroku od ekranu telewizora. Jestem na nią wściekła, ale nie mam ochoty na słowne przepychanki, bo wiem, że prędzej czy później rozpętają piekło. Brak mi na to czasu i ochoty.

Nie zdejmuję plecaka i biorę na ręce siostrę. Mała trze ze zmęczenia oczy. Spośród okalających pucułowatą twarzyczkę kręconych blond włosów spoglądają na mnie jasnoblękitne oczy, czyste i ufne. Jest jak prawdziwy dar, wyrwany z innej rzeczywistości elf, nieskażony całym tym syfem, który nas otacza. Nie pozwolę na to, by ją zaniedbywano, a tym bardziej na to, by kiedykolwiek czuła się niekochana albo niepotrzebna.

– Już dobrze... – szepczę Neli do ucha, łaskocząc opuszkami palców jej szyję. Mała chichocze.

Kiedy zbliżam się do kredensu i wyciągam z szafki sok, czuję, jak wspina się po mnie i przewiesza przez moje ramię. Jej ciało jest lekkie i giętkie. W mgnieniu oka, kiedy głowa Neli nurkuje pod zieloną, poprzekłowaną naszywkami klapą mojej kostki^[1], jest już za późno. Szklane buteleczki brzęczą obracane jej palcami.

– Hej! – Odstawiam Nelę na podłogę, jej drobne ciało ląduje trochę zbyt gwałtownie. – Mówiłam, że nie wolno tam zaglądać! Nigdy! Słyszysz! – podnoszę głos nie tyle ze wściekłości, co ze strachu.

Cztery szklane butelki wypełnione gęstym lepkiem płynem są na szczęście nietknięte. Metrowy sznur zakończony podwójnym splotem. Zamknięta szczelnie sól. Jednorazowe igły. Nóż do cięcia tektury. Ani ja, ani nikt z mojej paczki nigdy nie używał go zgodnie z przeznaczeniem. Jutowy woreczek, a w nim odręcznie napisana lista celów. W plecaku

jest o wiele więcej rzeczy, na które nie powinna natknąć się ani moja siostra, ani nikt inny.

Czuję na sobie potępiające spojrzenie matki, jej oczy są czerwone i wilgotne od łez. Rzecz jasna nie chodzi jej o zawartość plecaka, a tylko o denerwujący ją hałas.

– No już, przepraszam – mówię spokojniej, gładząc główkę siostry. – Nie chciałam cię przestraszyć. – Wzrok przenoszę na zegar ścienny. Dochodzi czwarta.

Mam jeszcze czas do wyjścia, myślę.

– Chodź, poczytamy bajkę – proponuję i zamykam klapę plecaka.

To chyba dzięki temu szczególnemu rodzajowi zaufania i więzi, które nas łączą, mała szybko się uspokaja. Napełniam jej kubeczek, niosę Nelę schodami na górę, mijając kręte korytarzyki i schowki, tworzące w naszym domu labirynt. W pokoju małej za skrzynią z zabawkami jest ukryte przejście do niewielkiego, sekretnego pokoju, zlewające się z błękitną tapetą w paski. Nie wiem, czy to zasługa wymyślnego planu architekta, czy może jednak nasz ojciec kazał je tak zaprojektować, żeby łatwiej nam było odizolować się i oddalać od siebie.

W pokoju Neli zanurzam się w bezpiecznym, baśniowym świetle kolorowych pluszaków i ciepłych barw rzucanych przez światło projektora. Kiedy się odwracam, by z regału zdjąć książkę, moja siostra siada na dywanie i ze skrzyni wydobywa ulubionego misia z czerwoną kokardą i urwanym uchem.

Znalezienie książki, której przeczytanie nie zajmie nam więcej niż dziesięć minut, trwa tylko krótką chwilę. Ale wystarczy, by mała zajęła się w tym czasie czymś, czym nie powinna. Nadal siedzi na puchatym dywaniku, w rączkach trzyma ciężką brązową butelkę z dobrze znaną mi czarną etykietą. Na moich oczach wylewa trochę płynu na plastikową łyżkę. Oniemiała, przyglądam się, jak podsuwa ją najpierw misiowi, a zaraz potem szmacianej lalce.

– Ale tylko po łyżeczce – przemawia do nich jakimś dziwnym głosem, który w innym świecie najpewniej wydałby z siebie pijany dorosły.

– Co robisz, skarbie? – pytam, kucając obok Neli.

– Daję im syropu, bo wtedy będą lepiej spać.

– Skąd go masz?

– Nie powiesz mamie? Będzie zła...

– Czy mama... – patrzę pustym wzrokiem na etykietę Jacka Daniel'sa, wdychając unoszące się w pokoju gęste opary alkoholu. – Czy mama też daje ci ten syrop, kiedy chce, żebyś poszła spać?

Mała waha się przez chwilę, jakby wyczuwała rosnące we mnie wzburzenie.

– Nie bój się – zachęcam. – Nikomu nie powiem.

Nela nadal wyczuwa podstęp, wierci się niespokojnie, a wprawione w ruch pukle jej złocistych loków rozsypują się po drobnych ramionach. Teraz wydaje mi się jeszcze bardziej krucha i bezbronna niż zazwyczaj.

– Tylko czasem – szepcze.

Ogarnia mnie wściekłość, która każe mi poderwać się z miejsca i pobiec w stronę salonu, do legowiska naszej matki. Inna siła, chyba rozsądek, zatrzymuje mnie zaraz w przejściu, przypominając mi, jak wiele Nela ostatnio przeżyła. Postanawiam oszczędzić jej kolejnej awantury i rozegrać to inaczej. Na szczęście mała nie protestuje, kiedy odbieram jej butelkę z alkoholem.

Kładziemy się na jej łóżku, o wiele za małym, by mogło pomieścić nas dwie, ale obie lubimy tę wymuszoną ciasnotą bliskość. Po przeczytaniu kilku stron bajki mała odpływa w sen, jak zwykle zatapiając przy tym palce w moich włosach, gęstych i grubych. Ta czynność to jej stały uspokajacz.

Musimy wyglądać komicznie – mała dziewczynka w różowym, cukierkowym dresie i jej o trzynaście lat starsza

siostra ubrana w posępne łąchy. Mam na sobie wytartą skórzaną kurtkę i luźne dzinsy z podwiniętymi nogawkami oraz wielkimi łatami na udach. Na stopach noszę ciężkie martensy, a na szyi ręcznie zrobiony choker[2]. W brudnym, chmurnym grunge'u[3] czuję się najlepiej. Co do jednego moi rodzice byli zawsze zgodni – oboje określają ten styl jako menelski. Najbardziej ubolewał nad nim mój ojciec, szczególnie w dniu, kiedy sama ścięłam długie blond włosy, pozostawiając po nich krótką, nastroszoną i odbarwioną wodą utlenioną czuprynę. Nie powiedział mi tego wprost, ale wiem, że nie może pogodzić się z tym, że nie chcę być częścią tego domu, kolejnym przedmiotem, który cieszyłby jego oko.

Raz słyszałam, jak przy wódce mówił jakiemuś kumpłowi: „Ta starsza córka to mi za cholere nie wyszła”. Olałam to. Nigdy nie chciałam być uważana za piękną, a tym bardziej nie mogłam pozwolić, by brano mnie za frajerkę i oceniano tylko przez pryzmat urody. Atrakcyjne regularne rysy matka przekazała mi w genach. To dzięki swojej urodzie złowiła ojca. Tyle że ja nie chciałam być lalunią. Wolałam szokować, wkurzać i zadziwiać. Wolałam, by się mnie obawiano. W ten sposób zyskałam autorytet.

Kiedy upewniam się, że mała zasnęła, wychodzę z jej pokoju i zamykam za sobą drzwi. Z dołu wciąż dobiega mnie głos matki. Wypowiadane przez nią zdania są tak chaotyczne, że dopiero po dłuższej chwili orientuję się, o co tak naprawdę jej chodzi. Nie dziwi mnie nawet, że wciąż leży i zrzędzi. Przestaje dopiero wtedy, kiedy pod nos podsuwam jej otwartą butelkę jacka daniel'sa.

– Co ty wyrabiasz?! Dajesz Neli whisky, żebyś nie musiała się nią zajmować?! – Patrzę na nią oskarżycielsko.

Ku mojemu zdziwieniu matka jest rozluźniona. Na jej ustach pojawia się słaby uśmiech. To pewnie dzięki chlaniu, które weszło w kolejną fazę.

– Oddzwonię – rzuca w słuchawkę, po czym się rozłącza.

Ignorując mnie, poprawia zsuwającą się z ramienia podomkę, wstaje i zataczając się, usiłuje włożyć koronkowe

majtki, które widziałam na oparciu krzesła. Nadal się nie odzywa, ale dobrze wiem, że się pomyliłam. Nie jest rozluźniona, tylko wściekła. Kieliszek z resztką bourbona wciąż trzyma w ręku. Właśnie wtedy dociera do mnie, że w ciągu piętnastu minut matka do połowy opróżniła butelkę bourbona stojącą na stole.

– Zostaw to, do cholery! – Sięgam zdecydowanym ruchem po kieliszek. – W pokoju na górze śpi dziecko! Twoja córka! Postaraj się chociaż jej doszczętnie nie spieprzyć dzieciństwa! – Jestem wkurwiona, potężnie wkurwiona.

Matka nie pozwala go sobie odebrać, kurczowo trzyma się kryształowej nóżki, jakby był jej najcenniejszym trofeum. Jakby to on ją definiował, a bez niego miała być nikim. Nie mogę znieść tego dłużej, wytrącam go jej z rąk. Kieliszek rozbija się o kant szklanego stolika, a zawartość rozlewa się bursztynową plamą na skórze biednej martwej zebry.

Ten widok otrzeźwia matkę.

– Jak śmiesz, ty mała niewdzięczna suko!!! Jak śmiesz w ogóle zwracać mi uwagę!!! – wydaje z siebie chrapliwy, zapijaczony wrzask.

– Ty to nawet suką nie jesteś!!! Nawet suka cię przewyższa, bo ona przynajmniej dba o swoje potomstwo!!!

Nad moją głową natychmiast zawisa ręka matki, ta sama, dobrze znana mi trajektoria. Zamykam oczy, jestem niemal pewna, że zaraz uderzy mnie w twarz. Tym razem jednak zatrzymuje cios w połowie drogi.

Zawartość plecaka. Tylko o niej myślę teraz, kiedy szaleńczo pulsuje mi skroń, a wraz z nią i cała czaszka. W tej cholernej chwili chcę dobrać się do niej jeszcze bardziej. Ale wiem, że wszystko ma swój czas i miejsce. Dzięki Bogu, to mnie powstrzymuje.

W domu jestem jak zaszczute podatne na ciosy zwierzę. W szkole i poza nią, kiedy przewodzę swojej bandzie, jest zupełnie inaczej. W jakiś cudowny sposób moje rany

zabliźniają się w mgnieniu oka, czyniąc mnie wtedy niezniszczalną.

Naprawdę boję się zostawiać teraz siostrę pod opieką matki, lecz tam, dokąd idę, nie mogę jej ze sobą zabrać. Bardziej obawiam się, że jeśli zostanę, zrobię coś naprawdę złego. Odwracam się, żeby ochłonać, zbieram się do wyjścia ze świadomością, że za godzinę do domu wróci ojciec i zaopiekuje się moją siostrą. O ile wcześniej nie rozpęta się tu piekło.

Wyjść. Muszę wyjść. Wyjść stąd natychmiast.

Za oknem ledwie rysuje się zwarta ściana drzew, przecięta cienką nitką trójmiejskiej obwodnicy. Czwartkowe popołudnie tężeje w zupełną czerń. Zamykam za sobą drzwi i zatapiam się w niej. To teraz jedyna sensowna droga.

LENA

17 lipca 2019 r.

Latem unikam Sopotu jak ognia. Moje ulubione miasto zmienia się wtedy w targowisko próżności, a jego vibe'u zupełnie wtedy nie czuję. Nie lubię tłumów i hałasu, jeszcze bardziej nie znoszę lansu. Ale dziś nic mi nie przeszkadza. Nie teraz, bo z tarasu widokowego galerii sztuki wychodzącego na sopocką plażę wszystko wygląda inaczej. Inaczej, bo rozpiera mnie duma, że udało mi się tutaj wystawić swoje prace.

Dym na morzu, bo tak zatytułowany jest wernisaż pięćdziesięciu moich prac, ma potrwać jeszcze kilka godzin. Potem przez następny tydzień kolekcję będzie można oglądać, a także wylicytować pojedyncze egzemplarze.

Odrywam się od barierki tarasu i odwracam w stronę zalanej światłem sali, ocierając pot z czoła. Powietrze jest ciężkie i trochę kleiste, a z nieba leje się żar. To też nie psuje mi nastroju. Grupka moich przyjaciół, roześmianych, z lampkami szampana w dłoniach, stoi skupiona wokół jednej z rzeźb – trójwymiarowej fali. A więc to naprawdę się dzieje. Pewnie nieraz jeszcze będę łapać się na tym, że przekonuję samą siebie.

W głębi przeszklonej sali moich rzeźb jest o wiele więcej, podobnie jak oglądających. Są niepokojące, dużo w nich mroku, nie mniej niż we mnie samej. Są jak świadectwo mojego wnętrza, którego sama najczęściej nie rozumiem. Drewniany konik morski o dwóch głowach złapany w sidła pajęczej nici, blat stolika usadowiony na mackach ośmiornicy, twarz i włosy młodej kobiety utkane z fal, do których wykonania użyłam grubej tektury. Sądząc po reakcjach zaproszonych gości, nie orientują się, że przedstawiona przeze

mnie dziewczyna jest topielcem. To tylko kilka z rzeźb w zasięgu mojego wzroku.

Wykorzystując technikę kolażu, chciałam osiągnąć efekt optycznej iluzji, by zmusić mózg do sięgnięcia głębiej, poza oczywistość. Nigdy nie lubiłam mówić wprost ani o sobie, ani o świecie.

Z radością stwierdzam, że przyglądający się moim pracom goście wyglądają na zaciekawionych. Są między nimi mężczyźni w spodniach o sztywnych zaprasowanych kantach. Na ramiona mają zarzucone kolorowe sweterki z kaszmiru z wyeksponowanym dyskretnie logo. Suknie ich partnerek są idealne jak one same. Są tu też turyści w zapiaszczonych tanich klapkach i ciuchach w radośnie krzykliwych kolorach lata. Wokół nich unosi się zapach olejku do opalania. Zapewne przesiąkałam nim, kiedy składali mi gratulacje. Kolejną już godzinę chłonę ten widok i zapach, wiedząc, że przyszli tu tylko dla mnie. Na tę chwilę czekałam bardzo długo.

– Tu jesteś. – Jak spod ziemi wyrasta przede mną Filip, mój chłopak. Ma duże brązowe oczy i pełne usta lekko wykrzywione w kącikach ku dołowi. Jego twarz sprawia wrażenie zharmonizowanej całości. Podobnie jak ciało, sprężyste i silne. Nie jest ucieleśnieniem patologicznego wzorca mężczyzny, którego reprezentantów zwykle przyciągałam znacznie częściej niż ideały z dobrej rodziny.

A jednak z jakiegoś powodu od czterech miesięcy jesteśmy razem. Filip wsuwa mi w usta małą przekąskę i przez chwilę drażni palcem moje wargi, dopóki jej nie przełknę.

– Wszyscy cię szukają – mówi, chwytając mnie za rękę, i ciągnie w stronę sali.

– Wszyscy? – pytam, pozwalając mu się prowadzić. W sercu czuję znajome ukłucie. – Ale nie ci, których chciałabym mieć dziś przy sobie.

Filip kiwa głową i przystaje przy drzwiach wychodzących na taras.

– Co to za mina? – dodaje po chwili. Widzę, że czujnie mi się przygląda. – Ściągnęło tu pół Sopotu, ludzie są zachwyceni, masz udzielić wywiadu dla Radia Gdańsk i paru znaczących portali, a ty się ulatniasz.

– Chciałam po prostu ochłonać.

– Ochłonać?! Ściema. Co się dzieje, kotku?

Uśmiecham się, ale chyba jakoś blado.

Filip wplata palce w moje włosy i przyciąga głowę do swojej twarzy. Czuję na policzkach jego ciepły oddech.

– Znów chodzi o twoich rodziców?

Moje milczenie jest wystarczająco wymowne.

Zaskakuje mnie tym, że tak łatwo mnie przejrzał, szczególnie że rzadko poruszam ten temat. Skąd wiedział? Zwykle trudno mnie rozszyfrować. W chwilach takich jak ta, w momentach wielkiego szczęścia, faktycznie dociera do mnie, jak bardzo brakuje mi rodzicielskiej bliskości. Nie ich samych, ale raczej wyobrażenia tego, kim mogliby być. Zginęli w wybuchu gazu, kiedy byłam jeszcze niemowlęciem. Cudownie ocalałym, wydobyłym spod gruzowiska.

Opiekę nade mną przejęła ciotka, która o moich rodzicach opowiadała niechętnie. Równie niechętnie poświęcała mi swoją uwagę. Śniadanie. Szkoła. Obiad. Lekcje. Kolacja. Tego planu się trzymała. Niby wszystko się zgadzało, ale czułam się jak piąte koło u wozu. Nie było w niej szczerego zainteresowania ani tym bardziej czułości. Dzieciństwo u jej boku zostawiło we mnie pustą, wydrążoną skorupę. Właściwie zajęła sobą całą przestrzeń tego, kim się stawałam, dorastając. Wyposażona w masę kompleksów i brak poczucia bezpieczeństwa, wyjechałam z Puszczykowa – całkowicie zdeterminowana, by nigdy tam nie wracać – na studia do Trójmiasta. Nie chciałam też zostać kimś ze średnich szczebli drabiny zawodowej. Chorobliwa wręcz ambicja, dyktowana strachem przed powrotem do Puszczykowa, zmusiła mnie do wytężonej pracy i zaprowadziła aż tutaj.

Ale konsekwencje dzieciństwa i tak miały mnie dopaść. To była tylko kwestia czasu. Nienauczona miłości, łatwo dawałam się zranić. Działałam jak magnes na toksycznych facetów, u których boku czułam się jak dawniej, niepotrzebna i niekochana. Przygodny seks nie pomagał mi w zbudowaniu pewności siebie. Czara goryczy przelała się, kiedy zupełnie straciłam szacunek nawet do własnego ciała. Odtąd, by cierpieć mniej, nauczyłam się nie angażować emocjonalnie w żaden związek.

Filip jeszcze o tym nie wie, ale nasze rozstanie wisi w powietrzu. Nie wie też, że to ja spiszę go na straty i że lista numerów chłopaków wykasowanych z pamięci mojego telefonu jest naprawdę długa. Może powinnam czuć się jak przebiegły oszust, może idę na łatwiznę, a moja bolesna przeszłość to tylko wygodna wymówka? Nie wiem. Naprawdę chciałabym się mylić i przerwać ten cholerny łańcuch, ale jak dotąd nie potrafię.

Wrzawa wzmacnia się, a atmosfera jeszcze bardziej rozluźnia, kiedy przynoszą następną kolejkę drinków. Sala wciąż kipi od roześmianych gości, gdy za moimi plecami rozlega się odgłos otwieranej butelki szampana.

– No patrz. Same dziane grube ryby – słyszę nad uchem inny znajomy głos i zaraz widzę burzę blond włosów upiętych w wysoki kok. To Julia, moja przyjaciółka. – Może jeszcze nie jest za późno, żeby odkręcić tę licytację?

W rękę wciska mi kieliszek, z którego ścieka musująca piana.

– Mam nadzieję, że żartujesz – parskam śmiechem, spijając ją z krawędzi szkła.

Mojej przyjaciółki nie da się nie zauważyć, nawet w tłumie. Jej krzykliwe, ręcznie szyte stroje i make-up w stylu pin-up girl są jej znakiem rozpoznawczym. Mimo dość wyzywającego wyglądu i kiepskiego wrażenia, jakie może sprawiać, jest najcieplejszą i najserdeczniejszą osobą ze znanych mi ludzi.

– Nie kumam – mówi, poprawiając obcisłą mini. – Mieszkasz w jakiejś zatechłej klicie, harujesz jak wół, ciulasz grosz do grosza, a kiedy masz okazję sobie odbić, przekazujesz kawał swojej pracy za friko.

– Nie martw się o stan mojego konta. Dobrze wiesz, że mam pracę w szkole i inne zlecenia. I nie za friko. Do dwóch gdyńskich hospicjów trafi tylko część pieniędzy ze sprzedaży.

Na twarzy Julii powoli pojawia się uśmiech.

– No dobra. Sprawdzałam cię. Ty i ten twój altruizm. – Czuję, jak w żebra wbija mi swój ostry jak szpikulec paznokieć. – Wiesz, że jestem z ciebie dumna. Cholernie dumna. – Na moim policzku ląduje jej pocałunek pachnący gumą balonową. – To nie koniec gratulacji na dzisiaj. Chyba wciąż masz branie. – Unosi brodę, wskazując dwie idące w moją stronę kobiety, po czym gdzieś się ulatnia. Zresztą i Filip zniknął mi z pola widzenia.

Elegancka blondynka w białym kostiumie połyskuje złotymi łańcuszkami i masywnymi pierścionkami, roztaczając wokół siebie aurę przesadnej pewności siebie. Nie mam wątpliwości, że to jedna z tych kobiet, którym się nie odmawia. Drobną brunetka w okularach i skromnej szarej garsonce ledwie za nią nadąza. Znam ją. To organizatorka wernisażu.

– Anna Seretny, koneserka sztuki i sponsor naszej wystawy – przedstawia brunetka blondynkę.

– Jestem absolutnie zakochana – mówi Anna, gestykułując teatralnie – zakochana w pani pomysłowości.

– Dziękuję. – Mój głos brzmi chyba niepewnie, bo czekam na więcej. Boję się, że to „więcej” wcale mi się nie spodoba.

– Pozwól, kochana, że od razu przejdę do rzeczy. – Anna klepie mnie po ramieniu. – Muszę mieć ten stolik – mówi i wskazuje na wciśnięty w narożnik sali szklany stolik na rzeźbionych nogach przypominających macki ośmiornicy. Praca nad nim pochłonęła mnie na całe trzy tygodnie. – Muszę go mieć. Koniecznie!

– Tuż po wernisażu w internecie rozpoczyna się licytacja. To miło, że chce w niej pani wziąć udział.

Anna nawet nie odciąga mnie na bok. Kiedy ścisza głos i szepcze mi do ucha konspiracyjnie, z jej ust dolatuje zatęchły zapach zakąsek i mieszanki drinków. Wytężam słuch, by wychwycić jej słowa z pulsującego gwaru.

– Tylko że, rozumiesz, to niepotrzebna fatyga, a ja nie lubię czekać – szczebiocze mi nad uchem. – Myślałam o jego kupnie od ręki. Poza wsparciem hospicjum jestem skłonna zaoferować lepsze wsparcie i samej autorce. A to na pewno się przyda. Szczególnie komuś, kto w świecie sztuki nie znaczy jeszcze zbyt wiele. Oczywiście, to może się wkrótce zmienić.

Najpierw ogarnia mnie popłoch, a zaraz potem cholerne rozdrażnienie.

– Schlebia mi, że moja sztuka znajduje pani uznanie. Naprawdę. Ale...

Spoglądam na twarz organizatorki. Jej uśmiech jest trochę zawstydzony. Myślę, że chciałaby się zapaść pod ziemię.

– To naprawdę dobrze zrobiłoby pani karierze – mówi blondynka, pociągając łyk ze swojego kieliszka. Bez ostrzeżenia ściska moją dłoń. W tej chwili jeszcze bardziej mam ochotę stamtąd zwać.

– Życzę powodzenia w licytacji – mówię twardo i oschle, wyrywając rękę z jej uścisku. – Ten stolik faktycznie jest wart starań. A przede wszystkim gry fair play. Przepraszam, muszę do łazienki.

Ochlapując chwilę później twarz zimną wodą, zastanawiam się, co to miało znaczyć i co ten babsztyl w ogóle sobie wyobrażał. Jak na jeden wieczór wystarczy mi dziwnych konfrontacji.

Ale co do konfrontacji – mylę się. To dopiero początek.

W drodze powrotnej z toalety, w podświetlonym pustym korytarzu, wyrasta przede mną sylwetka mężczyzny. Jest barczysty i idzie wprost na mnie. Widzę go w rdzawej

poświacie i moja wyobraźnia zaczyna mówić swoim własnym językiem. Zdaje mi się, że wylądowałam w czerwonym pokoju, zamknięta w scenie z *Miasteczka Twin Peaks* albo w innej psychodelicznej rzeczywistości.

Dopiero chwilę później, kiedy wzrok mi się uspokaja, dociera do mnie, że jest zapewne jednym z ulicznych artystów, którzy występami zarabiają na sopockim deptaku. Trudno mi określić, w jakim jest wieku, ale na pewno przekroczył sześćdziesiątkę. Biały podkład nieudolnie maskuje jego ogorzałą, pokrytą głębokimi zmarszczkami twarz. Musiał nałożyć go przynajmniej kilka godzin temu, bo podkład zdążył lekko się rozmazać i spłynąć pod wpływem letniej spiekoty. Blade strużki wyglądają jak smutne deszczowe zacieki. Wycieniowane czarne pierścienie wokół jego oczu trzymają się lepiej i naniesione zostały starannie. W zestawieniu z chorobliwie wyglądającymi oczami dają nieco upiorny efekt. Usta mężczyzny umalowane są na czerwono co najmniej dwukrotnie ponad ich naturalny rozmiar. Ale to też element jego kreacji. Spod płaskiej czapki w czerwono-czarne romby wystaje płatanina długich nitek siwych włosów, a ciało wciśnięte jest w przymały i wypłowiały na słońcu trójkolorowy stój klauna pasujący do czapki. Na pasku przechodzącym przez jego pierś wisi lśniący saksofon. Za nic nie pasuje do jego wyglądu. Życie mężczyzny z pewnością dało mu w kość. Stoimy i przez dłuższą chwilę patrzymy na siebie. To on przerywa pełną napięcia ciszę.

– A więc to naprawdę ty, dziecinko... – mówi wilgotnym, chrapliwym głosem nałogowego palacza. Może się mylę, ale wyczuwam w nim nutę czułości.

Sama nie wiem, jak mam rozumieć jego słowa – chodzi mu o to, że ma przed sobą autorkę wystawy czy że w jakiś sposób mnie rozpoznał?

– Ty też lubisz funkcjonować odwrotnie niż cała reszta. To ma się w genach.

Normalnie pomyślałabym, że facet bredzi, ale jestem zaintrygowana, więc stoję i czekam na więcej.

– Nie rozumiem, czy sugeruje pan, że jesteśmy...

– Spokrewnieni? – Mężczyzna wybucha zgrzytliwym śmiechem. Jego głos staje się jeszcze bardziej matowy, jak kawał zardzewiałego złomu. – Nie, dziecińko, nic z tych rzeczy. Naprawdę mnie nie pamiętasz?

Skupiam wzrok, by móc wyobrazić sobie, jak wyglądałaby jego twarz bez tego makijażu. Ale nie, nie ma mowy, nigdy wcześniej nie widziałam tego człowieka.

– Nie. A więc o co chodzi? Bierze mnie pan chyba za kogoś innego.

Mężczyzna potrząsa głową, energicznie i zdecydowanie.

– O pasję. O sztukę. Bez saksofonu i ludzi spędzałbym cały dzień w bezdźwięcznej furii. Z tobą też tak było, prawda? Tobie też te rzeźby pozwoliły uporać się z rzeczywistością i wspomnieniami?

Jego słowa przywodzą mi na myśl jedyny powód, dla którego zamykałam się w pracowni, gdzie tworzyłam jak opętana. Tym powodem była ciotka. Musiałam wyrzucić z siebie całą swoją wściekłość i udowodnić jej, że jestem coś warta.

– Chodzi o moją ciotkę?? – wypalam wbrew samej sobie.

Nie wiem, co maluje się na jego twarzy – czy to chytry uśmiech, czy może coś na kształt tęsknego wspomnienia. Kompletnie nie mogę tego faceta rozszyfrować. To pewnie wina makijażu, pod którym się ukrywa. Na dodatek wciąż mi nie odpowiada. Z kieszonki spodni wyciąga paczkę tytoniu do żucia. Przyciska szczyptę do dziąsła i natrafiając na pierwszą wolną szczelinę, wciska ją do środka. Mijają nas dwie młode dziewczyny, rzucają nam ciekawskie spojrzenia.

– Po tylu latach wróciłaś do Trójmiasta, do domu. Czasem myślałem, że i ty nie żyjesz – mówi. Przekrzywia głowę i patrzy na mnie natarczywie, jakby rozbierał moje myśli, kawałek po kawałku. – Ale nie mogłaś przecież tak po prostu rozpląnąć się w powietrzu. Kiedy zobaczyłem porozwieszane w mieście plakaty i ciebie na nich... – urywa i rusza z miejsca.

Jego spojrzenie staje się szkliste i błędne, co zaczyna mnie przerażać. Kieruje się w moją stronę, a ja dopiero teraz zauważam, że utyka na prawą nogę. Zdążyłabym uciec, ale stoję jak uwięziona w tej absurdalnej scenie. Dopiero w ostatniej chwili robię krok do tyłu i wpadam na postument, na którym stoi jedna z moich rzeźb – gliniany koralowiec. Pod ciężarem mojego ciała postument przewraca się, a koralowiec roztrzaskuje o podłogę. Tracę równowagę i niemal się przewracam.

– Nie bój się mnie, dziecinko.

Mój unik na nic się zdaje. Jego dłoń, gorąca i szorstka, ląduje delikatnie na moim policzku. Na tej szpetnej nabrzmiałej bliźnie. Zostawił ją po sobie metalowy pręt, który wbił mi się w okolicach szczęki, kiedy mój dom i moje życie zamieniały się w zgliszcza prawie dwadzieścia pięć lat temu.

– To także po niej cię poznałem. Po tym małym przekrzywionym serduszku – mówi dalej, jakby w transie.

– Co pan, do cholery, wyprawia?! – zza pleców dobiega mnie głos i przyspieszony oddech. Rozpoznaję Filipa. Nigdy nie słyszałam go wcześniej w stanie tak potężnego wkurwienia.

Przypuszczam, że ten rumor go tutaj zwabił. Nie zadając pytań, Filip odpycha mężczyznę, a wtedy ten z impetem uderza plecami o ścianę. Głuchy metaliczny jęk wydobywający się z saksofonu jeszcze przez chwilę brzęczy mi w uszach.

– Zostaw go! Nic się nie stało! – rozpoznaję swój głos. Chyba krzyczę.

Mój chłopak nadal dyszy, gotów zadać cios w mojej obronie, ale nie posuwa się dalej.

– Widziałem przecież...

– Nic się nie stało. Potknęłam się, a pan pomagał mi tylko wstać.

Sama nie wiem, dlaczego kłamię.

Podniesiony głos mojego chłopaka ściąga gapiów. Pośród nich widzę Julię, Maćka i Janka, moich przyjaciół, ochroniarza, a także nastoletnią sąsiadkę, Kalinę. Zaciekawionych par oczu przybywa. Przypatruję się twarzom widzów, to samo w milczeniu robi mężczyzna w przebraniu klauna.

– Czy coś się stało? – słyszę jakby za mgłą czyjś głos. To ochroniarz. Zwraca się do mnie.

– Nie. Mówiłam już. Wszystko w porządku.

– Naprawdę nie chciałem cię wystraszyć – odzywa się klaun. – Ale po tylu latach to wszystko na nowo wróciło. Gram na molo. – Ogląda swój saksofon z troską, jakby szukał na nim śladów zadrapań albo wgłębień po zderzeniu ze ścianą. – Codziennie od samego rana. W razie gdybyś chciała porozmawiać – dodaje po chwili.

– Nie odpowiadam, robi to za mnie mój chłopak.

– Zabieraj się stąd, patałachu.

Jest wściekły. Mężczyzna w przebraniu klauna rzuca mi przytomniejsze, może nawet przepaszające spojrzenie. Utykając, sunie w stronę wyjścia, kurczowo trzymając w rękach instrument. Osłania go z czułością, jak dziecko narażone na cios. Mija chwila, nim wtapia się w tłum i znika.

Przez dalszą część wieczoru udaję, że nic się nie stało. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem udzielam kilku wywiadów, pospiesznie i byle jak, bo słowa i twarz mężczyzny wciąż nie dają o sobie zapomnieć. Niezależnie od tego, czy była to tylko chora wizja, czy może zwyczajna pomyłka, nie pozwalają mi cieszyć się dalszą częścią wernisażu. Oddycham z ulgą dopiero wtedy, kiedy wracam do domu, zamykam za sobą drzwi i zasuwam podwójny rygiel.

ADA

21 października 1998 r.

W ciemności czai się zło. Podobno. Niektórzy puszczają w obieg te bzdury, wierząc, że lichy budzi się ze snu. Czasem kiedy siadam tu, w Osadzie Rybackiej, na dachu domu przeznaczonego do rozbiórki, zastanawiam się, czy ja też jestem zła. Ciągnie mnie do ciemności, ryzyka, niebezpieczeństwa. W tym miejscu po zmroku nieraz przekraczaliśmy i nadal będziemy przekraczać swoje granice. Ja i moja paczka. Wolę jednak myśleć o tym pustym domu jak o swoim drogowskazu do lepszego życia. Albo do życia w ogóle.

Wdrapując się tu po raz pierwszy, smutna i wściekła na cały świat, chciałam zniknąć. Tak na zawsze. Dwa lata temu ten jedyny raz naprawdę nie widziałam innego rozwiązania, kiedy atmosfera w domu stała się nie do wytrzymania. Nie chciałam żyć. Teraz wiem, że to byłoby tchórzostwo i marna próba zwrócenia na siebie uwagi. Nie pamiętam nawet dlaczego – chyba pchnął mnie do tego wyryty w głowie obrazek z dzieciństwa w kolorach *black and white*. Przez lata nasiąkałam tą brudną dorosłością i wszystkim tym, czym dziecko nie powinno być otoczone. W ciszy znosiłam kłótnie, obojętność, nieobecność, plątałam się między nogami jakichś podejrzanych typów ciągle krążących po naszym domu. Byłam tam, a jakby mnie nie było. A przynajmniej starzy mnie nie zauważali. Chłonełam wszystko, zbyt szybko i zbyt łapczywie.

I faktycznie, stojąc dwa lata temu na dachu, patrząc na morze i na ostre krawędzie fal, czułam, że to mogłoby się stać, że one mogłyby mnie pochłonąć. Tylko że coś wtedy we mnie drgnęło. Jakaś wola walki. Zamiast skoczyć, postanowiłam stać się twarda, najtwardsza ze wszystkich. A przede

wszystkim postanowiłam nie być samolubna – miałam przecież młodszą siostrę, za którą czułam się odpowiedzialna.

Wróciłam więc do życia – żarłoczna, pyskata i ostra jak brzytwa. Zmieniłam swój wygląd. Spaliłam grzeczne sweterki i bluzeczki w kwiatki, z lumpeksów wygrzebywałam tylko to, co mroczne i oryginalne. Ścięłam i utleniłam włosy. Wymyśliłam grę w wyzwania. Zaczęłam wyznaczać trendy. W szkole przestałam być niewidzialna, ale kumple akceptowali mnie głównie dlatego, że bali się mi podskoczyć. Jeśli chciałam, potrafiłam być naprawdę wredną suką. Szczególnie wobec tych plastikowych lalek, z chłopakami dogadywałam się jakoś lepiej. Może wpływ na moją pozycję w grupie miały też sukcesy w pływaniu synchronicznym – zajawce, której się poświęciłam. Ale nadal nie lubię być w centrum uwagi. Na co dzień trzymam się na uboczu, z niewielką grupą moich ludzi, z którymi balansuję na krawędzi. Iggy, Kamil i Łuki. To na nich tu czekam. W naszych żyłach płynie to samo: gniew i paląca potrzeba wyrwania się z murów naszych domów.

W oddali widzę już światła latarek i słyszę ich głosy oraz dobiegającą z głośnika muzykę. A więc są już niedaleko. Na ekranie telefonu szybko wstukuję wiadomość.

Zajrzyj do Neli. Matka ma zjazd.

Ostatnie zdanie kasuję i szybko poprawiam. *Matka nie jest w formie. Idę na trening. Będę późno.* Nauczyłam się, że niekiedy nie warto zaogniać sytuacji. Właśnie dlatego wyłączam telefon. Zresztą ojciec i tak nie pofatyguje się, by sprawdzić, gdzie jestem.

Metalowa drabinka prowadząca na dach to jedyna droga. Wyłaniającego się na niej Łukasza poznaję po sterczącej czuprynie i długich patykowatych kończynach. Dzięki nim ostatnie szczeble pokonuje jednym susem. Z tym wzrostem i sprawnością mógłby sięgać ze swoją koszykarską drużyną po złoto. Zamiast tego popołudniami przerzuca drwa w tartaku, przez co często omija treningi.

Łuki odkłada ciężki worek i podaje rękę Iggy, swojej dziewczynie. Księżyc nad ich głowami jest jak nagi, błądy cień za kurtyną chmur. W tym świetle kontur jej ciała i powiewające na wietrze długie proste włosy przypominają mi trochę Pocahontas na kwasie. Ostatni na dachu ląduje Kamil z boomboxem w ręku. W tej obciachowej szaroburej kurtce, kraciastej koszuli wepchniętej w spodnie i okularach o grubych szklach zakrywających połowę twarzy wygląda jak siedem nieszczęść. Z przyniesionych przez siebie drew i podpałki Łuki rozpała ognisko, a z boomboxa zaczynają dobiegać ostre gitarowe riffy. To mój ukochany Radiohead i ich *Creep*. Kiedy tonę w dźwiękach, znów jest idealnie.

– No to mamy klimat. Co na dzisiaj? – rzuca, spoglądając wyczekująco na mój plecak.

Otwieram klapę i wyciągam z niej dwie buteleczki acodinu.

– Dlaczego tylko dwie? – pyta Iga, marszcząc brwi.

– Odpadamy, Iga. Za trzy dni mamy zawody – tłumaczę.

– Dobrze wiesz, że kontrole antydopingowe są wyrwykowe. Zresztą za trzy dni w naszym moczu nie będzie śladu acodinu.

Między Igę i mnie wkracza Kamil z małą brązową buteleczką w ręku.

– Zabrałem swoją. Mamy trzy do podziału. No więc jak będzie? Wymiękasz? – Kamil rzuca mi wyzywające spojrzenie.

Łukasz i Iggy równocześnie parszczą śmiechem. Muzyka po chwili cichnie.

– Piona, stary – odzywa się Łukasz. – Zobaczcie, jak się chłopak wyrobił. Jeszcze niedawno obrywał w kiblach, a teraz stał się mistrzem ciętej riposty.

To prawda. W szkole Kamil miał status szkolnej ofery i kujona. Podczas przerw najczęściej na jego głowie lądowała zawartość koszy na śmieci. Ale nie tylko. To, co robili z nim ci „popularni”, było okrutne. Ja nigdy nie zadawałam bólu, by

poczuć się lepiej czy kogoś upokorzyć. Robiłam to tylko w obronie słabszych, by wymierzyć sprawiedliwość. To ja wciągnęłam Kamila do naszej grupy. Szybko okazał się inteligentnym koleś, może tylko trochę zahukanym. Mimo wszystko, a może właśnie dlatego, pasował do nas.

Wzdycham ciężko, ale daję się przekonać.

– Okej.

Sięgam do plecaka po jutowy woreczek i odstawiam butelki na bok, bo chwila nie jest jeszcze odpowiednia. W woreczku znajduje się osiem odręcznie wypisanych przez nas karteczek. Po dwie na głowę. Zadania z pogranicza, które zmuszają nas do igrania ze strachem, z ogniem, wysokością, wodą, tlenem, a raczej jego brakiem. Naszych celów jest o wiele więcej, a każdy z nich naraża na to, co ekstremalne i nieznane. Zadania musimy wypełniać zgodnie z poleceniem, poddając się ślepeму losowi. Decyduje rzut kostką. Odczytaliśmy wyzwania wcześniej i przygotowaliśmy ekwipunek tak, by w razie potrzeby móc go wykorzystać. To on ciąży mi w plecaku. Poza wyzwaniami w woreczku znajduje się też czerwona kostka. Dwie ścianki są puste, na pozostałych wyrytych jest od jednego do czterech oczek, cyfry przypisane kolejno każdemu z nas. Ja jestem jedyneką.

– Dzisiaj ja! – wydziera się Iga, a jej oliwkowa skóra i czarne włosy połyskują w świetle rzucanym przez płomień, kiedy nachyla się nad woreczkiem. Wygląda w tym świetle zabójczo pięknie i niebezpiecznie. – Ja losuję!

Sięga po worek, wyławia z niego rulonik papieru, rozwija i czyta z namaszczaniem.

– *Choking game*, gra w podduszanie.

Nad ogniskiem rozlega się pomruk zadowolenia.

– Dobra, dawaj! Dla kogo to?

Iga bierze kostkę w dwa palce. To też stały rytuał. Pstryka, a wtedy ta ląduje nieopodal buchającego żarem paleniska.

– Trzy oczka. Trójka to chyba ty, skarbie – zwraca się do swojego chłopaka. – Ja ci to zrobię – oznajmia.

Ich usta łączą się w pocałunku. Ręka Łukasza łąduje na jej pośladku, a druga wpełza pod bluzkę i zaczyna ugniatać jej pierś. Zawstydzona Iga wyswobadza się po chwili z uścisku. Odwracam wzrok, by nie patrzeć, jak wymieniają ze sobą czułe szeptki. Bliskość to dla mnie obcy teren.

Wracam do tego, co znam, co pewne.

– Zaczynamy – mówię i puszczam w obieg jedną buteleczkę. Z drugiej pociągam kilka gorzkich łyków i popijam wyciągniętym z plecaka sokiem cytrynowym. Potem podaję je Idze. Łukasz i Kamil opróżniają zawartość swoich flakoników kilkoma haustami.

W milczeniu kładziemy się na lodowatej ziemi, na karimatach przechowywanych pod włazem w kominie. Ta marna izolacja nie chroni nas ani przed szorstką papą, ani przed fragmentami pokruszonego gruzu. To nam nie przeszkadza, za moment i tak nie będziemy odczuwać niczego z zewnątrz. Nie jesteśmy jedynymi, którzy odkryli to miejsce, co mnie akurat drażni. Wokół nas walają się pordzewiałe puszki, pety, zużyte gumki i inne ślady pozostawione przez zdesperowanych i niedyskretnych bywalców. Nad stertą porzbijanych cegieł wciąż unosi się słodkawy i mulisty zapach seksu. Cały ten syf, który po sobie zostawiają, jest jak odcisk ich brudnych paluchów. Przychodzą tu, żeby się bzykać albo spalić skręta, żeby przesiadywać grupami albo w pojedynkę i zastanawiać się nad tym, kiedy i jak ich życie się spieprzyło. Z nami jest inaczej. Nie zostawiamy po sobie niczego, niezależnie od tego, kiedy i w jakim stanie schodzimy z dachu. Nie marudzimy, jesteśmy nienasyceń i wciąż bierzemy więcej.

By odegnąć ziąb, opatulam się kurtką, a na głowę naciągam kaptur. Pozostałym chłód wydaje się nie przeszkadzać – leżą spokojnie, bez ruchu. Czubki naszych głów stykają się ze sobą, a ciała rozchodzą na cztery strony, układając się w wielki znak mnożenia. Czekamy na działanie syropu, które

zwykle zaczyna się po kilkunastu minutach, kiedy udaje nam się przetrwać pierwszą falę mdłości. Nic jeszcze nie czuję. Unoszę się lekko, by mieć lepszy widok na moich przyjaciół, kiedy znów odzywa się we mnie moja potrzeba kontroli.

– Pamiętacie nasz pierwszy raz po acodinie? – pyta Łuki, przesuając palcem po piersiach Igi. Po kilku okrążeniach wokół brodawek natrafia na sutek, który pręży się pod jej bluzką.

– Nawet mi nie przypominaj. Myślałam, że umieram – odpowiadam.

Niechętnie wracam myślami do tamtej chwili sprzed dwóch lat. Pamiętam te chore wizje, z których nie mogłam się wydostać.

– Przez całą noc bałaś się ruszyć z miejsca, bo byłaś przekonana, że zamiast nóg masz syrenią płetwę, a z szyi wyrasta ci głowa jakiejś mitycznej bogini.

– Nie jakiejś, tylko Ateny. Bogini wojny. To akurat było całkiem fajne.

Ale gorączka i paraliżujący strach już nie.

Urywam temat, bo do tych wspomnień nie lubię wracać. Są jak wyrzut sumienia przypominający mi, że bez kontroli nad swoim ciałem przestaję być tą wersją siebie, którą znam. Przez chwilę wszyscy milczymy w dalszym oczekiwaniu na wejście w narkotykową fazę, wpatrzeni w rozgwieżdżone niebo i idealnie okrągły księżyc. Nieopodal księżycy dostrzegam Oriona, mój ulubiony gwiazdozbiór jesiennego nieba. Wyciągam w jego stronę swoją dłoń i udaję, że zamykam w rękę jedną z gwiazd.

– Orion jest dziś idealny – mruczę pod nosem, rysując palcem linie prowadzące od jednej gwiazdy do następnej.

Na wspomnienie konstelacji Kamil podrywa się z miejsca i mruży oczy, które wyglądają teraz jak wąskie szczeliny.

– Jego oddziaływanie między promieniowaniem widzialnym i nadfioletowym jest teraz najsilniejsze.

Szczególnie przy pełni, takiej jak dzisiaj.

– Czyli że co? – dopytuje Iga, bawiąc się złotym wisiorkiem.

– Jeśli wierzyć teorii astrologów, zachowania ludzi zmieniają się pod jego wpływem. Pragnienia są silniejsze. Ale to tylko pseudonauka. Potwierdzonym faktem naukowym jest to, że podczas pełni powierzchnia jonów dodatnich przy powierzchni Ziemi się zwiększa, a to...

– Stary, nie zamulaj tymi bujdami – odzywa się Łukasz, przyciągając do siebie boomboxa. Manipuluje przy jego pokrętkach, a wydobywająca się z głośników muzyka zagłusza słowa Kamila.

– Mów, to ciekawe. – Iga przejmuje kontrolę nad sprzętem, a wtedy muzyka znów cichnie.

– A to wpływa na nas niekorzystnie. Podczas pełni wzrasta liczba wypadków, samobójstw i morderstw. To nie bujdy – Kamil rzuca Łukaszowi krytyczne spojrzenie – to statystyki.

– Wkurza mnie to – odzywam się.

– Jak cholernie wiele rzeczy – śmieje się Iga. – Co tym razem?

– To, że ludzie wciąż wymyślają preteksty, byle nie brać odpowiedzialności za samych siebie. Nie wyszło mi, bo pieprzona pełnia księżyca, bo spóźnił się autobus, bo ktoś inny nawalił. To broń mięczaków. Chcesz osiągnąć sukces, spinaj dupę i do roboty!

– No dobra, założmy, że spinamy dupę... – Iga nie przestaje chichotać. – To czego chcecie od siebie za dwa lata?

Wiem, czego chcę. Niezmiennie od dwóch lat. Odzywam się pierwsza.

– Nie chcę być od nikogo zależna, od żadnego faceta, a tym bardziej od starych. Wyrwę się stąd razem z moją siostrą. Do Wrocławia studiować weterynarię. Treningi. Kino. Kumple. To też jest fajne. I wiecie co, wcale nie muszę żyć ciągle na krawędzi. Kręci mnie też takie normalne życie.

– Nudziarstwo – mówi Iga, przeciągle ziewając. W jej tonie słycać butę. – No i po co ci siostra? Boże, mamy po siedemnaście lat, a ty marzysz o tym, żeby niańczyć dzieciaka. Starzy i tak ci jej nie oddadzą.

– Starzy? – Unoszę się jeszcze wyżej i przenoszę ciężar ciała na przedramiona. Odrzucam głowę do tyłu, szczerzę zęby. – Oni jeszcze nie wiedzą, na co mnie stać. – Ty zresztą też nie, mam ochotę dodać, ale gryzę się w język, bo nie chcę się jej tłumaczyć z czegoś, czego i tak nie zrozumie. – A ty? – pytam Łukasza.

Mój kumpel siada wyprostowany na środku karimaty i wyciąga przed siebie obie dłonie, oglądając je z każdej ze stron z obrzydzeniem, jakby chciał się ich pozbyć. Nawet w tym słabym świetle wyglądają na przepracowane, skóra jest spękana i pewnie szorstka.

– Takie same ma mój stary, wielkie i ciężkie – wzdycha, omiatając mnie nieobecny spojrzeniem. – Po pijaku rozwala nimi naszą chatę, okłada matkę, a potem mnie za to, że jej bronię. Na końcu rzuca się jeszcze na gliny, które i tak zwijają go do pudła. Na chwilę. Bo prędzej czy później wraca. Zastanawiam się, czy też noszę to w genach. Czy z czasem to się we mnie uwolni. Pytasz, czego chcę od siebie. Zrobię wszystko, żeby nie być takim sukinsynem jak on.

Po raz pierwszy widzę w Łukaszu lęk, wyraźną rysę na twardej powierzchni. Jego ciało jest jak zaciśnięta pięść, która tylko czeka, żeby się otworzyć. Iggy też tę zmianę wyczuwa. Przysuwa się do ramienia Łukasza i kładzie mu głowę na piersi.

– Ten szmaciarz nie dorasta ci do pięt. Kiedyś dostaniesz się do reprezentacji kraju – gładzi jego wypukłe żyły opuszkami palców – a on będzie gnił w pierdłu i stamtąd, z zatechłej pryczy, będzie cię oglądał w telewizji, jak tymi rękoma do kosza wrzucasz same złote strzały. Jak zwyciężasz.

Po chwili i Iga unosi się z miejsca i siada po turecku, przy samym palenisku. Nie pierwszy raz igra z ogniem. To właśnie

jej sposób bycia – nacechowany pewnością siebie, a jednak czarujący.

– Krótko i na temat – mówi. – Chcę wywalczyć swoje. Zero kompromisów. Po pierwsze, dostać się do łódzkiej filmówki. Po drugie, zgarniać tylko ważne role. Po trzecie, trzepać z tego niezły hajs. Po czwarte, podróżować i korzystać z życia – w jej głosie nie ma wahania.

Znam Igę, jej determinację i koneksje rodziców, dlatego wiem, że naprawdę ją na to stać.

– A ty? – Nasze oczy zwrócone są w stronę milczącego Kamila. Jego twarz jest rozpalona i ocieka potem.

– Stary, będzie spoko, zaraz to przeczekasz. – Łukasz klepie go po plecach.

I ja czuję, że wchodzę w fazę. Mrowienie skóry, walące w piersiach serce, spięta i rozpalona twarz. W przypiływie silnego skurczu ręki łapię Kamila za nadgarstek tak mocno, że wyczuwam i jego puls. Jest jeszcze szybszy niż mój.

– Lina! Rzuć mi ją! – Iga uśmiecha się i kiwa głową. Jest cudownie rześka. – Zrobimy to teraz! Po mojemu!

Jak zawsze w takim momencie, dopadają mnie wątpliwości, a w głowie tłuką się słowa ostrzeżenia. A jeśli tym razem coś pójdzie nie tak? Nie chcę utracić swojej pozycji w grupie, nie wolno mi odmówić, wszystko musi być zgodnie z planem.

Pod nogami Igi ląduje gruby sznur. W jej rękach lina jest jak wijący się wąż – raz się prostuje, raz napręża. A ja wciąż myślę o jednym. To niebezpieczne pragnienie zadowalania innych sprawia, że sama tracę grunt pod nogami. Na chwilę, bo stan poczucia winy nie trwa wiecznie – acodin znieczula w końcu i mnie, uwalniając swoją pierwszą falę optymizmu. Moje mięśnie śpiewają, a przyjemne ciepło rozlewa się w środku, pulsuje i przesuwają się ku górze. To ta chwila, kiedy pozbywam się strachu i staję się nieczuła na ból.

Ręce Igi są sprawne i szybkie, a przede wszystkim doświadczony. Zarzucają Łukaszowi pętlę na szyję i ciągną go

ku górze, przejmując nad nim kontrolę. Prowadzony wzdłuż krawędzi dachu chłopak jest jak ufny szczeniak na ciasnej smyczy, człapiący za nią krok w krok. Wiem, dokąd idą. Spadzisty fragment dachu, z którego rozciąga się widok na załamujące się na morzu fale, to miejsce nazywane przez nas „punktem zero”. To tam wykonujemy wszystkie wyzwania. Pierwszy na wyszczerbionych dachówkach kuca Łukasz, tuż za nim jest Iga. Potem podchodzę ja, za mną Kamil. Wtedy gra zaczyna się na dobre.

Trzymając linę ściśle przy szyi Łukasza, jedną ręką Iga przyciąga go do siebie, drugą wplata mu we włosy. Są jak kat i ofiara. Jej ciało jest naprężone i gotowe, a jego skurczone i wygięte pod ostrym kątem. Z głową odrzuconą do tyłu, Łukasz wlepia wzrok w niebo nabrzmiałe od srebrzystego światła. I ja robię to samo. W tej chwili to moja jedyna ucieczka przed tym, co nieuchronne. Kiedy wracam na ziemię, lina żłobi już na skórze Łukasza swoje grube wgłębienie – poziomą czerwoną linię biegnącą wzdłuż szyi.

– Gotowy? – głos Igi huczy na wietrze.

Łukasz kiwa głową.

Wraz z pierwszym zaciskiem pętli na szyi z jego ust wydobywa się charkot. Potem kolejny. I jeszcze jeden poprzedzony coraz mocniejszym zaciągnięciem liny. Wokół nas unosi się zapach morza i potu.

Chwilę ciszy przerywa kolejny krzyk przechodzący w jęk i ptasi śpiew.

– Iga, już wystarczy! – Chwytam ją za ramię i próbuję odciągnąć.

Poirytowana, jednym ruchem zrzuca z siebie moją rękę.

– Co ty, kurwa, robisz?!

A potem zaciska pętlę jeszcze raz.

LENA

18 lipca 2019 r.

Drewniana podłoga i ciche skrzypnięcia desek w każdej chwili mogą mnie wydać. Są teraz jak zdrajca i mój najgorszy wróg. Nie pozostawiają mi wyboru. By przemknąć niezauważona, skradam się po pokoju jeszcze ciszej, na palcach. Mam nieodparte wrażenie, że robię coś naprawdę złego, że ktoś obserwuje mnie z ukrycia. Poczucie winy jest przytłaczające, a każdy mój krok to zwiastun czekającej mnie kary. I tak w kółko, przez kolejne sekundy. Mimo to idę dalej. Zaciągnięte rolety nie wpuszczają do pokoju światła, ale jasna smuga kładąca się piętro niżej na podłodze w korytarzu wyznacza mi dalszą drogę. Dzięki niej wiem, że zaczęło świtać. Trę powieki piekące ze zmęczenia i od płaczu. Oblizuję spierzchnięte wargi. Przez tych kilkanaście godzin nie miałam kropli wody w ustach, nie zmrużyłam oka.

Ze szczytu schodów widzę uchylone drzwi wejściowe otwierające mi drogę do ucieczki. Dzieli mnie od nich dziesięć stopni i niewielki przedsionek służący za garderobę. A więc to naprawdę może się udać. Stawiam pierwszy krok, trzymając się kurczowo poręczy.

– *Zostań!*

Oglądam się za siebie, zastanawiając się, skąd dobiega ten cichy głos przywołujący mnie do porządku. Ale zawisa tylko w próżni, tuż nad moją głową. Nikogo tam nie ma.

Krok drugi.

– *Nie wolno ci wychodzić! Nie wolno wychodzić! Wychodzić! Wychodzić!*

Ktoś, ten sam niewidzialny ktoś, szepcze mi natarczywie przez ramię. To groźba czy tylko zakaz? Nie słucham go.

Stawiam kolejny krok, nogi mam jak z waty.

Krok trzeci.

– *Pamiętaj!*

Chcę się odszczeknąć albo spytać: „O czym mam, do cholery, pamiętać?”, ale milczę i idę naprzód, wiedząc, że jeśli się zatrzymam, to nie ruszę już z miejsca.

Krok czwarty.

– *Musisz!*

Krok piąty.

– *Proszę!*

Krok szósty.

– *Bądź cicho!*

Puszczam poręcz i zatykam uszy, ale on próbuje udaremnić moje nieudolne próby ucieczki. Zamiast zamilknąć, głos tylko nakręca się coraz bardziej.

Przyspieszam.

Krok siódmy.

– *To tylko taka gra!*

Krok ósmy.

– *Kocham cię!*

Pękam. Wypowiedziane z prawdziwą czułością i troską słowa nadają moim krokom koślawy rytm. Potykam się o własne stopy dokładnie wtedy, kiedy dociera do mnie, że ją znam, tę szepczącą mi do ucha dziewczynę. I że ja też ją kocham.

Krok dziewiąty i dziesiąty.

Upadam jak długa. Jestem tylko ja i pogrążony w ciszy dom.

Leżę na kremowym dywanie, z twarzą wciśniętą w grubą warstwę puszystej wełny.

Chwilowe oszołomienie przechodzi w popłoch i ostatni zryw woli walki. Wstaję i wypadam na zewnątrz, byle dalej stąd. Pierwsze tej zimy płatki śniegu, połyskliwe i lekkie, dryfują w powietrzu i opadają mi na twarz. Nad sobą mam ciężkie chmury, pod gołą stopą kępki zamrożonej trawy i oblodzone płyty chodnikowe, których dotkliwe zimno przeszywa mnie aż do szpiku kości. Naciągam koszulę nocną za kolana, aż do stóp, by dzięki temu dostarczyć ciału choć namiastkę ciepła. Wtedy je zauważam. Nieregularne i wciąż jeszcze wilgotne smugi kwitną na mojej koszuli jak wiosenne kwiaty po ulewnym deszczu. Ale nie mają w sobie nic radosnego. Nawet nadruk małej cheerleaderki zalany jest wielką brunatną plamą. Zanurzam w niej palec, w tym skręconym ze sznurka fioletowym pomponiku. To, co na nim znajduję, wygląda jak krew. By się jej pozbyć, szarpnięciem z ubraniem, a raczej szamoczę jak uwięzione w klatce zwierzę. Ale efekt jest jeszcze gorszy, tym bardziej że znajduję ją też we włosach, pod stopami, w zgięciu kolana. Gorączkowo szukam śladów otarć, skaleczeń, czegokolwiek, by sprawdzić, czy krew wypływa ze mnie.

Ale nie, nie jestem ranna. Ta ulotna chwila ulgi przechodzi w paralizującą mnie świadomość, gdy tylko sobie przypominam, co się stało. Otwieram usta, ale nie jestem w stanie wydobyć z nich żadnego dźwięku.

Szarpnięcie w prawym barku wyrywa mnie z tamtej chwili szybko i bezboleśnie. Czyżby? Otwieram oczy.

– Znów miałaś ten sam koszmar?

Nad sobą mam zatroskaną twarz Filipa. Ma na sobie błękitną koszulę. W przeciwieństwie do mnie roztacza wokół siebie zapach dobrego snu. W rękach trzyma tacę z parującą filiżanką kawy i dwoma podpieczonymi na tosterze rogalikami. Są tak nierealne, jak ten uwolniony przed chwilą koszmar.

– Co się stało? – pytam i ocieram spocone czoło wierzchem dłoni.

– Waliłaś pięściami przez sen i krzyczałaś. Zrzuciłaś też z siebie kołdrę. Powinnaś pójść do specjalisty. To już trzeci raz w tym miesiącu.

Skotłowana pościel faktycznie leży na podłodze, a wciśnięte w kąt łóżka, skopane prześcieradło przypomina zdeptany rulon. A więc znów to samo.

– Pomyślę o tym. Wychodzisz już? – pytam, bo chcę odegnać tamte myśli.

Filip kiwa głową, odstawiając tacę na stolik nocny. Z biurka zabiera stertę papierów starannie włożonych w przegródki swojej aktówki.

– Przepraszam za wczoraj. Trochę mnie poniosło. Ale nie pozwolę żadnym natarczywym typom kręcić się wokół ciebie. Chcesz o tym teraz pogadać?

Potrząsam głową.

– Ani teraz, ani później.

– Między nami na pewno okej?

Gdybym była na serio zaangażowana w nasz związek, to pewnie podąsałabym się trochę, zarzucając mu zbytnią impulsywność, a potem wspaniałomyślnie wsunęłabym mu język w usta. Tymczasem w odpowiedzi rzucam mu tylko błady uśmiech.

– Może poświęcimy tylko we dwoje, kiedy wrócę. Powinienem być po szóstej.

Filip pracuje w dużej firmie informatycznej, na dziesiątym piętrze szklanego biurowca w Gdańsku. Zwykle zjawia się w pracy pierwszy, do domu wychodzi ostatni. Choć nie podzielam jego pasji, to doceniam jego oddanie pracy. Nie musimy przebywać ze sobą zbyt często – a to kolejny atut tej sytuacji.

– Okej – odpowiadam bez entuzjazmu, zwlekając się z łóżka. – Przygotuję coś do jedzenia, a potem możemy wyskoczyć na miasto.

– Jakie masz plany na dziś?

– Poleniuchuję jeszcze chwilę, a potem pójdę do pracowni. Dziękuję za to! – Wskazuję na filiżankę, pociągam łyk gorącej kawy. – Wiesz, jak postawić mnie na nogi. – Ja, w przeciwieństwie do skrupulatnego i uporządkowanego Filipa, potrafię się zapamiętać w pracy do tego stopnia, że tracę poczucie czasu. Bywało, że nie spałam po kilka dni, zarywając w pracowni kolejne nocki. Pracownia to co prawda zatęchła piwniczka bez okien w naszej kamienicy, ale to tam na razie realizuję swoje pomysły. Moje drugie zajęcie, etat nauczycielki plastyki w podstawówce na obrzeżach Gdyni, trzyma mój plan dnia w ryzach. Mnie też, dzięki Bogu. Ale na najbliższe dwa tygodnie zaplanowałam urlop. Mam zamiar zagnieździć się w pracowni i w ciemni wywoływać fotki w poszukiwaniu nowych inspiracji. Po cichu liczę też, że pozytywny odbiór moich prac zaprocentuje po wernisażu kolejnymi zleceniami. Naprawdę chciałabym móc się także w ten sposób utrzymywać.

Po wyjściu Filipa zostaję sama pogrążona w ciszy i myślach. Raz po raz wkrada się w nie dźwięk esemesa z kolejnymi gratulacjami. O tym właśnie marzyłam, o docenieniu i wsparciu, ale dziś nie potrafię się z nich w pełni cieszyć, bo wczorajszy incydent wciąż siedzi we mnie jak cień.

Może to przez poczucie braku tożsamości, może przez moją skłonność do kompulsywnego ryzyka albo zwykłą ciekawość, tak czy inaczej, zmieniam plany. Ubieram się, biorę kluczyki i wychodzę.

Właśnie wybiła dziewiąta, a to znaczy, że jestem za wcześnie. Na saksofonistę w przebraniu klauna będę raczej musiała poczekać. O tak wczesnej porze plaża powinna jeszcze być pusta, ale okazuje się, że jest inaczej. W powietrzu wyraźnie daje się wyczuć zadowolenie i beztroskę. Z pewnej odległości przyglądam się wesołemu przemarszowi przez Monciak. Roześmiani turyści wloką ze sobą dzieci, taszczą parawany, koce, dmuchane materace. Mijam Grand Hotel i kieruję się w stronę wejścia na molo. Ta jedyna wskazówka,

którą dostałam od klauna, jest dość enigmatyczna. Im bliżej jestem celu, tym tłum coraz bardziej rzednie, zamiast gęstnieć, co szybko tłumaczę konkurencyjną dla moją atrakcją – to pewnie kolejny breakdance’owy pokaz przy skwerze Bowiena, niewielkim parku oddalonym o kilka kroków od sopockiej latarni. Teraz to w tę stronę odbijają niektórzy turyści, skupiając się wokół coraz większego zbiegowiska. Zaciekawiona kieruję się w jego stronę.

Zza mijanej przeze mnie restauracji wyłaniają się jak złe omen kolejne szczegóły. Nieopodal otaczających park lip stoi karetka, tuż za nią policyjny radiowóz. Pierwsze słowo, jakie przychodzi mi do głowy, to „napad”. W takim miejscu nie brakuje złodziei i rabusiów wykorzystujących naiwność bogatych, ale mało czujnych turystów. Tylko że, gdzieś pod skórą, a może przez ten cholerny sen, czuję, że chodzi o coś znacznie gorszego – o topielca albo śmiertelne pobicie. Od poznania prawdy dzielą mnie cztery rzędy gapiów, policyjne taśmy i kilku pilnujących porządku funkcjonariuszy. Ku ogólnemu oburzeniu przedzieram się przez tłum, ocierając się o lepkie i spocone ciała. Ktoś gromi mnie wzrokiem, ktoś inny każe mi się nie pchać. Mam ich głęboko w dupie. Po chwili udaje mi się przedostać do pierwszego rzędu.

Od razu skupiam wzrok na podłużnym wgłębieniu w klombie obsadzonym różanecznikami. Złamane główki kwiatów, zwieszane gałązki i porozkładane między nimi tabliczki wskazują na ślady zabezpieczone przez policję. Swoją wielkością wgłębienie idealnie pasuje do kształtu ludzkiego ciała. Kalkuluję w myślach przypuszczalny wzrost i wagę ofiary, ale to i tak na nic. Na miejscu pracuje kilku funkcjonariuszy. Nad klombem zawisa zgarbiona sylwetka mężczyzny, chyba technika, który fotografuje miejsce zdarzenia. Inny gлина, pomrukując gardłowo, niecierpliwym tonem poleca odsunąć się od taśmy. Zgrzyt przesuwanych drzwi odwraca moją uwagę. Dopiero wtedy zauważam, że w głębi parku, w jednej z bocznych alejek, zaparkowany jest kolejny samochód – czarna furgonetka ze złotym logo zakładu pogrzebowego. Jej tylne drzwi uchylają się na krótko, ale tyle

wystarczy mi, by dostrzec w środku czarną, wybrzuszoną płachtę okrywającą nosze. Domyślam się, co może być pod spodem.

Moja wyobraźnia zaczyna mówić własnym językiem, a ja gorączkowo szukam kolejnych dowodów. Natrafiam tylko na jeden, ale on mówi mi już wszystko.

O fontannę oparty jest lśniący, zadbane saksofon. Obok niego stoi tabliczka z numerem „11”.

Na ten widok poranna kawa podchodzi mi do przełyku, w którym czuję nagły skurcz. Zakrywam usta, by zatrzymać wzbierającą w gardle gorycz, i tylko jakimś cudem udaje mi się nie wymiotować.

Kiedy wydostaję się z tłumu, by ochłonąć, dostrzegam stojącego nieopodal furgonetki funkcjonariusza z notatnikiem w ręku. Kiwa głową i zapełnia kolejne karty. Biorę głęboki uspokajający oddech i przesuwam się wzdłuż barierki, ale pełny widok na ten fragment parku blokuje mi policyjny radiowóz. Gliniarz nie jest sam. Jego rozmówca raz pojawia się, chwilę później znika. Jest nim wciśnięty w przybrudzony kubraczek niski facet w zaparowanych okularach. Na stopach ma groteskowe czerwone trzewiki zakończone szpiczastym czubkiem. W ręku trzyma wypełnioną po brzegi plastikową torbę. Dobiega siedemdziesiątki i wygląda na poruszonego. Kiedy się odwraca, zauważam, że na kapturze nosi naszywkę z adresem strony internetowej www.sopockikrasnal.net. To tłumaczy jego strój.

Stoję zbyt daleko, by słyszeć, o czym rozmawiają, ale język jego ciała mówi mi, że gość jest albo świadkiem, albo odkrył ciało. Wciskam się w metalowe barierki, by móc podsłuchać ich rozmowę.

– Mniej więcej około siódmej. Zawsze umawiamy się tutaj na fajkę, zanim zaczniemy pracę – mówi krasnal, drecząc nerwowo w miejscu. Jego głos jest bezbarwny i matowy.

Policjant kiwa głową, ale nie słyszę, o co pyta. Cholernie żałuję, że nie potrafię czytać z ruchu warg.

– Jedziemy na jednym wózku. Pan rozumie – odpowiada krasnal. – Branża rozrywkowa to trudny kawałek chleba, szczególnie tu, gdzie konkurencja jest ogromna. I nie każdy reaguje na nas dobrze. Są tacy, co z uśmiechem wrzucą grosik, ale są też tacy, co spluną i wyzwą od najgorszych. Od darmozjadów, od żebraków. Od nieudaczników. A my pracujemy uczciwie. On gra, ja fotografuję się z turystami. Pan rozumie. Co z tego, że na ulicy? Że wrzucają mi do skarbonki, a jemu do futerału? Z Benjaminem polubiliśmy się od razu, znamy się już z pięć lat. Mamy podobne spojrzenie na świat i życie. No i podobne trudne doświadczenia. Tylko że on po tym wszystkim, przez co przeszedł, jest inny niż ja, nadal ma w sobie optymizm. Dzięki niemu zacząłem wierzyć, że i mnie kiedyś będzie lepiej.

Benjamin jest. Benjamin ma. Nieustannie czas terażniejszy. Sposób, w jaki ten człowiek wyraża się o stygnącym w czarnym worku koledze, znowu przyprawia mnie o mdłości.

– Dlaczego tu, dlaczego w tak ustronnym miejscu? – pyta mundurowy. Stoi wciąż w tej samej pozycji – sztywny, wyprostowany i zupełnie niewzruszony.

– Krasnal i klaun ze szlugiem w ustach? No co pan... – Mężczyzna rzuca policjantowi zdziwione spojrzenie. – To byłoby zawodowe samobójstwo. Przychodziliśmy w to miejsce, bo wcześniej rano nikogo w parku jeszcze nie ma. Zamienialiśmy słowo i potem każdy szedł w swoją stronę, tak było zwykle. Ale, tak jak już mówiłem, nie zastałem go tu dzisiaj. Nie zauważyłbym go nawet leżącego w tych krzakach, gdyby nie saksofon. Stał oparty o fontannę. Benjamin nigdy się z nim nie rozstawał. Był jak przyspawany do jego piersi identyfikator. Wiedziałem, że skoro instrument tu jest, to i on musi być, że nie odszedł bez niego tak po prostu. Dlatego zacząłem szukać. Resztę pan już zapisał. – Krótkim, pulchnym palcem krasnal wskazał na notatnik.

Glina znowu burczy coś pod nosem, a ja nic nie słyszę.

– Tak, teraz w noclegowni przy Janka Wiśniewskiego. Od dwóch miesięcy. Wcześniej mieszkał pod osiemnastym na

Wincentego Pola – odpowiada krasnal.

Po tej wymianie zdań obaj mężczyźni odchodzą na bok, więc nie udaje mi się już niczego usłyszeć. Kilka minut później przesłuchanie dobiega końca, a krasnal opuszcza teren policyjnych działań tylnym wyjściem. By go dogonić, obiegam zebrany przy miejscu zbrodni tłumek.

– Przepraszam! – krzyczę za nim.

Kiedy odwraca się w moją stronę, w jego wilgotnych oczach czai się przerażenie. Tak jakby we mnie spodziewał się odnaleźć rysy zabójcy swojego kumpla.

– Widziałam, że rozmawiał pan z policją o tym, co tutaj dziś zaszło.

Krasnal gwałtownie robi krok do tyłu.

– Kim pani jest?

– Lena Skalska. – Wyciągam w jego stronę wyprostowaną dłoń, ale on nie podaje mi swojej. – Proszę się nie bać. Nie jestem wścibską reporterką i nie szukam sensacji. Miałam dzisiaj spotkać się na moło z saksofonistą przebranym za klauna. Czy tamten człowiek... Czy to był on?

Krasnal niechętnie kiwa głową i głęboko wzdycha. Woń jego nieświeżego oddechu unosi się między nami niczym kwaśna mgła.

– Przykro mi. Naprawdę. Rozmawiałam z nim wczoraj na wernisażu moich prac.

– Nic o tym nie wiem – mówi mężczyzna krótko i odwraca się ode mnie. Ale nie rusza się z miejsca.

– Pomyślałam, że może mógłby mi pan...

– Nie, nie mógłbym. Mam dość przesłuchań na dziś. Niech pani lepiej powie policji, co wie. Przepraszam, ale właśnie straciłem przyjaciela. – Choć stoi zwrócony do mnie plecami, widzę, że ociera policzek rękawem. – Proszę dać mi spokój.

W tej chwili rozumiem go aż za dobrze. Swoją żalobę noszę w sercu od prawie dwudziestu pięciu lat. Zdarza się, że

ona tak naprawdę nigdy nie mija. Dlatego pozwalam mu odejść. Z kieszeni wydobywam telefon i w jedno z pustych okienek kalendarza wpisuję dwa adresy podane gliniarzowi przez krasnala.

Wincentego Pola 18.

Noclegownia przy Janka Wiśniewskiego.

Przesuwam palcem po ekranie i zamykam okienko ze swoim nowym planem na jutro.

ADA

24 października 1998 r.

– Co ci ostatnio odwalilo? Omal wszystkiego nie zepsulaś!

Spojrzenie Igi jest jak wycelowana we mnie broń. Jej sztywne włosy, pociągnięte utrwalającą wodoodporną żelatyną, zaczesane są w ciasny kok, a czarno-biały kostium mieni się srebrzystymi cekinami. Jest na nim grafika mojego autorstwa – dwa splecione ze sobą kobiece ciała o twarzach zwróconych ku czarnemu słońcu. Zaprojektowałam ją już jakiś czas temu, nie podejrzewając, że któregoś dnia trafi tutaj, na kostium Igi. Mój strój wygląda identycznie z tą tylko różnicą, że zamiast na mnie, wciąż jeszcze wisi na wieszaku w szatni. Jest jak bijące na alarm przypomnienie, że do rozpoczęcia zawodów zostało tylko piętnaście minut, a ja wciąż nie jestem gotowa. Zrzucam z siebie podziurawione dzinsy, otwieram metalową szafkę i upycham w niej najpierw spodnie, a potem martensy. Poprawiam włosy zaczesane do tyłu i przeglądam się w lustrze. Tusz trzykrotnie wydłużył mi rzęsy, podkład zamaskował sińce pod oczami, a błyszczczyk nadał ustom pełną objętość, dzięki czemu wyglądam jak ktoś zupełnie inny.

– Przegięłaś. To trwało za długo – odpowiadam. – Łukasz mógł się udusić.

Iga wzrusza ramionami.

– Właśnie o to chodzi. Linę puszcza dosłownie na chwilę przed utratą przytomności. Na tym polega cały *fun*. Przecież nic się nie stało!

– Pogadamy o tym później. Mamy tylko kwadrans, a ja jestem w czarnej dupie.

Nerwowo wrzucam do szafki kolejne ciuchy. Iga gotowa już do wyjścia czujnie mi się przygląda.

– Coś ze mną nie tak?

– Pięknie wyglądasz. Jakoś tak inaczej niż zwykle.

– Bo zwykle nie nakładam makijażu.

Wywracam oczami, a do ust wkładam dwa palce i symuluję odruch wymiotny.

– Wariatka! – Iga chichocze. – Nie zawsze musisz łązić tylko w smętnych poszarpanych ciuchach.

Zamyka swoją szafkę i staje przy wyjściu na basen.

– Twoi starzy... Będą dziś? – pyta niepewnie, co zupełnie nie jest w jej stylu. Jakby z jednej strony wiedziała, że wkracza na grząski teren, bo oni pewnie znów nawalą, a z drugiej wciąż miała nadzieję, że ktoś bliski przyjdzie mi kibicować.

– Dobre pytanie.

Wracam myślami do dzisiejszego poranka. Na stole w kuchni zostawiłam matce notatkę, a ojcu wysłałam esemesa. Wiadomości łączyła ta sama treść i to, że pozostały bez odpowiedzi. Data zawodów jest zresztą od trzech tygodni wpisana czerwonym markerem do kuchennego kalendarza.

Ada. Mistrzostwa Polski w pływaniu synchronicznym. Godz. 17.00.

Poprawiałam ten wpis kilka razy, dzień w dzień, pogrubiając uparcie szlaczkiem te same litery. Nowy pieprzony rytuał.

– A twoja mama?

Iga kiwa głową.

– Ojciec też. Przyjechał z Wawy. Siedzą na trybunach i już puszą się jak pawie. Lubię na nich wtedy patrzeć, są cholernie zabawni, kiedy tak dosłownie pękają z dumy. Może pójdziesz potem z nami na kolację? Ojciec zarezerwował już stolik.

Żeby patrzeć, jak zagłaskują ją na śmierć? W sercu czuję znajome ukłucie, dwie wbite w sam jego środek szpilki. To nie zazdrość, to tęsknota, tłumaczę sobie.

– Nie, dzięki. Muszę wieczorem zająć się siostrą. A co z antydopingiem? Badali ci mocz? – pytam po chwili.

Iga potrząsa głową.

– A tobie?

– Też nie.

Dzięki Bogu. Może już nie ma chemicznego śladu po wchłoniętym trzy dni temu przez mój organizm dekstrometorfanie, ale od czasu do czasu nadal dopadają mnie skurcze żołądka i palący ból nerek. Pieprzony acodin.

Za mleczną szybą naszej szatni już kolejny raz przebiega ta sama smukła sylwetka. Poznaję ten drażniący uszy dźwięk – pisk gumy trącej o linoleum, wydobywający się spod podeszew jej butów. To przykuwa naszą uwagę.

– Widziałaś ją? – mówi Iga, patrząc w stronę szyby. – Wstrętna baba. Równie dobrze mogliby nikogo nie przysyłać zamiast naszej trenerki.

– Mignęła mi w korytarzu. Lata za czymś jak opętana. Nie martw się, to tylko dziś. I tak wytniemy ją potem z pamiątkowego zdjęcia.

Obie parskamy śmiechem.

Nie mija chwila, a temat naszej rozmowy materializuje się przed nami we własnej osobie. Chuda jak szczapa Maria Nowińska, zastępstwo naszej trenerki, która na dzień przed zawodami wylądowała w szpitalu ze złamanym obojczykiem, wchodzi do szatni z wysoko podniesioną głową. Im dłużej przyglądam się jej z bliska, tym bardziej przypomina mi matematyczną bryłę – kwadratowa twarz, szkła w oprawkach o tym samym kształcie, prostokątne ramiona. Jakby ktoś wyciął ją z formy odrysowanej idealnie od linijki. Jej spojrzenie, wściekłe albo może tylko zde gustowane, wycelowane jest we mnie.

– Przepraszam. Za dziesięć minut będę gotowa. Zdążę! – reaguję gorączkowo, bo zakładam, że chodzi jej o moje spóźnienie.

– Z kieszeni mojej bluzy zniknął klucz na różowej smyczy. Wiesz coś na ten temat?

Rozglądam się dookoła, ale nie, poza Igą w szatni nie ma nikogo, kto chowałby się za mną na linii jej wzroku. Czyli to jednak o mnie chodzi.

– Domyślam się, że musiała go pani zgubić.

– Nie bądź bezczelna. Lubisz sprawiać problemy, co?! – syczy, wbijając we mnie nienawistny wzrok.

– Dlaczego patrzy pani na mnie w ten sposób?

Ale ona nie patrzy. Robi coś o wiele gorszego. Ocenia mnie po siniakach na moich łydkach i udach, po T-shircie z czerwonym nadrukiem *Die, bitch!*. Po spiętych agrafkami rękawach, po śladach otarć i kilku bliznach. Po moim zadziornym spojrzeniu i odbarwionych wielokrotnym tlenieniem włosach.

– Znam takie jak ty! Poza wami i drugą trenerką nikogo innego nie było w tej części budynku.

– Czyli mamy tu razem cztery osoby. Nadal nie rozumiem, dlaczego patrzy pani tylko w moją stronę.

– Nie testuj granic mojej cierpliwości! Ten klucz ma się znaleźć, i to zaraz! Słyszysz?!

Nie reaguję, stoję z rozdziawionymi ustami, choć tak naprawdę mam ochotę podejść do niej i napluć w twarz. Nie mogę jednak dać się sprowokować tuż przed wejściem na basen, to byłoby strzelenie sobie samobója. Zaciskam zęby i przełykam ślinę, a wraz z nią swoją wściekłość i rozczarowanie. Tym, że po raz kolejny ktoś, kto nic o mnie nie wie, ocenia mnie przez pryzmat mojego wyglądu.

– Tu jesteś. – Zza pleców Nowińskiej wyrasta blondynka w błękitnym dresie, której twarzy nie rozpoznaję. Zakładam, że to ta druga trenerka. Nad jej głową bręczą zawieszona na

różowej tasiemce klucze. – To chyba twoje. Były w łazience. Musiały ci wypaść z kieszeni.

Gniewna mina Nowińskiej natychmiast łagodnieje.

– No, dziewczyny, dajcie z siebie wszystko – zwraca się do nas, szczebiocząc nagle cienkim głosikiem. Odbiera od blondynki klucze, po czym wychodzi. Bez słowa przeprosin.

Zakładam kostium, moją tarczę ochronną, i wchodzę na salę napędzona tą dodatkową dawką adrenaliny. Czuję ją wszędzie – w kanalikach płucnych, mózgu, mięśniach. Czuję, jak pod jej wpływem rozgrzewają się do czerwoności. Wraz z przyływem adrenaliny rośnie we mnie gniew.

Spoglądam na pełne trybuny w miejsce, które, o ile zdecydowali się przyjść, powinni zająć moi rodzice. Przebiegam wzrokiem po każdym z rzędów sektora „A”, przyglądam się, by ich przypadkiem nie pominąć, ale kolejny raz muszę przełknąć to samo rozczarowanie. Nie ma ich. Ale jednak nie jestem sama. Na jednym z krzeseł siedzi, machając w moją stronę, mężczyzna, znajoma i życzliwa twarz. Mój ojciec ma na jego temat inne zdanie. Nazywa go starym zbokiem, tylko dlatego, że ten człowiek nie ma własnych dzieci i że czasem rozmawiamy. To wystarczający powód, by go znienawidzić. Spotykamy się na ulicy, kiedy on spaceruje z psem, a ja zawsze robię wtedy wszystko, by opóźnić swój powrót do domu.

Macham mężczyźnie ręką i skupiona podchodzę do trampoliny – naszego punktu startowego. Kiedy rozlega się muzyka, stajemy z Igą obok siebie ramię w ramię, zamykamy oczy i skaczemy.

W wodzie czuję się niepokonana i nieposkromiona – jakby wraz z jej ruchem, z chłodnym kojącym pluskiem, poruszało się też coś we mnie. Lżejsza i odporna na ciosy z zewnątrz, mogę schować się pod powierzchnią. Wyparte przez maksymalną koncentrację problemy w tej niewielkiej przestrzeni rozmywają się i giną. Jestem tylko ja, mój kontrolowany oddech i ciało, które wyginam z siłą, ale i precyzją możliwą dzięki serii wielogodzinnych treningów

i zgodnie z rytmem muzyki. Pełne rozciągnięcie mięśni, wyskok szpagatowy, *boost*, trzy szybkie pełne obroty nad powierzchnią. Moje ciało mówi własnym językiem, a ja pozwalam mu odegrać jego spektakl – ponownie zanurzam się w wodzie, słysząc z trybun pełne zachwyty okrzyki. Teraz są tylko dla nas – dla mnie i Igi.

Z budynku hali sportowej wychodzę z tytułem wicemistrzyni Polski – strasznie zmęczona, ale i szczęśliwa. Mogło być lepiej, ale nauczyłam się doceniać i te mniejsze sukcesy. Przy parkingu żegnam się z rozpromienioną Igą i jej rodzicami, a potem kieruję w stronę domu.

– Hej! – za plecami słyszę znajomy chrapliwy głos, w którym rozpoznaję mojego sąsiada. – Nie wierzę. Minęłaś Delicje i nawet nie spojrzałaś w kierunku gorącej czekolady. To skandal!

Odwracam się i widzę go tuż za sobą. Ubrany w elegancki garnitur, białą koszulę i wypucowane na błysk buty, jest jak ktoś, kto nieustannie pełni jakąś ważną funkcję. Właściwie nigdy nie widziałam swojego sąsiada w innym stroju. Początkowo brałam go przez te ciuchy za kompletnego sztywniaka, ale pierwsze lody między nami przełamał Bobby, jego kundelek, dzięki któremu zaczęliśmy rozmawiać. Zerwał mu się kiedyś ze smyczy i wpadł prosto na mnie. Wtedy okazało się, że byłam w swojej ocenie sąsiada bardzo niesprawiedliwa.

– Dobry wieczór. Co pan proponuje?

– Jeszcze można to naprawić – odpowiada z uśmiechem, wskazując na rozświetloną ciepłym blaskiem kawiarnię po drugiej stronie ulicy. Zgadzam się, chcąc odwlec swój powrót do domu.

W sobotnie popołudnie znalezienie wolnego miejsca w Delicjach niemal graniczy z cudem, ale mamy szczęście, bo wkrótce jeden stolik się zwalnia. W powietrzu unosi się zapach pieczonego ciasta i mlecznych koktajli, co tylko jeszcze bardziej rozbudza mój apetyt i drażni pusty żołądek. Burczenie uświadamia mi, że przez stres związany

z zawodami od rana nie miałam nic w ustach. Po chwili pociągam łyk gęstej, zalepiającej gardło czekolady, na widelczyk nabijam kawałek czekoladowego ciasta. Jest mdlące i najpyszniejsze pod słońcem. Kiedy pochłaniam ostatni kawałek, sąsiad podsuwa mi pod nos białą kopertę.

– Co to takiego? – pytam autentycznie zaintrygowana.

Jego twarz opromienia szeroki uśmiech, a oczy błyszczą.

– To dla ciebie. Otwórz.

Strzepuję z kolan okruszki ciasta i zaglądam do środka.

– Cztery bilety do Teatru Muzycznego?

– Pomyślałem, że będziesz chciała zabrać rodziców i siostrę. *Piotruś Pan* to jeden z lepszych musicali. Wiem, bo gram tam w orkiestrze. Miejsca w pierwszym rzędzie. – Stuka palcem w kopertę. – Nie kupisz ich już nigdzie.

– Dziękuję, ale raczej nie. – Odsuwam kopertę szybkim i zdecydowanym ruchem.

Moja reakcja niczego nie zmienia w jego zachowaniu. Przygląda mi się z pewną nonszalancją, jakby takiej właśnie odpowiedzi się spodziewał.

– Nigdy nie jest za późno, żeby naprawić relację, którą spisałaś na straty.

– Nie rozumiem – mówię, ale dobrze wiem, do czego mój sąsiad nawiązuje.

– Sam najlepiej wiem, że potem ta szansa może już się nie powtórzyć. Nie chcę prawić ci morałów starego dziada, ale życie bywa przewrotne, a rodzina to jedna z tych rzeczy, o którą warto walczyć do samego końca.

Czyżby naprawdę wiedział? Nigdy nie zwierzałam mu się ze swoich problemów rodzinnych.

– Ściany, które budujemy wokół siebie, mogą z czasem stać się naszym więzieniem. Wiesz coś o tym, prawda? – Pod ciężarem jego spojrzenia odwracam wzrok.

Mam ochotę warknąć, żeby się nie wtrącał, że to, do cholery, nie jego sprawa, ale zamiast tego zmieniam jedynie temat.

– Nie wiedziałam, że gra pan w orkiestrze Teatru Muzycznego. Słyszałam, że angaż dostają tam wyłącznie najlepsi.

– Nie wiem, czy najlepsi, ale na pewno zdolni pasjonaci. Robiłem dokładnie to samo, co ty. Byłem uparty jak osioł, nieustannie ćwiczyłem, zwyciężałem małe bitwy, które przychodziły po fali porażek. Ty też jesteś na dobrej drodze.

– Do dorosłości. To na pewno. Tylko czy ona czasem nie jest przereklamowana?

– Patrzysz na kogoś, kto siedzi w tym po uszy. Poza przywilejami są też na przykład te procesy, które widzisz gołym okiem. – Palcami szarpie swoje czarne gęste kosmyki poprzetykane srebrnymi nitkami. – Siwe włosy sypią się, zanim zdążysz się zorientować, a artretyzm i skleroza zwalają cię z nóg – mówiąc to, nogi i ręce wygina pod dziwnym kątem. – Nie spiesz się do tego.

Oboje wybuchamy śmiechem.

– Dlaczego pływanie synchroniczne? – pyta mnie po chwili. – To chyba wciąż niezbyt popularna dyscyplina?

Nie muszę się zastanawiać. Odpowiedź jak zawsze nasuwa się sama.

– Staję się wtedy wolna. Tak naprawdę. To trochę tak, jakbym znalazła się w równoległej rzeczywistości i w innym wymiarze, które pozwalają mi kierować, reżyserować, zdobywać. A to chyba lubię robić najbardziej: wywierać wpływ. A jak było z panem? Dlaczego akurat muzyka?

Jego twarz przybiera poważny i skupiony wyraz.

– Najpierw są ludzie, a dopiero potem muzyka. Zespół, z którym pracuję. Wzajemne dopasowanie i sztuka kompromisu. A wszystko po to, abyśmy mogli stanowić jeden organizm. Lubię to wszystko wypracowywać, tak samo jak

lubię budować nowe wartości w muzyce. My nie odtwarzamy, my tworzymy.

– To rzadkie. Piękne. I chyba trudne. Szczególnie na początku, kiedy nie jesteś jeszcze na swoim miejscu. – Patrzę na niego z szacunkiem i podziwem. Dobrze go w tej chwili rozumiem.

Siedzimy przez chwilę bez słowa, każde z nas zamknięte w swoim własnym świecie i pogrążone we własnych myślach. Ciszę przerywa dźwięk telefonu wibrującego w mojej kieszeni. Wyciągam go z bluzy i pobudzam ekran do życia.

Przepraszam, skarbie, praca w terenie. Kiedy będziesz w domu? Mam coś dla ciebie.

Wpycham telefon do kieszeni, udając, że nie odczytałam wiadomości od ojca. Ale zdradza mnie chyba wszystko. Wiercę się niespokojnie na krześle i instynktownie zdrapuję lakier z paznokcia – to mój stały rytuał, do którego wracam, kiedy się denerwuję. Ta namiastka jego zainteresowania i obietnica zmieniają mnie w łasego pieszczot szczeniaka, takiego, co za jedno dobre słowo zapomina o wyrządzonej mu wcześniej krzywdzie. Zwykle taka nie jestem, ale teraz, po tej rozmowie, odzywa się we mnie ten pieprzony dzieciak, który wciąż jeszcze ma nadzieję. Dzieciak, któremu wcale nie tak spieszno do dorosłości.

– Coś się stało? – Sąsiad wyczuwa zmianę w moim zachowaniu.

– Nie, wszystko w porządku, ale muszę już lecieć. – Biorę kopertę i zasuwam za sobą krzesło. – Dzięki, panie Benjaminie. Naprawdę. Za wszystko.

LENA

19 lipca 2019 r.

Godzinny pobyt w dziesięciopiętrowym bloku przy Wincentego Pola uświadomił mi, jak anonimowym i samotnym można być, mieszkając pośród ludzi. O Benjaminie, ulicznym grajku w przebraniu klauna, nikt tam nie słyszał. Jakby nie istniał, jakby nigdy tam nie mieszkał. Jediną osobą, która zareagowała na jego imię, była staruszka spod czwórki. Nie zdążyłam jej jednak o nic wypytać, bo zatrzasnęła mi drzwi przed nosem w obawie, że jestem żądną sensacji dziennikarką albo złodziejką. Poza nią rozmawiałam z dwunastoma innymi mieszkańcami. O ile w ogóle można nazwać rozmową kilkusekundową i mało wylewną interakcję. Kolejne zdziwione twarze pojawiające się za uchylonymi drzwiami. „Kogo? Nie, nie znam”. Nieśmiały uśmiech. „Mieszkam tu od niedawna. Przepraszam, chyba nie pomogę”. Zmarszczone gniewem brwi. „Co mi tu pani jakiś kit wciska! Nie mam czasu. Idźże pani stąd!” Trzask!

Reakcje były naprawdę przeróżne, za to żadna z nich nie przybliżyła mnie do poznania zamordowanego wczoraj człowieka ani do odpowiedzi na pytanie, o czym chciał ze mną porozmawiać. Po cichu liczyłam też, że skoro Benjamin mnie rozpoznał, to może zrobią to także inni mieszkańcy bloku. Zakładając, rzecz jasna, że facet nie miał świra i czegoś sobie nie ubzdurał. Ale nikomu moja twarz nie wydała się znajoma. W obliczu ostatnich wydarzeń nabierałam coraz większej pewności, że to, co się stało, nie było przypadkowe. Na ten temat policja wypowiedziała się bardzo niechętnie i lakonicznie:

„Twa ustalanie przyczyn śmierci siedemdziesięciodwuletniego Benjamin N., ulicznego grajka. Jego zwłoki znalezione zostały wczoraj rano w jednym

z sopockich parków. Ze względu na dobro śledztwa na tym etapie nie będą ujawniane dalsze szczegóły”.

Czyli ślepy zaułek. Wiedziałam o tym wszystkim już od wczoraj.

By do obecnych rozczarowań dorzucić kolejne, powinnam obejść dwa ostatnie piętra bloku i drążyć dalej, ale nie widzę w tym większego sensu, więc rezygnuję. Przez uchylone na klatkę schodową okno wpada parne powietrze i przykleja bluzkę do moich piersi. Naprawdę muszę porządnie przewietrzyć głowę. Bieg przez osiem pięter klatką schodową, z której bucha gorąc i wilgoć, idealnie się do tego nadaje. Docierając na dół, myślę drzwi i opuszczam blok bocznym wejściem, od strony podwórza. Dopada mnie wtedy nieodparte wrażenie, że już tu kiedyś byłam, co jest przecież niemożliwe. Wciśnięta między bloki niska zabudowa domków jednorodzinnych wygląda jednak jakoś znajomo. Wysokie na dwa metry żywopłoty, które mają zapewnić mieszkańcom trochę prywatności. Rząd jedenastu garaży z oblażącą z nich farbą, zamazanych szpetnym graffiti. Tak, je również kojarzę.

Jakaś siła, a może po prostu ciekawość, pcha mnie naprzód. Idę wąską alejką i docieram do niewielkiego dwukondygnacyjnego domu. Wisi na nim tabliczka z napisem „Na sprzedaż”. Dom ma swoje lata – świadczą o tym ciekące w kilku miejscach rynny, przybrudzony tynk i dachówki w nie najlepszej kondycji, ale jako jedna z nielicznych posesji na ulicy może poszczycić się zadbanym ogródkiem. Staję przy płocie na wysokości kilku owocowych drzewek, palce wczepiam w metalowe sztachetki i wypatruję, choć sama nie wiem czego. Moją uwagę przykuwa hałas walizki ciągniętej po płytach chodnikowych. Podchodzę do furtki i dostrzegam po drugiej stronie kobietę. Ma najwyżej trzydzieści lat. Wrzuca właśnie walizkę do bagażnika starego saaba, a pod pachą trzyma zrolowaną poduchę. Czarne kosmyki włosów ma pokryte czymś białym, chyba pajęczyną. Jest w dresie usmarowanym jakąś czarną mazią albo smarem. Wygląda mi na kogoś, kto jest w trakcie remontu albo przeprowadzki.

– Czy mogę obejrzyć dom? Jestem zainteresowana jego kupnem – mówię z udawanym entuzjazmem, wskazując na tabliczkę. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy.

– Teraz? – Kobieta zerka na zegarek. Patrzy na mnie czujnym wzrokiem piwnych cętkowanych oczu.

– Zajmę pani dosłownie chwilkę.

– No dobrze, proszę – mówi po krótkim zastanowieniu. Ociera dłonią spocone czoło, zamyka bagażnik i otwiera mi furtkę.

Wejście na posesję jest jak wtargnięcie na obcy teren, w dodatku taki o podwyższonym stopniu ryzyka. Nie mam pojęcia, skąd wziął się ten lęk i co się ze mną, do cholery, dzieje. Dom niczym się przecież nie wyróżnia. W zadbanym ogrodzie rosną kwiaty, na ganku stoi zabłocony rower i pusta miska jakiegoś zwierzaka. Ot, ślady normalnego życia.

W środku dom wygląda przytulnie, ale zauważam też architektoniczne fuszerki, które równie dobrze mogą być ekscentrycznym kaprysem jego właścicieli. Liczne skosy i zakamarki odbierają mu przestrzeń, niewielka kuchnia jest ciemna i zawalona meblami. W salonie, nie wiedzieć czemu, obniżono sufit, przez co ta niewielka przestrzeń przytłacza jeszcze bardziej. Błądzą wzrokiem po przykrytych folią meblach, w powietrzu unoszą się drobinki kurzu. W pewnym momencie zatrzymuję wzrok na wyeksponowanym w głównej części salonu kominku, a konkretnie na miejscu po brakującej cegle. Podchodzę do szczerby, sama nie wiem, czego się tam spodziewam, wsuwam dłoń w dziurę i natrafiam na grubą warstwę kurzu albo sadzy. Nie wiem. Opuszki moich palców są po prostu czarne. Kiedy wyciągam z kieszonki torebki chusteczkę, by je oczyścić, czuję na sobie wzrok właścicielki. Jest czujny i podejrzliwy. „Po co, do cholery, wpychasz rękę w tę dziurę?!” Te właśnie słowa z niego wyczytuję. Wtedy zdaję sobie sprawę, że faktycznie, moje zachowanie musi wyglądać co najmniej dziwnie.

– Dlaczego go pani sprzedaje? – pytam, by odwrócić jej uwagę od siebie. – Nie chcę być wścibska, chodzi o to, że

wolę poznać jego mankamenty, zanim zdecyduję się na kupno.
– Wskazuję na uszkodzony kominek.

– Ta dziura to drobiazg. – Dziewczyna wzrusza ramionami.
– A wracając do pani pytania: rozwód. Ale to nie wina domu, tylko niedojrzałego dupka, którego mamusia niańczyła o ćwierć wieku za długo. Mnie się znudziło. Ale to nie jest zaraźliwe, obiecuję! – Właścicielka domu wybucha spazmatycznym śmiechem. – W tej chwili dom stał się dla mnie za duży – dodaje, kiedy się uspokaja. – Chce pani obejrzeć piętro? W domu są dwie łazienki...

– Jedna jest tu, na parterze, za salonem, a druga na piętrze, przy schodach – dopowiadam.

– Skąd pani to wie?

No właśnie? Skąd?

Czuję na sobie jej świdrujące, pełne wyczekiwania spojrzenie. I ja przyglądam się sobie w ten sam sposób.

– Oglądałam inny dom o identycznym układzie pomieszczeń. – Na poczekaniu wymyślam jakieś sensowne kłamstwo.

Wydaje mi się, że dziewczyna je kupiła.

– Aha... – mówi przeciągle i nie podchwytyjąc tematu, prowadzi mnie schodami na górę.

Ze ścian ściągnięto już fotografie, a ich brak pozostawił po sobie szpetne ramy brudu, które odarły piętro z rodzinnej przytulności. Wchodzimy do pierwszego pokoju po prawej. Okazuje się on przestronną sypialnią. Stoi tam pokryta folią szafa, łóżko, dwa wielkie pudła i biało-czarna prążkowana sofa. Na ich widok robi mi się słabo. Trzymając się parapetu, wlokę się w stronę kanapy i na nią opadam.

– Wszystko w porządku? – pyta dziewczyna. Jej sylwetka podwaja się i wiruje mi przed oczami.

– Tak. Jest po prostu strasznie gorąco.

– Przyniosę pani szklankę wody – proponuje i nie czekając na moją odpowiedź, wychodzi.

Zostaję w pokoju sama, złapana w pułapkę ruchomych cieni, które drzewa za oknem rzucają na sufit. Obserwuję nieregularne ciemne plamy o ostrych krawędziach tańczące na drewnianej podłodze. Dotykam ich czubkiem buta. Wiem, że zaraz zanurzy się w lepkiej i gęstej kałuży krwi. Ale plamy znikają pod moimi stopami raz za razem, jak jakiś upiorny powidok. To wcale nie sprawia, że czuję się lepiej. Pokój gwałtownie się kołysze, a pole widzenia wyszczerbia po bokach. Moje ciało jest tak samo nieruchome jak mózg.

W progu po chwili pojawia się właścicielka domu ze szklanką wody, w której grzechoczą kostki lodu.

– Czy ktoś tutaj umarł? – wypalam, nie czekając, aż mi ją poda.

Dziewczyna robi krok do tyłu, uderzając plecami o futrynę drzwi.

– Nie jestem pierwszą właścicielką. Ten dom kupili moi rodzice ponad dwadzieścia lat temu.

Kłamie. Widzę to w języku jej ciała. Oplata się ramionami i wbija wzrok w parapet, w zdrowe paprotki o jędrnych liściach – jedyne pozostałości po zwykłym życiu, jakie się tutaj toczyło.

– Ma pani obowiązek poinformować nowego nabywcę, jeśli w tym domu stało się coś złego.

– W domach często umierają ludzie. Po prostu tak się czasem dzieje.

– Nie o to pytam. Przecież dobrze pani wie.

Dziewczyna wzdycha, drepcze przez pokój i siada obok mnie na kanapie. W rękę wpycha mi lodowatą szklankę. Pociągam z niej niewielki kojący łyk.

– Cena, o którą nawet pani nie spytała, jest niska jak na tę lokalizację. Rodzice również zapłacili za ten dom dużo poniżej stawki rynkowej.

– Dlaczego? Co się tutaj stało?

– Zanim się wprowadziliśmy, jakieś dwadzieścia lat temu, doszło tu do morderstwa – dziewczyna ścisza głos, a ostatnie słowo wypluwa jak coś obrzydliwego.

– Zginął tutaj człowiek?

Kobieta potrząsa głową.

– Nie. Zamordowano całą rodzinę. Matkę, ojca, dziecko. Nastoletnią dziewczynę.

Mrowienie w całym ciele paraliżuje moją dłoń. Jest bezwładna, a ja nie potrafię dłużej utrzymać w niej szklanki, więc szkło wypada mi z ręki.

ADA

24 października 1998 r.

Telewizor w salonie włączony jest na pełny regulator, a zwinięta w kłębek Nela leży na fotelu z zamkniętymi oczami, z kciukiem wetkniętym w usta i ludzikiem lego – jednookim piratem – wciśniętym w drugą rączkę. Piskliwe dźwięki wydawane przez kreskówkowe postacie nie zaburzają jej snu. One i równy oddech mojej siostry to na razie jedyne oznaki życia w całym domu. Unoszę małą delikatnie z fotela, wyjmuję z jej ręki ludzika i odkładam na swoje miejsce, w szczelinę po brakującej w kominku cegle, teraz odsłoniętej, ale zwykle zakrytej tekturką. Ta niewielka przestrzeń jest dla Neli jej własną jaskinią skarbów. Poza piratem w środku skrytki znajduję kilka szklanych kulek, dwie figurki wyciągnięte z jajka z niespodzianką i paczkę balonowy. Podnoszę z podłogi tekturkę i umieszczam na swoim miejscu. Potem niosę siostrę na górę, do jej pokoju.

– Wróciłaś? – mówi Nela. Przecknęła się w moich ramionach. Jedną rączką trze zaspane oczy, drugą wplata w moje włosy. – Długo cię nie było. Tęskniłam. – Po chwili przytula się mocniej, a ta jej bliskość sprawia, że spływa na mnie fala czułości.

Ze swojej sportowej torby wyciągam srebrny medal i zawieszam go Neli na szyi.

– Pamiętasz, opowiadałam ci o zawodach pływackich.

Mała kiwa z przejęciem głową.

– Wygrałaś?

– Tak jakby. Zająłam drugie miejsce. Dostałam to w nagrodę.

Wraz z triumfalnym brzmieniem moich słów ten okrągły kawałek metalu i dla niej nagle staje się bezcennym skarbem. Palce mojej siostry gładzą jego krawędzie i odlaną w nim wypukłą sylwetkę sportowca.

– Mogę z nim dzisiaj spać? – pyta.

– Jasne, możesz go zatrzymać, jak długo tylko chcesz.

Zadowolona Nela bez protestu pozwala włożyć sobie pidżamę i utulić w łóżku. Usypianie jej też nie trwa specjalnie długo. Z ulubionym misiem kaleką pod pachą i szmacianą lalką wciśniętą pod policzek mała zasypia, a ja wychodzę z jej pokoju. Śpiącą w ciuchach matkę znajduję na łóżku w sypialni, a ojca wciąż jeszcze nie ma w domu. Wyciągam z torby kopertę z biletami, otwieram ją i kładę bilety w salonie, w widocznym miejscu – na blacie dębowego stołu. Cztery starannie ułożone obok siebie wejściówki są jak pozostawione bez odpowiedzi pytanie o to, czy to ma w ogóle sens. Nie zniosę kolejnego rozczarowania. Dziś jednak chwytam się tej cieniutkiej niteczki otrzymanego wcześniej dobra.

Czuję, że okropnie śmierdę. To pewnie nie tyle wysiłek, co resztki acodinu, które w ten sposób walczą z samooczyszczaniem się organizmu. Zwykle po jego wypiciu moja ścierpnięta i przepocona skóra dochodzi do siebie przez kolejne trzy dni. Podobnie jest z żołądkiem, sercem i nerkami, które czasem wariują nawet dłużej. Idę do łazienki, po drodze wyłączając telewizor. Zrzucam z siebie przepocone ubranie i wskakuję pod gorący strumień wody, którego teraz najbardziej mi potrzeba. Kiedy nachylam się, by wyjść z brodzika, czuję gwałtowny ucisk w żołądku i wzbierające mdłości. To przez schodzący ze mnie stres albo tamto cholernie słodkie ciastko, tak to sobie tłumaczę. Pierwsza fala torsji dopada mnie chwilę później, kiedy złamana wpół dosłownie w ostatniej chwili pochylam się nad muszlą klozetową. Potem jest już tylko gorzej, raz za razem wstrząsają mną spazmy dochodzące gdzieś z głębi moich trzewi. W krótkich chwilach spokoju zaciskam palce na krawędzi klapy i przykładam policzek do kojąco chłodnych

płytek na ścianie. – Wróciłem. Skarbie, jesteś już? – Trzask drzwi wejściowych i głos ojca podrywają mnie z miejsca.

– Jestem w toalecie – odpowiadam słabo.

– Przepraszam, nie mogłem dziś przyjechać. – Poznaje, że ojciec jest teraz bliżej, przypuszczalnie w salonie. – Ale w ramach rekompensaty mam dla ciebie coś specjalnego na jutro. Kładę to na stole.

Przez chwilę nie słyszę, co robi ani gdzie jest – jedynym odgłosem w naszym domu jest plusk kolejnej porcji rzygów wyrzucanych z moich ust. Tylko to, kolejna przerwa, a potem pospiesznie stawiane w moją stronę kroki. Znam ich rytm zbyt dobrze, by nie wiedzieć, że moim ojcem kieruje teraz wściekłość. Przez kilka minut tego wieczoru czułam ulgę, ale pojawienie się ojca pod drzwiami łazienki druzgocze to wszystko, co pozostało z tamtego wyciszenia.

– Skąd to, do cholery, masz?! Skąd masz te bilety? To ten stary zbok ci je dał?

Te zmiany nastroju mojego ojca przypominają trochę życie z doktorem Jekylllem i mister Hyde'em. Choć są sporadyczne i nigdy nie nadchodzą tak niespodziewanie jak teraz, to i tak zwykle nie wiem, czego i kiedy powinnam się po nim spodziewać. Od ojca oddziela mnie dziesięciocentymetrowa bariera drewnianych drzwi. To niewiele. Ze świadomością tej bliskości kurczę się w środku, a ciało wciskam w jak najdalszy kąt.

– Chciałam, żebyśmy spędzili trochę czasu razem – tłumaczę, choć ten naiwny dzieciak, który załagał się we mnie dzisiejszego wieczoru, zdążył się już ulotnić.

– Nie o to pytam!

Głos ojca jest ostry i przenikliwy, jakby chciał mnie nim chwycić za ramiona i potrząsnąć mną.

– Dlaczego tak go nienawidzisz?

– A więc jednak? Myślisz, że po co dokleja się do nastolatki? Bo ma czyste intencje? Nie bądź śmieszna! Robi

to, bo chce dobrać się do twoich majtek.

Zakrywam uszy dłońmi, by go nie słyszeć.

– Nie w moim świecie! – krzyczę. – On jest inny niż twój, tato! A ja nie jestem taką małą szmatą jak one.

– Jak kto, do cholery?

Jak te, z którymi się pieprzysz na prawo i lewo, zdradzając matkę – omal nie wypowiedam tego zdania na głos.

Pięść ojca i bez tego trafia w drzwi, wprawiając je w drżenie. Mnie także.

– Jestem twoim ojcem i wymagam szacunku, rozumiesz?! Oczekuję, że jutro, na przyjęcie u Woškowiaków, włożysz tę cholerną sukienkę, którą dla ciebie kupiłem. I że będziesz wyglądać jak człowiek. Ta wizyta to nasze być albo nie być!

– Nie mieszaj mnie do swoich brudnych interesów!

Jeszcze jedno uderzenie pięścią w drzwi.

– To nie prośba. To rozkaz. I jak już przestaniesz, to posprzątaj dokładnie po sobie ten chlew. Zwolniłem gosposię. Czas najwyższy, żebyście z matką zabrały się do roboty. Bo w tym domu cholernie cuchnie.

Kiedy upewniam się, że ojca nie ma już po drugiej stronie drzwi, płaczę w ten sam spazmatyczny i oczyszczający sposób, w jaki wciąż wymiotuję.

Koniec z dawaniem drugich szans! Koniec bycia frajerką! Koniec!

Powtarzam to na zmianę za każdym razem, kiedy moja głowa opada nad toaletę. Po kolejnych kilkunastu minutach czuję się na tyle lepiej, że mogę wyjść na zewnątrz.

Różowa sukienka przed kolano z głębokim dekoltem w kształcie litery „V” wetknięta w papierową torbę przewiązaną aksamitną wstążką. To prezent, który dał mi ojciec, by wykorzystać mnie do swoich celów, zażegnać kłopoty finansowe. Nie wzięły się znikąd i nie zaczęły się dziś, a przede wszystkim nie pojawiły się bez powodu. Ojciec

nigdy nie umiał zarabiać na życie w uczciwy sposób. Matka, przyzwyczajona do wygodnictwa i życia w luksusie, zawsze przymykała na to oko.

Nie zadawaj zbyt wielu pytań, a będzie ci dane.

Do pewnego momentu to zdanie mogłoby być jej dewizą. Ale wszystko, nawet taka pobłażliwość, ma kiedyś swój kres.

Ojciec czuje, że usuwa mu się grunt pod nogami, więc desperacko stara się stworzyć obraz rodziny idealnej, by na tym przyjęciu łatwiej odnowić jakieś szemrane koneksje. A jaką rolę w tej grze przydzielił mnie? Mam być pewnie czymś w rodzaju lukrowanego dodatku. Po moim trupie!

Przez dwie kolejne godziny pozwalam organizmowi się zregenerować. To trudne, nawet ze słuchawkami na uszach, kiedy z sypialni starych wciąż dochodzą wrzaski i ciskane na przemian wyzwiska. A po chwili do pokoju wparowuje moja zapłakana siostra obudzona ich krzykami. Kiedy wślizguje się pod kołdrę i wtula we mnie, bo chce znów poczuć się bezpiecznie, nie mam sumienia jej odmówić. Do cholery, to taka zwykła rzecz – poczucie bezpieczeństwa. U nas zawsze było ono zachwiane, jak jakiś deficytowy, choć niezbędny do życia zasób, który szerokim łukiem omijał tylko nasz dom.

– Już niedługo, mała. Już niedługo zabiorę nas z tego piekła – mówię, głaszcząc jej włosy.

Dopiero wtedy Nela zasypia – najpierw ona, pół godziny później cały dom. O pierwszej w nocy podniesione głosy naszych rodziców wreszcie cichną.

Wciąż jeszcze jestem osłabiona, ale wyciągam z szafy plecak i ostrożnie, by nie obudzić małej, pakuję do niego cztery odblaskowe opaski. To pierwszy i zarazem ostatni taki raz, bo tego, co zamierzam z nimi zrobić, nie ma i nigdy już nie będzie na liście naszych wyzwań.

Gotowa do wyjścia, siadam w salonie i biorę telefon, w który wstukuję wiadomość. Kilka minut później pod ten sam numer wysyłam kolejną, o podobnej treści, tylko wyrażonej w bardziej naglący sposób, ale na żadną z nich nie

dostaję odpowiedzi. Po chwili wahania decyduję się zadzwonić.

– Zwariowałaś?! Jest prawie druga w nocy – mówi Iga, kiedy, po trzeciej próbie połączenia, wreszcie odbiera ode mnie telefon.

– Czytałaś moje wiadomości??

– Nie możesz poczekać do jutra?

– Potrzebuję was teraz! Cholera, ten jeden raz!

– Wiesz, że Łuki nie ma komórki. Ojciec go zabije, jeśli obudzimy ich rodzinę, dzwoniąc na stacjonarny.

– Nie dzwońmy. Zajdziemy po niego po drodze. Zadzwoni tylko do Kamila i powiedz mu, żeby był na miejscu, okej?

Po drugiej stronie słyszę ciężkie westchnienie mojej przyjaciółki.

– Co się dzieje, Ada?! – odzywa się po chwili, słysząc w słuchawce mój szloch. – Było przecież dobrze. Miałyśmy cholernie udany dzień.

Ty tak, ja nie. Nic tak naprawdę nie wiesz, myślę. Nie wiesz, że trenerka jest tylko jedną z wielu, dla których tacy jak ja, mimo odniesionych sukcesów, wciąż nie znaczą nic. Nie wiesz też, że dopóki czegoś nie zrobię, nie zrobię jakiegoś drastycznego kroku, w mojej rodzinie nigdy nie będzie dobrze. Nie wiesz o wielu innych rzeczach, które zmuszają mnie teraz do wyjścia z domu.

Biorę płytki oddech.

– To długa historia. Za kwadrans u ciebie?

Kolejne westchnienie Igi, ale tym razem wyczuwam w nim zrozumienie. Dzięki temu wiem, jaką decyzję podjęła.

– Lepiej, żeby to była naprawdę sytuacja awaryjna.

Wybudzony ze snu Łukasz wygląda jak strach na wróble. Nieprzytomne spojrzenie, na głowie krzywo założona wełniana czapka, spod której sterczą potargane włosy.

Rozpięta kurtka i wystająca spod niej góra od pidżamy wiszą na jego wychudzonym ciele. W ręku trzyma płaski kamyk, którym rzuciliśmy w szybę jego pokoju.

– Co się dzieje? Mam nadzieję, że macie wystarczający powód, żeby wyciągać mnie z wyra o tej porze – mówi, patrząc na nas pytająco podkrążonymi oczami. Najpierw na mnie, potem na Igę, a na końcu na Kamila. Wszyscy poza mną wyglądają na oszołomionych i zaspanych.

– To był pomysł Ady. Niech ona się tłumaczy – odzywa się Iga.

Przez chwilę idziemy w stronę lasu, ukryci w mroku i pogrążeni w zupełnym milczeniu. Oni nie naciskają na mnie, a ja się nie spieszę. Zbieram za to myśli, by nadać swoim słowom jakiś głębszy sens. Kiedy kilka minut później kończę wtajemniczać ich w swój plan, wisząca w powietrzu i tak ciężka atmosfera wyczekiwania staje się jeszcze bardziej nerwowa.

– Zapomnij! – słowa sprzeciwu Łukasza brzmią twardo i kategorycznie, zgodnie z moim przypuszczeniem. – Ja odpadam. Nazwijmy rzecz po imieniu: to jest pojebane i wbrew naszym zasadom.

– Wyzwania akceptujemy wspólnie z przynajmniej tygodniowym wyprzedzeniem – wtóruje mu Kamil. – Wciągasz nas w bagno swoich rozgrywek, Ada. Tak to czuję. Nie powinno nas tu w ogóle być. Nie powinnaś nas o to prosić.

Okej. Byłam gotowa na ich odmowę, ale nie na to, by się teraz poddać.

– Nie będziecie się narażać. Chcę tylko, żebyście tam ze mną poszli, a ja sama zajmę się resztą.

– A pomyślałaś, co będzie, jak już to zrobisz? Rozumiesz, jakie mogą być tego konsekwencje? Jak przejdiesz przez punkt A, to musisz też dojść do punktu B, a cholera wie, dokąd to cię zaprowadzi. Stara, od tego nie ma odwrotu. – Łukasz zrównuje swój krok z moim, łapie mnie za ramię. –

Jezu, jesteś cała rozpalona. Czy ty w ogóle wiesz, co chcesz zrobić?

Wyszarpuję się z jego uścisku i idę dalej sama.

– Podjęłam już decyzję. Jesteście ze mną czy nie?

Zamykam oczy, próbując wywnioskować z samych tylko otaczających nas dźwięków, co zdecydowali. Pierwsza dochodzi do mnie reakcja Igi – jest nią szelest trącanych gałązek, a po nim jej głos.

– Dobra, zróbmy to. Jeden za wszystkich, wszyscy za...
Wiecie, jak to leci. Ja jestem na tak. Kto jest z nami? Łukasz?

Odwracam się, widzę Igę przy swoim boku. Kamil, stojący na skraju leśnej polany ze wzrokiem wbitym w mech, skubie korę drzewa i unika mojego spojrzenia. Ostatni z naszej paczki, Łukasz, krzyżuje ramiona na piersiach, na znak tego, że jest wściekły, nie na mnie, prędzej na swoją niekonsekwencję. Obaj wydają się już nie tak pewni swojej decyzji, jak przed chwilą.

– Co masz tam w środku? – pyta Łukasz, wskazując na plecak. Robi krok w moją stronę, czym przekracza dokładnie tę granicę, na której zdobyciu mi zależało.

Z entuzjazmem otwieram swoją kostkę i pokazuję mu jej zawartość. Wyciągam opaski i oplatom nimi najpierw swoje ręce, potem nogi. Po błysku w oczach Łukasza poznaję, że przeciągnęłam go już na swoją stronę, a to oznacza, że Kamil nie będzie miał dość odwagi, by się wyłamać.

A więc to ma naprawdę stać się teraz – tej nocy najeżonej mrokiem.

LENA

20 lipca 2019 r.

Ciekawe, co powiedziałyby o mnie ktoś, kto musiałby wydać opinię tylko na podstawie wyglądu mojego mieszkania i jego przypadkowego, chaotycznego wystroju, który powielam z każdą kolejną przeprowadzką. Jakby wszystkie te zgromadzone do tej pory szpargały, tak jak faceci, były tylko czymś przejściowym w moim życiu. Niektóre rzeczy rozdaje sąsiadom albo oddaje na lokalne akcje zbiórki darów, z innymi wciąż idę dalej. Pośród nich jest łapacz snów przywieziony z Peru, kilka moich prac, z którymi nie potrafiłam się rozstać, filcowe ręcznie wycinane zasłony, nietknięta kolekcja filiżanek do kawy. No i kwiaty. Przeprowadzka z jedenastoma donicami to koszmar, ale zbyt cenię sobie ich nienachalne, a jednak miłe towarzystwo, by móc się ich pozbyć. Nie tylko to nas łączy. Uczę się od nich, jak właściwie pielęgnować życie. Jest jeszcze to samo łóżko stojące zawsze w centralnym miejscu pokoju. Znad pościeli unosi się teraz pierwotny, zwierzęco-słodkawy zapach seksu. Dziś było inaczej niż zawsze. Trzy lata temu, po wielu eksperymentach, głównie szybkich numerkach pozbawionych z mojej strony wszelkiego emocjonalnego zaangażowania, moje ciało stało się odporne na dotyk. Ulegało powolnemu procesowi degradacji, seks zaczął sprowadzać się dla mnie do machinalnego, tylko czysto fizycznego zbliżenia. Filip był pierwszym mężczyzną, któremu pozwoliłam się pieścić i dotykać. A to często przypominało błędzenie po zapomnianych i nieodkrytych miejscach mojego ciała, tej nocy jeszcze odważniejsze niż zwykle.

– Wszystko w porządku? – odzywa się mój chłopak, nadal zagrzebany w kołdrze.

Siedzę na parapecie otwartego okna z podciągniętymi pod brodę nogami, kubkiem parującej miętowej herbaty w rękę i twarzą wystawioną do słońca. Mam na sobie rozpiętą lnianą koszulę Filipa, która powiewa na wietrze.

– Nie przeszkadzało ci nigdy, że taka byłam?

– Co masz na myśli?

– Zimna. Momentami nawet obojętna. Oddaję siebie tylko na trochę, ale nigdy na dłużej.

Filip zrzuca z siebie kołdrę, naciąga T-shirt i przygląda mi się z bezpiecznej odległości w taki sam sposób, w jaki krytyk sztuki mierzy się z muzealnym eksponatem – z zaciekawieniem i dojrzewającą w głowie interpretacją. Na jego twarzy pojawia się tajemniczy uśmiezek.

– Może przeszkadzałoby, gdybym naprawdę wierzył, że taka jesteś. Ale nigdy nie miałem cię za zimną i obojętną, chociaż bardzo starasz się mnie do siebie czasem zniechęcić. Sęk w tym, że ja nigdy nie szukałem dziewczyny idealnej, a tym bardziej pustej i gładkiej, nieskomplikowanej. Nie zniósłbym takiej. Doceniam w tobie jeszcze różne inne rzeczy. Nie mówisz mi wszystkiego, jeszcze nie, ale jak dotąd mnie powiedziałaś więcej niż komukolwiek innemu. Wiesz tylko, czego się boję?

– Czego? – pytam, chociaż nie jestem pewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź.

– Że nie wiem, czy bardziej kocham ciebie, czy tę ukrytą w tobie ideę.

Milczę w obawie, by nie usłyszeć na swój temat kolejnych przekonujących teorii. Wtedy Filip staje obok, przyciąga mnie do siebie i całuje.

– Coś cię gryzie od wczoraj, przecież wiem.

Z tym wstępem do naszej rozmowy jest mi łatwiej powiedzieć coś, do czego zbieram się od wieczoru. Przyznaję, nie spodziewałam się, że Filip jest facetem, który ma w sobie intuicję i ten szczególny rodzaj woli walki. O mnie.

– Człowiek z saksofonem, ten sam, który był na moim wernisażu, nie żyje. Został zamordowany – mówię, nie patrząc Filipowi w oczy.

Jeśli jest zaskoczony, nie daje tego po sobie poznać.

– Dwa dni temu poszłam na molo, by z nim porozmawiać – dodaję. – Jakiś wewnętrzny impuls kazał mi się z nim zobaczyć, nawet jeśli okazałby się obłąkany albo mnie wtedy z kimś pomylił.

Filip podchodzi do stołu i zabiera z niego swój zegarek. Zapinając go na nadgarstku, siada na sofie i mierzy mnie czujnym wzrokiem opiekuna albo psychologa.

– Spotkałaś się z nim?

– Nie, spóźniłam się. Przyjechałam dokładnie wtedy, kiedy zabierano jego ciało. To, co się wydarzyło na wernisażu i potem w parku, było tak abstrakcyjne i okropne, że wciąż nie mogłam dojść do siebie. Wczoraj rano poszłam więc do domu, w którym ten człowiek niedawno mieszkał, licząc na to, że dowiem się o tym gościu czegoś więcej albo może ktoś mnie rozpozna. Nic takiego się nie stało, ale na tej samej ulicy natknęłam się na wystawiony na sprzedaż dom. Poszłam tam. Byłam w środku. I wtedy wydarzyło się coś naprawdę dziwnego. Znałam dokładnie rozkład pomieszczeń, a przed oczami raz po raz stawały mi okropne rzeczy. Były jak błyski – takie krótkie intensywne obrazy, które od razu znikają. I to przeczucie, że wydarzyło się tam coś naprawdę złego. To miejsce było trochę jak dom z moich koszmarów, te same schody, te same drzwi, ten sam paraliżujący mnie lęk. A potem jego właścicielka przyznała, że dwadzieścia lat temu z rąk włamywacza zginęła tam prawie cała rodzina. Matka, ojciec, nastoletnia córka. Ocalało jedynie najmłodsze dziecko – czteroletnia dziewczynka – i tylko dlatego, że schowała się w jednym ze schowków, w którym przesiedziała przez całą noc. To jak pieprzone *déjà vu* z moich koszmarów.

– Chyba nie myślisz, że ta dziewczynka to ty? Dwadzieścia lat temu mieszkałaś ze swoją ciotką. I to już od czterech lat.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić. Niewiele pamiętam z pierwszych czterech lat swojego życia, w zasadzie nie pamiętam zupełnie nic.

Szybko i dokładnie. Z taką właśnie ekspresową starannością ubrał się Filip w trakcie mojego wyznania. Poprawka. Zdążył jeszcze włożyć i zawiązać buty.

Teraz podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu.

– Lena, wiem, że twoje dzieciństwo to paskudny czas i że chciałabyś, by wyglądało ono inaczej. Ale boję się, że wkręcasz się w coś poschizowanego tylko dlatego, by zapomnieć o tamtym i poczuć się lepiej.

– Poczuć się lepiej? – Zeskakuję z parapetu i zrzucam z siebie jego rękę. – Mówię o zamordowanej przez jakiegoś szaleńca rodzinie. Jak mogę z tą świadomością w ogóle czuć się lepiej?

– Okej, rozumiem. Chcesz się upewnić, co jest grane. Masz mętlik w głowie, też pewnie zacząłbym svirować. Ale po kolei. Szukałaś czegoś na ten temat w internecie albo rozmawiałaś z policją?

– Nie. Nie miałam odwagi zrobić tego sama.

– Znasz dokładną datę zdarzenia i adres tego domu?

– Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy, ulica Wincentego Pola, ale nie pamiętam numeru.

Filip nie pyta o nic więcej, siada na sofie, otwiera swój laptop i w wyszukiwarce wstukuje adres i datę, które mu podałam, dodając do nich kombinację słów „Gdynia zabójstwo rodzina”. Lista wyników nie jest długa, co tłumaczę tym, że w dziewięćdziesiątym ósmym internet dopiero raczkował. Gdyby do tego zabójstwa doszło kilka lat później, dziesiątki sensacyjnych artykułów zalałyby sieć. Mimo wszystko znajduję to, na co liczyłam.

– Zaczekaj – powstrzymuję Filipa, który przesuwa dłonią nad jednym z linków. Odbieram mu myszkę i klikam.

Bestialski mord w centrum Gdyni

Pod tytułem zadrukowanym pogrubioną czcionką ładuje się grafika, zamazany dowód na istnienie rodziny opisaną mi przez właścicielkę domu. Niewyraźne maźnięcia przechodzą powoli w cztery wyraźne sylwetki, a na końcu w uśmiechnięte twarze. Po lewej stronie zdjęcia stoi ojciec, krzepki, rumiany i na oko raczej władczy facet po czterdziestce, który nie robi na mnie dobrego wrażenia. W bordowej marynarce, z lisim uśmiechem przyklejonym do twarzy, wygląda na przedsiębiorcę, biznesmena albo cwaniaczka. Ręką obejmuje w pasie atrakcyjną blondynkę w żakiecie i dopasowanej spódnicy. Kobieta wydaje się przygarbiona i zagubiona. Przypomina kogoś, kto został wyprany z chęci i radości życia. Po jej twarzy błąka się nieśmiały albo zakłopotany uśmiech, trudno powiedzieć. W niewielkiej odległości od rodziców stoją ich dwie córki. Dzieli je spora różnica wieku i wygląd. Starsza ma piękne, wyraźne rysy i zgrabną figurę, ale zrobiła chyba wszystko, by te atuty swojej urody ukryć. Poprzecierana i ozdobiona wyzywającymi naszywkami kurtka jest przynajmniej o dwa rozmiary za duża, podobnie dzinsy. Matowe i sztywne włosy, wyglądające na martwe, sterczą z jej głowy jak słoma. Mimo to emanuje z niej miłość do młodszej siostry, trzyma ją na fotografii za rękę. Obiektyw aparatu uchwycił moment, w którym mówi coś do roześmianej dziewczynki w różowej sukience. Zbliżam kadr na małą, na jej prawy policzek. Jakość zdjęcia nie jest może rewelacyjna, ale bliźna znajduje się bezsprzecznie w tym samym miejscu, co moja. Jest mniejsza, przez co wydaje się delikatniejsza, ale jej kształt wygląda na identyczny. Nie tylko ten szczegół nie pozwala mi oderwać od małej wzroku. W ręczce dziewczynka trzyma białego pluszowego misia z jednym uchem i czerwoną kokardą przytwierdzoną do szyi. Jest ładząco podobny do tego, który często powraca w moich snach.

Minimalizuję artykuł i otwieram kolejny, opublikowany półtora roku później. Również i tym razem chwilę czekam na załadowanie się zdjęcia, na którym w końcu pojawia się przestraszony długowłosy chłopak w więziennych ciuchach.

Zabójca trzyosobowej rodziny popełnia samobójstwo w celi

Z treści artykułu wynika, że skazany prawomocnym wyrokiem dwudziestoletni Eryk N., syn gosposi zatrudnionej przez rodzinę S., popełnił samobójstwo po dwóch latach odsiadki. Karę dożywocia odbywał za nieudane włamanie, które przerodziło się w krwawą jatkę, kiedy na gorącym uczynku przyłapał go gospodarz domu. Chłopak nigdy nie przyznał się do zadźgania trojga ofiar nożem myśliwskim, ale dowody – między innymi odciski palców znalezione w domu i skradziona tamtej nocy biżuteria, zastawiona przez niego w lombardzie następnego dnia – pozwoliły wsadzić go za kratki. Z kolejnych artykułów nie dowiaduję się niczego nowego, to tylko kilka nowych zdjęć i garść tych samych, jedynie ubranych w inne słowa faktów.

Ada, Marek, Katarzyna, Nela – przewijające się przez publikacje imiona tłuką mi się w głowie.

Nela – czy faktycznie ja jestem tą ocalałą dziewczynką?

Wiem, kto może znać odpowiedź na to pytanie, i za to potencjalne okrutne kłamstwo w tej chwili nienawidzę jej jeszcze bardziej.

ADA

25 października 1998 r., noc

Stoję oparta o drzewo, na wystającym korzeniu, sparaliżowana ze strachu. Mój oddech jest ciężki i przyspieszony. Ale to nie to powstrzymuje mnie przed ruszeniem naprzód. Ani oddech, ani rozcięty o asfalt łokieć, w którym wciąż odczuwam tępy ból. Rana na rękę jest niczym w porównaniu z tym, co zostawiliśmy za sobą na drodze, z tym, co właśnie zrobiliśmy tamtemu człowiekowi.

Trzask łamanych gałęzi i oddalające się ode mnie kroki są kolejnym dowodem istnienia koszmaru, w którym się znalazłam. W stłumionych rozproszonych po lesie głosach moich przyjaciół wyczuwam panikę. Nie cichną. Nawołują mnie i siebie nawzajem, a mrok nocy rozjaśnia tylko raz po raz światło ich latarek. Jestem jedyną z naszej czwórki, która milczy. Jedyną, która wtapia się w noc i wcale ich nie szuka.

– Ada, do cholery, gdzie ty jesteś?!

Głos Igi nie ma twarzy, jest tylko odległą pustką wydobywającą się gdzieś z głębi lasu.

– Wyłaż! Zaraz ktoś go zauważy i zlecą się tu gliny! – to wciąż ona, moja przyjaciółka.

Staram się wstać i zmuszam, by zastosować się do naprędce obmyślonego przez nią i Łukasza planu, ale wciąż nie potrafię. Kulę się i kucam oparta plecami o szorstką korę. Nie wiem, dlaczego to robię, po prostu muszę czuć jakąś fizyczność, coś, co da mi teraz punkt oparcia. Ale to i tak niczego nie zmienia. Po raz kolejny nie udaje mi się wymazać obrazu, który wdarł się we mnie i nie chce odejść. Widzę go, niezależnie od tego, czy otwieram powieki, czy je zaciskam. Za każdym razem jest tak samo upiorny.

Martwy człowiek, mężczyzna w średnim wieku, wciśnięty w fotel kierowcy. Był przypięty pasem, ale przy zderzeniu z barierą ochronną i w starciu ze zdartą z niej ostrą poszarpaną blachą, która przebiła drzwi, nie miał żadnych szans. Nie mogłam przyjrzeć się jego twarzy, odwróconej do mnie bokiem. Kiedy dopadłam do samochodu, cała jego koszulka była zalana krwią. Nie mam pojęcia, kim był ten człowiek, nie mam pojęcia, dlaczego tak krwawił. Ostra krawędź blachy przebiła karoserię i kończyła się gdzieś w jego przygwożdżonym do fotela ciele. Otworzyć drzwi i wyciągnąć go stamtąd albo zadzwonić po pomoc – to był mój pierwszy odruch, który doskonale wyczuł Łukasz. Zagroził mi przejście i nie pozwolił otworzyć drzwi. To wtedy, kiedy mnie odepchnął, upadłam na asfalt, raniąc się w łokieć. Stojąc nade mną wraz z Igą, błyskawicznie obmyślili plan, na który nie mogłam się zgodzić. Ale moje zdanie się nie liczyło. Przerazony nie mniej niż ja Kamil nie mógł się im sprzeciwić.

– Ada, co ty wyrabiasz! Wiejemy! – Z mroku wyłania się jasna łuna światła, a tuż za nią Iga. Przyjaciółka chwyta mnie za ramię i przyciąga do siebie.

– Trzeba mu pomóc – mówię, tępo wpatrując się w jej twarz. Nie pozwalam jej się podnieść, ale ciągnięta za ramię ląduję po chwili na czworakach i, wciąż się zapierając, szoruję kolanami o wilgotną ziemię. Pałająca kula w przetyku przyprawia mnie o mdłości. Czuję, że za chwilę zwymiotuję.

– Pogięło cię? Facet jest trupem. Idziemy!

– To my mu to zrobiliśmy... Nie możemy... – słowa grzęzną mi w gardle.

– Nie my, tylko ty. To był twój, kurwa, pomysł! – Światło latarki Igi razi moje oczy. – A teraz się ogarnij! – Uderza mnie otwartą dłonią w twarz. – Tu nie chodzi tylko o ciebie. Nie spierdolisz nam życia!

To był mój pomysł. Ja ich w to wciągnęłam.

Ja zabiłam tego człowieka.

To prawda.

Wbrew sobie, wbrew swojemu ciału, wbrew temu, co czuję, że powinnam zrobić, wstaję i pozwalam się prowadzić. Idzie. W tych okolicznościach moja przyjaciółka wydaje mi się całkiem inna, niehumanitarno rzeźka i szybka. Tak jakby śmierć wydobyla z niej pierwiastek odważnego, ale bezwzględniego przywódcy, który zrobi wszystko, by ocalić siebie i innych członków grupy. A może od zawsze go w sobie miała, a ja do tej pory tylko udawałam nieustraszoną, jak wstrętna kłamczucha. Wlokę się za przyjaciółką, spowalniając nasz marsz. Kolejna szyszka pod stopą, kolejne ostre źdźbło trawy, kolejny wystający z ziemi korzeń. Kolejny rozsadzający mi czaszkę wyrzut sumienia. Mimo wszystko suniemy dalej, coraz dalej od śmierci i pozostawionego na obwodnicy rozbitego samochodu.

Lena

21 lipca 2019 r.

To dziwne i niepokojące uczucie – powrót do miejsca, które opuszczałam w pośpiechu. Spaliłam wtedy za sobą wszystkie mosty.

Przejazd kolejowy i trzy wbite w ziemię drewniane krzyże to czarny punkt na mapie Puszczykowa, który mijałam codziennie w drodze do szkoły. Bunkry w lesie, stara żwirownia, zakole Warty i cukiernia, w której pracowała moja ciotka. Tam też często kiedyś bywałam. Anka, Dawid, Krystian, Marysia. Moi kumple. To oni byli przy mnie, kiedy nie miałam nikogo innego.

Ale wraz z moim wyjazdem do Trójmiasta wszystkie te twarze i miejsca przeniosły się natychmiast do krainy niepamięci. Ot tak, jakby nigdy nie istniały. Nawet nie dlatego, że nie nawiązałam tu z nikim bliskiej relacji. Kilkoro przyjaciół i wspólnie spędzany czas stało się dla mnie w okresie dorastania załączkiem normalnego życia. To było jednak za mało, żebym mogła potem przywoływać ciepłe wspomnienia z tamtych lat, a tym bardziej, żeby w Puszczykowie pozostać.

Pragnienie ucieczki i całkowitego odizolowania się od ciotki osiągnęło apogeum tuż po maturze. Zmusiło mnie, by wyjechać i wymazać z pamięci wszystko, co związane z tym miasteczkiem. Zrobiłam to, a przynajmniej myślałam, że mi się to udało. Że zapomniałam te dni, które miały mi jak we śnie, szarym i monotonnym. Nijakim. Czasem, jako dziecko, a potem nastolatka, bywałam skołowana do tego stopnia, że sen wydawał mi się jawą, a rzeczywistość rodziła się w mojej śniącej głowie. To, o czym marzyłam nocą, zawsze było

skrajnie odmienne od tego, czego w rzeczywistości doświadczałam u boku ciotki.

Wyjazd na studia miał mi umożliwić zapisanie nowej karty w życiu. Miał. W praktyce całkowite odcięcie się od niej okazało się niemożliwe, a najlepszym tego dowodem jest ta nić z mojej przeszłości, która znów przywiodła mnie tutaj.

Stoję teraz przed budynkiem, w którym spędziłam kilkanaście lat swojego życia. Wciąż nie potrafię nazwać go domem. Miejsce, w którym dorastałam, to tylko smętna kwadratowa bryła z czerwonymi dachówkami i zaciągniętymi we wszystkich oknach roletami. Niedostępne i nieprzyjazne, jest takie samo jak dawniej. Nienagannie przyszyżony trawnik i kilka posadzonych na klombie begonii to jedyny przejaw życia tutaj. Dokładnie tak samo zapamiętałam to miejsce, kiedy sześć lat temu z torbą przewieszoną przez ramię zatrzasnęłam za sobą drzwi i pognałam na pociąg do Gdyni.

Skorodowany saab, samochód ciotki Emilii, stoi na podjeździe. A więc wróciła już z cukierni. Zakładam, że nawet teraz ciotka nie zdobyła się na przełamanie swojej codziennej rutyny. Praca na poranne zmiany – odkąd pamiętam, tego harmonogramu lubiła się trzymać.

Staję pod drzwiami frontowymi, ocieram o spodnie spocone i drżące palce i pukam do drzwi. Początkowo nikt nie reaguje. Dopiero po dłuższej chwili słyszę dobiegające z holu ciche kroki. Drzwi otwierają się, a po ich drugiej stronie stoi ciotka Emilia – kobieta o dobrotliwej twarzy. Tylko ja wiem najlepiej, że to jedynie pozory. Tak naprawdę jest zimnym, pozbawionym empatii człowiekiem. Przyglądam się dokładniej jej innej niż zwykle, bo wymizerowanej dziś twarzy. Kości policzkowe sterczą jej spod skóry, podkreślając czarne pierścienie pod oczami. To nie efekt zmęczenia, ale raczej dowód trawiącej ciotkę choroby. Patrząc na nieudolnie ukryte pod chustką przerzedzone włosy i domyślam się, o co chodzi. W jedynym odkrytym na głowie miejscu widzę połąć gołej skóry. Mimo swojej niechęci instynktownie wyciągam ręce, by w tej sytuacji ją przytulić i okazać wsparcie. Na tę

jedną krótką chwilę zapominam o całym złu, jakie spotkało mnie w tym domu. Ciotka robi jednak krok do tyłu, a kiedy, mimo wszystko, udaje mi się ją niezgrabnie objąć, jednym ruchem wyszarpuje się z moich ramion i odpycha mnie od siebie. Cofam się i ląduję na jednym ze schodków.

– Co ty tutaj robisz? – mówi, unosząc głowę.

Natychmiast przytomnieję. Stoimy i przyglądamy się sobie bez cienia sympatii.

– Mogę wejść? – pytam po dłuższej chwili.

Ciotka nie odpowiada, ale otwiera drzwi szerzej. Biorę to za zachętę.

Kiedy przechodzę przez próg i zsuwam buty ze stóp, nie odkładam torebki na krzesło. Trzymam ją kurczowo przy sobie. Chodzi o zasady panujące w tym domu. Dobrze pamiętam, że każdy przedmiot ma tu swoje miejsce, ściśle określone. Harmonii na terenie należącym do ciotki nie wolno zaburzać.

Zostaw! Odłóż! Podnieś!

Położ! Przestań!

Nie rusz, smarkulo!

Raz, raz, dziewczyno!

Boże drogi, za co mnie tak pokarałeś!

Co z tobą, bałaganiaro?

Te i inne komendy ciągle przypominały mi, że wszystko tutaj, począwszy od artykułów spożywczych, a na meblach skończywszy, jest niemal przyspawane do swoich miejsc. Przełożenie czegokolwiek gdzie indziej groziło surową karą.

– Zaczekaj u siebie. Karmiłam akurat koty – chropowaty głos ciotki wyrywa mnie ze wspomnień.

Marsz do siebie, dziewczyno! I to już!

To zdanie też słyszałam wielokrotnie. Zawsze byłam co najwyżej dziewczyną, smarkulą, bałaganiarą, czasem

dzieckiem, kiedy ciotce dopisywał humor. Ale nigdy Leną. Chyba że ktoś akurat kręcił się w pobliżu i ciotka bała się, że mógł ją usłyszeć. W tych rzadkich chwilach zdarzało się jej zwrócić do mnie łagodniej i po imieniu.

Z holu przechodzę do mojego dawnego pokoju. Robię to bardziej z ciekawości niż po to, by wypełnić rozkaz ciotki. Meble zostały w nim te same, ale z pokoju zniknęło wszystko to, co w jakikolwiek sposób wiązało się ze mną. Na widok tej smętnej, odartej z osobistych rzeczy klitki nie czuję czułości, nie dopada mnie żadna fala wspomnień, poza jednym. Dorastając, za wszelką cenę chciałam wyrazić siebie, jak chyba każda nastolatka. Tylko że ja byłam inna. Cholernie smutny, melancholijny dzieciak, dla którego własna sztuka stawała się ostatnią deską ratunku, szczególnie w chwilach nakładanej na dzieciaka kary. Smutku i poczucia samotności nie wolno zresztą ukrywać w zaciszu pokoju. Powinno się szukać ukojenia w ramionach bliskich. Ja nie miałam nikogo, bo ciotki unikałam jak ognia. Rysowałam więc i malowałam, bo tylko to mi pozostawało, zwykle wtedy, kiedy nie wolno mi było wychodzić z domu. Za każdą pozostawioną wtedy na stole lub podłodze plamkę po farbie, czasem za ślad po kredce albo, nie daj Boże, kawałek taśmy klejącej odcisnięty na tapecie miałam kolejny szlaban. Jego obowiązywanie uzależnione było od wielkości i skali zniszczenia. Takie było zarządzenie ciotki Emilii. Zwykle kończyło się na dwudniowym zakazie opuszczania domu.

Teraz wchodzi do pokoju – kobieta, do której niezmiennie czuję niechęć. Na biurku stawia tacę z dwiema szklankami napełnionymi wodą. Wyciera mokre ręce w fartuch. Siada na krześle, a ja wciąż stoję.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Do rzeczy – odzywa się po chwili, ciskając we mnie wściekłym spojrzeniem. – Daruj sobie współczucie. A więc? Po co tu przyszedłaś? – pyta i czeka.

Biorę szklankę w rękę, ale tylko po to, by się uspokoić.

– Czyli jest po staremu, bez żadnych uprzejmości. Jak miło
– wzdycham.

Ciotka unosi prawą brew, udaje zdziwienie.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Nie odzywasz się miesiącami, to nie oczekuj, że przyjmę cię z otwartymi ramionami. Zadałam ci pytanie. – Patrzy na mnie wyczekująco.

– Chodzi o moją rodzinę. Tę, którą przede mną ukrywałaś. To o nią mi chodzi.

Wciąż nie jestem pewna swojej teorii o wymordowanej rodzinie, ale tym zagranieniem postanowiłam wy badać reakcję ciotki. Jej usta nadal przypominają cienką poziomą linię. Są takie same jak zawsze, nie wyrażają żadnych emocji.

– Katarzyna, Marek, Ada i Nela. Naprawdę nic ci te imiona nie mówią? – próbuję dalej.

Ciotka milczy, ale chyba coś w niej drgnęło, bo zrywa się z miejsca. Podchodzi do niewielkiej biblioteczki i nerwowo przekłada książki na półce. Klasyka literatury polskiej w skórzanej oprawie. W pewnej chwili kątem oka spogląda na swoje odbicie w zawieszonym na ścianie lustrze, wzdycha i spuszcza wzrok. Dopiero wtedy się odzywa.

– Jak się o nich dowiedziałaś? – pyta, nadal zwrócona do mnie plecami. Jej głos jest beznamiętny i płaski.

– A więc to prawda?! – krzyczę i podchodzę do niej.

Odpowiada mi milczeniem. Podnosi głowę i wpatruje się w skórzany grzbiet *Pana Tadeusza*.

– Dlaczego mi to zrobiłaś?!

Ciotka ciężko wzdycha i odpowiada dopiero po dłuższej chwili, wciąż na mnie nie patrząc.

– To samo pytanie mogłabym zadać twojej matce.

– Czyli komu? Nie wiem nawet, jaka relacja was łączy.

– Twoja matka, Katarzyna, była moją siostrą – odpowiada, zeskrobując z książki jakiś paproch. – Wzięłam cię, bo nikt

inny cię nie chciał. – Ciotka przenosi wzrok z Mickiewicza na mnie. Jej spojrzenie jest zimne, pełne pretensji. Ten wyraz twarzy bierze teraz górę nad chorobą. Mam przed sobą dawną, dobrze znaną ciotkę. – I nie tylko to, że byłam zmuszona cię przygarnąć, miałam mojej siostrze za złe. Spowodowała w moim życiu niewyobrażalny zamęt już wiele lat wcześniej.

Sposób, w jaki mówi o mojej matce, kimkolwiek była, sprawia, że czuję nagły przypływ irytacji. Hamuję się jednak, chcąc wyciągnąć z ciotki kolejne informacje.

– Opowiedz mi to od samego początku.

– Tutaj nie ma dobrego początku.

– To zacznijmy od dnia śmierci moich rodziców – odpowiadam, zniecierpliwiona tymi lakonicznymi bzdetami.
– Jak tutaj trafiłam?

Ciotka odwraca się, udając, że patrzy w dal.

– Byłam twoją jedyną żyjącą krewną. To naturalne, że poczuwałam się do wypełnienia ciężącego na mnie obowiązku – wypowiadając słowo „ciężącego”, robi pauzę i bierze głęboki oddech, jakby faktycznie brała na swoje barki jakiś fizyczny ciężar. – Inaczej trafiłabyś do domu dziecka, w najlepszym razie do rodziny zastępczej. Chciałam temu zapobiec. Pamiętam dzień śmierci twoich rodziców i siostry i dzień naszego spotkania. Zostałaś wtedy znaleziona w parku oddalonym o kilka przecznic od waszego domu, bosa, w cienkiej koszuli, w środku zimy. Nie wiedziałaś, po co i dokąd idziesz. Ani nawet, kim jesteś... Byłaś jak dzikie zwierzątko...

Na ustach ciotki pojawia się kwaśny grymas. Jakby przypominała sobie tamtą chwilę, ona – przymuszony do pracy hycel, ja – chore na wściekliznę zwierzę. Niefortunne spotkanie, niefortunne przecięcie naszych dróg.

– Kiedy przyjechałam na komisariat, siedziałaś w jakimś pokoju. Wierzgałaś, gryzłaś, nie dawałaś się uspokoić. To była zapowiedź trudnej, wymagającej cierpliwości przeprawy.

Z mojej strony – dodaje z emfazą. – A mimo to nie odwróciłam się od ciebie, zgodziłam się tobą zaopiekować.

– Jak dobra samarytanka – mówię z ironią.

– Co proszę? – podchwytuje ciotka i odwraca twarz w moją stronę, w jej oczach znów pojawia się ten sam nieprzyjemny błysk.

– A czego oczekiwałaś od przerażonej czterolatki, która najprawdopodobniej była świadkiem zabójstwa swojej rodziny? Że będę jak słodkie, wytresowane zwierzątko?! Reagowałam tak, bo niewykłuczone, że przed oczami wciąż miałam umierającą siostrę...

Ciotka potrząsa głową.

– To nie tak. Niczego nie pamiętałaś. Kolejnego dnia, kiedy przesłuchiowano cię ponownie, uspokoiłaś się na tyle, by móc odpowiadać na pytania. Tylko że wszystko, co mówiłaś, pozbawione było sensu. Za każdym razem podawałaś inne imię i inny adres. Żadne z nich nie było prawdziwe. Kiedy przekazano mi ciebie, zrobiłam to, co do mnie należało – recytuje wciąż ciotka to wszystko znudzonym głosem, bez cienia ekspresji.

I znów ona, nie ja, jest w tej opowieści ofiarą.

– O co ci chodzi? – pyta, czujnie mi się przyglądając. Widocznie zdradza mnie wypisany na twarzy gniew.

– Powiedziałaś: „To, co do mnie należało”? To cholernie słaby powód, by podjąć decyzję o byciu matką.

– Nigdy do tego nie dążyłam. Żeby być twoją matką. – Ciotka prychnęła, splatając ręce na piersiach. W ten sposób jeszcze bardziej odgradza się ode mnie. – Ona, twoja prawdziwa matka, zawsze pozostawiała po sobie tylko brud, który ktoś musiał później usunąć.

Robię krok do przodu i zaciskam rękę w pięść. W ostatniej chwili udaje mi się ochłonąć.

– Brud?! Byłam nim ja, Ada czy mój ojciec? I o co chodzi z tymi ciągłymi podtekstami, z tą nienawiścią do mojej

matki??

Ciotka wyczuwa niebezpieczne napięcie w moim ciele. Przechodzi przez pokój, siada na krześle i pociąga łyk wody ze swojej szklanki. Z kieszeni fartucha wypada fiolka z lekami. Podnosi ją i chowa w dłoni.

– Nie mówię o tobie ani o twojej siostrze. Jej nawet nie poznałam. Mój zatarg z twoją matką sięga odległej przeszłości. I to on doprowadził do zerwania wszelkich naszych kontaktów. Jako nastolatka Kaśka szybko nauczyła się szczególnego rodzaju okrucieństwa wobec brzydkich dziewczynek, biednych dziewczynek i takich, które prosiły, by zostawić je w spokoju – mówi, odstawia szklankę i zabiera się do prostowania fałd swojego fartucha. Robi zboląłą minę skrzywdzonego dziecka i nadal nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Nie wiem, za którą z nich uznała mnie twoja matka, ale byłam siostrą, do której nie chciała się przyznawać, osobą, którą obrała sobie za cel ataku. Na przerwach w szkole zwykle unikałyśmy siebie jak ognia, sporadycznie upokarzała mnie w obecności innych. Znosiłam to, dopóki okrutnie nie skrzywdziła mnie później.

Patrzę na ciotkę wyczekująco.

– Kiedy ona miała piętnaście, a ja trzynaście lat, pod pretekstem wspólnego spędzenia czasu Kaśka zaprowadziła mnie nad rzekę. Myślałam, że autentycznie zależy jej na odbudowaniu naszej więzi. To była jednak zasadzka. Wystawiła mnie koleżankom, którym ona przewodziła. Pozwoliła im mnie skrzywdzić. Patrzyła, jak podtapiają mnie w wodzie, a potem zabierają mi plecak i topią jego zawartość. Omal mnie wtedy nie zabiły – głos ciotki się załamuje, ale po chwili odzyskuje dawne brzmienie. – Ale nie to było w tym wszystkim najgorsze. Rodzice uwierzyli jej, nie mnie. Jej, bo była pilną uczennicą, dziewczyną sukcesu. Dzieckiem idealnym. Ja w ich odczuciu byłam zakompleksioną niedorajdą, wiecznie wystraszoną i przewrażliwioną. Nigdy jej nie wybaczyłam, choć prześladowania potem ustały. Może się przestraszyła tego, co mogło się wtedy wydarzyć. Nie wiem.

Odkąd Kaśka wyprowadziła się z domu trzy lata później, nie miałyśmy już ze sobą kontaktu.

Potrząsam głową. Nie chcę dłużej tego słuchać. Nie wierzę jej. Znow tylko ciotka i ciotka, i to jej chore poczucie niesprawiedliwości. To ona ustanawia właśnie jakąś nieistniejącą wersję mojej matki. Nie drażę tej historii. W moich myślach kłębią się kolejne pytania, a ja potrzebuję szybkich odpowiedzi.

– Chcę wiedzieć, dlaczego mnie oszukałaś – wyrzucam z siebie pierwsze, które przychodzi mi do głowy. – I czyj grób odwiedzałyśmy co roku na tym zadupiu oddalonym od Puszczykowa o pięćset kilometrów?? Wmówiłaś mi, że tam pochowani są moi rodzice!! Modliłam się na grobie kogoś obcego, kogo przez całe życie uważałam za utraconą rodzinę!!! To jest to twoje poczucie spełnionego obowiązku?

– Zmieniłam wersję zdarzeń tylko i wyłącznie dla twojego dobra – zarzeka się ciotka. – Wychowując cię, nie miałam żadnego wsparcia. Policja szybko przestała się tobą interesować, kiedy doszła do wniosku, że nic nie pamiętasz z dnia tej masakry. Zresztą znalezione dowody pozwoliły błyskawicznie wytypować zabójcę, a wtedy nie byłaś jej już potrzebna. Zostawiono cię pod moją opieką. Zapewniono na odczepne kilka godzin terapii. Postawiona wtedy diagnoza policyjnego psychologa wskazywała na fugę dysocjacyjną, której doznałaś w wyniku silnego urazu psychicznego.

– Fuga? – pytam, jakby to obce słowo miało stać się cudownym rozwiązaniem moich problemów z socjalizacją.

Ciotka kiwa głową.

– To skrajny mechanizm obronny, który się w tobie wtedy uruchomił. Dodatkowo wykryto u ciebie zespół stresu pourazowego. Straciłaś pamięć, uciekając od traumy. Nie miałaś pojęcia, co działo się w twoim życiu przed masakrą. Byłaś jak czysta karta, którą mogłam wypełnić od nowa. Uznałam, że będzie lepiej, jeśli poznasz mniej okrutną, łagodniejszą wersję wydarzeń – mówi to niemal z uśmiechem, chełpliwym tonem, jakby to ona wynalazła jakiś cudowny lek,

który miał się rozpuścić we mnie i natychmiast uleczyć każdą chorą komórkę mojego ciała. – Wersję, w której niczego nie widziałaś i niczemu nie mogłaś zapobiec. To okazało się całkiem proste. Śmierć młodych rodziców z Lublina, którzy zginęli pod gruzowiskiem, zdarzyła się naprawdę, ale cztery lata wcześniej. Sprawdzałaś ten wątek później wielokrotnie i uwierzyłaś, że jesteś częścią tamtej rodziny. Uznałam, że tak to zostawię, że tak będzie dla ciebie lepiej...

– Jak to „uznałaś”?! – wchodzę jej w słowo. – Czy to znaczy, że nie kontynuowałam terapii?!

– I bez tego zaczynałaś dochodzić do siebie...

– Niby kiedy?! – wybucham. – Wtedy, kiedy wpadałam w kolejny dół? Czy kiedy było ze mną już naprawdę źle i w końcu sięgnęłam po żyletkę, a może wtedy, gdy pół roku później wsypałam w siebie garść leków przeciwbólowych, bo ostrze żylki nie trafiło wystarczająco głęboko?

Na wspomnienie tamtych wydarzeń ciotka odwraca wzrok.

– To było tylko trudne dorastanie.

– Raczej wołanie o pomoc i wegetacja w stanie nieświadomości, który podtrzymywałaś!!! – Moje słowa nie robią na niej wrażenia. – To dlatego jestem taka!!! Dlatego całe życie mam takie popaprane relacje z ludźmi!!!

– Nie ja jestem temu winna! – Ciotka podrywa się z krzesła. – Jesteś... – bierze oddech, jakby szukała właściwego, definiującego mnie słowa – ...problematyczna, bo masz to w genach. Jesteś jak wykapana córeczka swojej mamusi.

Dociera do mnie, że to nie ma sensu. Obsesja ciotki na punkcie mojej matki jest wciąż żywa i przesłania jej obiektywne postrzeganie czegokolwiek. Co gorsza, przelała swoją nienawiść do siostry na mnie. Nie widzę w niej tylko zimnej, samotnej kobiety. Mimo choroby nadal pozostaje podłą i wyrafinowaną suką. Czuję, że nareszcie wyznała mi prawdę, bo jest jej zwyczajnie już wszystko jedno. Biorę zamach i z całych sił ciskam szklanką o biblioteczkę. Szkło

rozbija się w drobny mak, a kilka grzbietów książek ocieka wodą. Ten widok ciotkę otrzeźwia.

– Wynocha z mojego domu!!

– Pierdol się! – odwarkuję i wychodzę z pokoju.

Nie kieruję się jednak w stronę wyjścia, skręcam w prawo i idę wzdłuż nieoświetlonego korytarzyka, wprost do jej sypialni, czyli zakazanego pokoju, do którego wchodzić było wolno tylko jej. Rozsuwam drzwi olbrzymiego komandora i wyrzucam z szafy poustawiane na półkach kartony. Otwieram jeden po drugim, jak w transie.

– Co ty wyprawiasz? – słyszę za plecami głos ciotki.

– Chcę odzyskać rodzinne pamiątki. Zdjęcia, ubrania, przedmioty. Wszystko to, co jeszcze przede mną tutaj ukrywałeś.

– Wynocha, powiedziałaś!!! – Ciotka szarpie mnie za nadgarstek. – Niczego takiego tu nie znajdziesz!!! Mój dom to nie śmietnik!

Wypuszczam karton z rąk, wyszarpuję się z jej uścisku i omiatam pokój wzrokiem. Sztuczne drewno, białe gipsowane ściany, łóżko z metalową ramą zasłane kocem w kolorową kratkę. Rzeczy z kilku otwartych przeze mnie kartonów porzuciłam po podłodze. Na pierwszy rzut oka były wypełnione tylko szpargałami należącymi do ciotki. Wszystko jest tu zdezynfekowane, sterylne, nieruchome, zimne jak w każdym pomieszczeniu tego domu. Ten pokój jest tylko kolejnym starym wspomnieniem wyjętym z mojej pamięci. Wzdrygam się.

Czuję, że nie wytrzymam już w tej przestrzeni, nie wytrzymam z ciotką ani chwili dłużej. Wybiegam do holu. Jedną ręką podnoszę z podłogi buty, drugą otwieram drzwi.

– Nie zasługiwałaś na mnie! – krzyczę, nie odwracając się. Nie wiem nawet, czy ciotka mnie słyszy. Potem zatrzaskuję za sobą drzwi. Chcę tylko wrócić do domu, do swojego prawdziwego domu.

Tylko gdzie to jest?

LENA

22 lipca 2019 r.

Znalezienie miejsca pochówku moich rodziców i siostry zajęło mi mniej niż kilka minut. Podstawowe dane i parę kliknięć w internetowej wyszukiwarce – tyle wystarczyło, by się dowiedzieć, że od grobu mojej prawdziwej rodziny dzieli mnie kilkunastominutowa jazda samochodem. Przez te wszystkie lata, kiedy studiowałam, tworzyłam i pracowałam w Trójmieście, byli tuż obok. Również wtedy, kiedy zalana w trupa oddawałam swoje ciało kolejnym przypadkowym facetom, nie wiedząc, że robię to, bo nieleczone latami trauma wydrążyła mnie od środka i pozostawiła po sobie tylko wyschnięte wnętrze. Pustą skorupę. Wmówiłam sobie, że nie potrzebuję czułości, że rządzą mną tylko wściekłość i zwierzęcy instynkt.

Pojechałam na cmentarz do Pierwoszyna już z samego rana, licząc, że w ten sposób uda mi się uniknąć ludzi. Mapa znaleziona na stronie internetowej i dołączone do niej wskazówki szybko doprowadziły mnie do skromnego rodzinnego grobowca z szarego kamienia.

Spodziewałam się, że zastanę tu ruinę, obraz nędzy i rozpaczy, niezadbany nagrobek porośnięty chwastami ze spękaną płytą i wyblakłymi literami, ale ten grób wcale taki nie był. W postawionym na środku wazonie tkwi bukiet sztucznych, nieco wypłowiałych tulipanów, na płycie nagrobnej stoją trzy znicze. Jeden z nich wciąż płonie. Ale to wcale nie poprawia mi nastroju. Otacza mnie tylko przerażająca cisza, dręczy mnie pytanie, co powinnam teraz zrobić. O czym powinnam im powiedzieć, bo tak przecież się robi, rozmawia z bliskimi, nawet w miejscach takich jak to. Ale w tej smutnej aurze mój mózg jest jakby zasnuty pajęczyną.

Otrząsam się jednak z chwilowego odrętwienia, zapalam znicz i stawiam go na nagrobku. Muszę wejść na płytę, by wyrzucić tulipany i zamienić je na bukiet świeżych gerber, które ze sobą przyniosłam. Napełniam wazon wodą i wkładam do niego kwiaty. Zapalam wielki znicz. Dopiero wtedy, kiedy odstawiam wazon na swoje miejsce, zdobywam się na odwagę, by podnieść wzrok. Z trzech owalnych zdjęć nagrobkowych patrzę na mnie ojciec, matka i siostra. Ale tylko spojrzenie Ady przywołuje jakiś tęskny impuls. Kochała mnie czy tak samo jak nasi rodzice? To abstrakcyjne myśleć o tej nowej możliwości, jeśli w sercu czułam dotychczas wyłącznie chłód. Z błyskiem w oku, zadziornym spojrzeniem i krótką, nastroszoną czupryną Ada z porcelanowego zdjęcia wydaje mi się żywa. Jest bardziej prawdziwa niż każda z tych czterech dziewczyn, które minęłam po drodze na cmentarz, z doczepionymi rzęsami długimi jak szczoty. Każda wgapiona tępo w ekran swojego smartfona. Wydawały mi się identyczne. Moja siostra była inna. Zdjęcie nagrobne i te strzępki informacji, które zebrałam dotychczas na jej temat, nie dają mi prawa, by móc twierdzić, że ją znam. Ale moja intuicja podpowiada swoje – jesteśmy podobne.

Stojąc na płycie nieco jaśniejszej niż pozostałe dwie, w miejscu, gdzie kilka metrów pode mną leży moja utracona siostra, wybucham płaczem.

– Dzień dobry! – za plecami słyszę dźwięczny kobiecy głos.

Ocieram mokre oczy i odwracam się. Przy grobowcu zatrzymuje się około sześćdziesięcioletnia pulchna kobieta w żółtej sukience w maki. Z przyjaznym uśmiechem na twarzy i błyszczącymi oczami wygląda jak uosobienie dobroci. Z jej siatki sterczą grabie i miotełka. W drugiej ręce trzyma wiadro wypełnione sadzonkami roślin.

– Dzień dobry – odpowiadam przez łyzy, które nadal płyną mi ciurkiem po policzkach.

– Wszystko w porządku? – pyta z troską w głosie. – Pani to jakaś krewna pewnie. – Patrzy na mnie z ukosa, jakby w ten

sposób chciała mnie zlokalizować w swojej pamięci.

Kiwam głową.

– Też tu do nich zaglądam co drugi dzień, kiedy idę do mojego syna. Eryk leży dwie kwatery dalej. Tam, za krzyżem.

– Czubkiem brody kobieta wskazuje na poletko przy rozgałęziającej się alejce.

– Eryk? – podchwytnę.

To może być tylko zbieg okoliczności, ale czy nie tak właśnie miał na imię syn gosposi, która pracowała w tamtym domu? Chłopak skazany za zabójstwo tej rodziny. Z tego, co wyczytałam w internecie, po dwóch latach odsiadki popełnił w celi samobójstwo.

Kobieta czujnie mi się przygląda, ale nie jestem pewna, czy jej spojrzenie nadal jest przyjazne, czy wręcz przeciwnie.

– Słowikowscy nie mieli tu wielu krewnych. Kim pani mówiła, że jest?

– Nazywam się Nela. – Nowe imię brzmi nieco pokraccznie w moich ustach. – Jestem ich młodszą córką. Czy to pani pracowała w naszym domu? – pytam.

Kobieta nie odpowiada, ale widzę, że jej dolna warga drży. Wypuszcza z rąk wiadro i siatkę, po czym robi krok w moją stronę. Nie wiedząc, czego mogę się spodziewać po jej reakcji, schodzę z nagrobka i staję z nią twarzą w twarz. Kobieta wyciąga w moją stronę ręce i oplata mnie nimi. Jej oddech jest ciepły, pachnie ciastem i domem, a jej głowa po chwili wtula się mocno w moje piersi. Kobieta drży. Teraz to ona płacze. Ta niezwykła sytuacja sprawia, że i ze mną dzieje się coś, czemu zwykle się nie poddaję – odwzajemniam tę bliskość.

– Powinnam była się domyślić. – Kobieta podnosi głowę i patrzy na bliźnię na moim policzku. – Gdzie się podziewałaś przez te wszystkie lata?

– Wychowywała mnie ciotka, ale o tym wszystkim – wskazuję na grobowiec – dowiedziałam się właściwie dopiero

wczoraj. Możemy porozmawiać? – dodaję po chwili z nadzieją w głosie.

Oczy gosposi zachodzą mgłą, ale zamiast spokoju widzę czający się w nich strach.

– Idę teraz do syna. Za godzinę muszę być w domu, żeby wziąć stamtąd kilka rzeczy i odebrać z przedszkola wnuczkę – wyjaśnia gorączkowo.

– Pomogę. – Wskazuję na jej wypełnione kwiatami wiadro.
– A potem odwiozę panią do domu. Bardzo proszę, nie wiem o swojej rodzinie praktycznie nic.

Po chwili wahania gosposia kiwa głową na znak zgody. Stojąc przed mogiłą mojej rodziny, chcę się pożegnać i sformułować jakoś myśli, ale zbyt wiele kotłuje się ich w mojej głowie. Nie wiem nawet, od czego zacząć, co im powiedzieć, o co się dla nich pomodlić. Nie czuję tutaj ich obecności.

– Dlaczego jedna z płyt nagrobnych, ta, pod którą pochowana jest Ada, jest jaśniejsza niż pozostałe? – pytam.

– Wandale zniszczyli ją w pierwszą rocznicę ich śmierci. Nadawała się tylko do wymiany.

– W pierwszą rocznicę? A więc ktoś zrobił to celowo?

Gosposia kiwa głową.

– Myślę, że chodziło o Adę.

– Dlaczego akurat o nią?

Kobieta spogląda na mnie z poczuciem klęski, jakby już powiedziała mi zbyt wiele.

– Przez środek jej płyty przechodził też napis nabazgrany czerwonym sprayem...

– Co było tam napisane? – dociekam.

– Suka. – Matka Eryka wypowiada to słowo szeptem, z pewnym obrzydzeniem.

– Kto i dlaczego mógł to zrobić?

– Nie wiem, dziecko, naprawdę nie wiem.

Wyraźnie poruszona i niechętna do kontynuowania tego tematu gospoia podnosi z ziemi wiadro oraz siatkę i, nie oglądając się na mnie, idzie alejką w górę, w kierunku drewnianego krzyża. Ruszam za nią. Zatrzymujemy się przy nagrobku z czarnego granitu, który obsadzony jest bujnymi kwiatami w odcieniach bieli. Nie wiem, czy to wyraz matczynej miłości, czy za pochowanym tutaj chłopakiem tęskni i pamięta o nim ktoś jeszcze. Zamiast zniczy wokół nagrobka ustawiono osiem białych latarek z umieszczonymi w środku świeczkami. Wszystkie są zapalone. W wazonie ułożono kilkanaście białych róż, na rosnącym przy grobie cisie wisi drewniana, przepasana białą wstążką ozdoba przedstawiająca ptaki w locie. Gdyby nie świadomość wszechobecnej tu śmierci, miejsce jego pochówku wyglądałoby niemal idyllicznie.

– Mój syn tego nie zrobił. Przysiągł mi to, zanim... – gospoia bierze głęboki oddech – ...zanim odebrał sobie życie.

Nie odzywam się. Pozwalam kobiecie opowiedzieć tę historię w jej własnym rytmie. Patrzę, jak matka Eryka wyciąga z wiadra sadzonki margerytek, jedną po drugiej, a potem krawędzią metalowych grabi drąży w ziemi niewielkie dziury. Nie wiem, gdzie ma zamiar wcisnąć tych osiem sadzonek. Grób chłopaka i bez nich kipi od roślin. O nic jednak nie pytam. Biorę jedną z nich i podaję jej.

– Kiedy widziałam go ostatni raz, miałam świadomość, że z jego psychiką było już bardzo źle. To był taki delikatny chłopak. Siedział wtedy w pokoju widzeń, wycofany i przygaszony, ze wzrokiem wbitym w blat stołu. Nie chciał ze mną rozmawiać. Nie mógł pogodzić się z tym, że miał spędzić całe dorosłe życie za kratkami, za betonowym murem, na końcu cuchnącego korytarza, w jednej celi z wykolejeńcami, którzy mordowali i gwałcili bez mrugnięcia okiem. Jako jeden z nich – potrójny morderca. Miał pokutować za coś, czego nie zrobił. Eryk miał tylko pięć lat, kiedy umarł jego ojciec. Zawsze był wrażliwszy niż jego rówieśnicy, a odkąd

rozumiał, że zostaliśmy sami, ochraniał mnie i swoją starszą siostrę, tak jak zawsze robił to jego tata. Ten jedyny raz w życiu popełnił straszliwy błąd. To prawda, mój syn włamał się do waszego domu. Przyznał się do tego. Najpierw przede mną, potem przed sądem.

Kobieta podnosi wzrok i patrzy mi prosto w oczy, jakby sondowała moją reakcję na swoje słowa. Kiwam głową zachęcająco.

– Był bożonarodzeniowy poranek. Eryk wiedział, że mieliście wyjechać na święta w góry i że dom będzie wtedy pusty. Nie miałam o niczym pojęcia, a tym bardziej o tym, że syn już wcześniej zabrał z mojej torebki klucze do waszego domu i je dorobił. Włamał się, żeby ukraść z waszego salonu konsolę, kilka gier i rzadką porcelanową figurkę z Miśni. Bywał w waszym domu wcześniej, więc wiedział, co się tam znajduje. Obliczył, że rzeczy te warte są ponad pięć tysięcy złotych, a to była mniej więcej równowartość trzech pensji, których nie wypłacił mi twój ojciec, zwalniając mnie. Wiem, to nie usprawiedliwia mojego dziecka. To, co zrobił, jest godne potępienia. Zasługiwał na karę, ale nie na taką, jaką faktycznie otrzymał. – Kobieta bierze głęboki oddech. Do oczu znów napływają jej łzy. – To po części także moja wina. Przez dwa miesiące poprzedzające tamto zdarzenie, niemal każdego dnia, Eryk widział mnie zapłakaną i zrozpaczoną. Tylko ja wtedy zarabiałam, a przez brak płynności finansowej zalegaliśmy z rachunkami, nie miałam za co zrobić podstawowych zakupów, nie mówiąc już o przygotowaniu świątecznej kolacji czy zrobieniu dzieciom prezentów. Eryk okradł was, bo chciał odzyskać moje pieniądze... Wszedł tylko do salonu, więc nie wiedział o tym, że ukrywałam się w skrytce, a twoi rodzice i siostra byli już wtedy martwi. Pozostawił w kilku miejscach odciski palców i butów. Natychmiast zastawił skradzione rzeczy w lombardzie, podając swoje prawdziwe dane. To wystarczyło, by policja błyskawicznie do niego dotarła i wytypowała jako sprawcę włamania oraz zabójstwa. Może gdybym mogła pozwolić sobie wtedy na lepszego adwokata, który by o niego

zawalczył, moje dziecko żyłoby i doczekało sprawiedliwego procesu.

To mówiąc, matka Eryka wybuchła płaczem. Łzy kapią na jej sukienkę i główki ostatniej sadzonki margerytek, którą trzyma w ręku. Nie powinnam tego robić, ale podchodzę bliżej, kucam obok niej i ściskam jej zabrudzoną ziemią dłoń.

– Wierzysz mi? – pyta, patrząc na mnie błagalnie.

Kiwam głową, ale tylko dlatego, by ją w jakiś sposób ukoić i wesprzeć. Moje życie już dawno rozsypało się jak domek z kart, a teraz z każdej strony wciąż dopadają mnie kolejne kłamstwa i manipulacje. Sama nie wiem już, w co wierzyć. Po chwili matka Eryka się uspokaja.

– Wspomniała pani, że syn posłużył się dorobionymi kluczami. A to oznacza, że zabójca, który dostał się do środka przed nim, również musiał mieć klucze do naszego domu?

Kobieta sugestywnie kiwa głową.

– Też o tym myślałam, ale policja żadnych innych scenariuszy nie brała pod uwagę, choć potencjalnych podejrzanych mogło być naprawdę wielu. Mieli niezbite dowody pogrążające mojego syna. Wygodniej było uznać prawdopodobne rozwiązanie za jedyne i słuszne.

Matka Eryka wstaje z klęczek, bierze w rękę puste wiadro i kieruje się w stronę pompy. Napęlnia je wodą i wraca, po czym podlewa świeżo posadzone rośliny. Niepewność i ciekawość wzbierają we mnie z jednakową siłą.

– Co ma pani na myśli, mówiąc, że podejrzanych mogło być wielu? – pytam.

– Chodziło o twojego ojca i... – kobieta robi dłuższą pauzę, jakby szukała odpowiedniego słowa – ...i jego interesy. Niczego mu na tamtym etapie nie udowodniono, ale w sądzie toczył się już proces przeciwko niemu. Był podejrzany o współpracę ze zorganizowaną grupą przestępczą. Chodziło o fikcyjne kradzieże luksusowych samochodów na zlecenie firm i prywatnych właścicieli, którzy chcieli w ten sposób wyłudzić pieniądze z ubezpieczenia. Twój ojciec był

prywatnym detektywem, wcześniej pracował w policji. Miał więc kontakty i dojsca. A przede wszystkim wiedzę. Nie tylko te oskarżenia na nim wtedy ciążyły. Część jego klientów wniosła przeciwko niemu pozew zbiorowy. Nie znam szczegółów ani konkretnych nazwisk. Wiesz, wolałam nie wiedzieć. – Patrzy na mnie przepraszająco. – Na przyjęciach organizowanych w waszym domu widziałam czasem twarze tych ludzi, a i tego wolałam nie być świadkiem. Wiem tylko, że twój ojciec działał na ich szkodę, że brał zadatki na poczet zleceń, z których się potem nie wywiązywał. Przykro mi – dodaje, widząc moją minę – ale tak faktycznie było.

Powstrzymuję się przed okazaniem prawdziwych uczuć, udaję zaledwie rozczarowaną, a w rzeczywistości zapadam się od środka, na powrót przerażona, że to zaledwie czubek góry lodowej. Nie taki obraz ojca miałam nadzieję zbudować z jej wspomnień. Co jeszcze zaraz usłyszę? Mam chwilę, by zebrać w samotności myśli, bo gospoia w milczeniu składa ręce do modlitwy nad grobem syna. Kiedy kończy, podnosi z ziemi swoje rzeczy i rusza przed siebie.

– Jesteś pewna, że możesz mnie odwiedzić do domu? To niedaleko, w Mechelinkach, przy ulicy Klifowej.

– Bez problemu! – odpowiadam chyba zbyt entuzjastycznie. To mój własny sposób na zatuszowanie wewnętrznej rozsypki. – Chodźmy!

Ruszamy zwirowaną alejką w kierunku bramy wejściowej. Po drodze mijamy grobowiec mojej rodziny. Kiedy myślę o Adzie, o niej i o kimś, kto zbecześcił miejsce jej pochówku, coś ściska mnie za gardło. Kto nienawidził jej tak bardzo, że odważył się to zrobić? W co wplątała się moja siostra?

– Moja matka. Jaka ona była? – pytam po chwili z nutą desperacji w głosie. – Czy była dobrym człowiekiem?

Gospoia ściąga brwi, zdziwiona moim pytaniem.

– Twoja ciotka nigdy nie opowiadała o niej?

Potrząsam głową.

– Nie utrzymywała z mamą kontaktu, bo miała jej za złe to, że w dzieciństwie znęcała się nad nią.

Matka Eryka wzdycha i zastanawia się zbyt długo, a do mnie dociera, że prawdopodobnie chce w ten sposób zatuszować jakąś niewygodną prawdę.

– Nie była złym człowiekiem, na pewno nie – mówi, patrząc gdzieś w dal – ale powiedziałabym, że w pewnym momencie całkiem się pogubiła. Nie potrafiła się wami zająć, tobą i nawet Adą. A może szczególnie Adą. Myślę, że twoi rodzice na początku się kochali, ale związali się ze sobą z niewłaściwych powodów.

– Co ma pani na myśli?

Kolejne westchnięcie, jeszcze głębsze i jeszcze dłuższe.

– Twoja mama była kobietą bardzo atrakcyjną, ale niespełnioną i chyba ogromnie nieszczęśliwą. Kiedy poznała twojego tatę, rzuciła studia, wierząc, że odnajdzie się jako jego żona, że samo bycie przy jego boku jej wystarczy. Ale szybko przekonała się, że pieniądze, które przynosił do domu, i ciepło domowego ogniska jej nie wystarczają. Potrzebowała mocnych bodźców albo przynajmniej jakiegoś zajęcia, które dałoby jej spełnienie. Miała względem życia wysokie oczekiwania, ale bez wykształcenia nie mogła liczyć na atrakcyjną pracę. Zresztą i z dyplomem wyższej uczelni w tamtych czasach nie było łatwo. Może wyda ci się to dziwne, ale skończyłam polonistykę. Twój ojciec płacił mi więcej za sprzątanie i gotowanie, niż zarobiłabym jako nauczycielka polskiego. A i tak nie mogłam wtedy znaleźć żadnego etatu. Ale wracając do twojej mamy... Była finansowo całkowicie zależna od twojego ojca. To było błędne koło. Przywykła do luksusu, którym nie mogłaby się otaczać, gdyby od ojca odeszła. A Marek niestety nie potrafił być jej wierny. Twoje przyjście na świat miało scementować ich rozpadający się związek. Podejrzewam, że właśnie na to liczyła twoja mama, ale nawet i to nie pomogło. Właściwie wtedy sprawy tylko się pogorszyły. Ona zaczęła topić smutki w alkoholu, a ojciec zniknął z domu jeszcze częściej.

– Zdradzał ją? – trzymam się kurczowo tego słowa, choć to tylko kropla w całym morzu wylanej przede mną prawdy.

– Robił wiele innych rzeczy, których nie akceptowała twoja mama – wyznaje gospoia. W jej oczach maluje się współczucie. – Rzeczy, za które miał potem stanąć przed sądem.

Mam ochotę spytać, skąd ona to wszystko wie, w jaki sposób tak dobrze udało jej się poznać tajemnice naszej rodziny.

– Pracowałam w waszym domu ponad dwanaście lat – wyznaje kobieta, jakby czytała moje myśli. – Ludzie cisi i niezauważalni wcale nie są głusi ani ślepi, skarbie.

Mijamy szpaler drzew, kolejne zadbane nagrobki, kilkusobową grupę ludzi. Idę, a raczej każę swojemu ciału przemieszczać się naprzód.

– A Ada? – pytam.

Po raz pierwszy na ustach matki Eryka pojawia się słaby uśmiech.

– Ada była dobrym dzieckiem, ale charakternym, bardzo charakternym. Była twoim aniołem stróżem, a ty byłaś dla niej wszystkim. Łączyła was silna więź, nie widziałam nigdy takiej więzi u żadnego innego rodzeństwa. To było dość niezwykle, biorąc pod uwagę dzielącą was różnicę wieku. Twoja siostra dorastała w cieniu problemów waszych rodziców, którzy zajęci byli tylko sobą. Ojciec przede wszystkim unikaniem konsekwencji swoich lewych działań, matka pogłębiającą się frustracją. Nie było w Adzie zgody na nic, co działo się w waszym domu. Była szalenie bystrym dzieciakiem, a do tego ogromnie wrażliwym. A przy tym strasznie się buntowała. Kiedy urodziłaś się ty, coś się w niej zmieniło. Jakby poczuła, że chce zrobić lepiej to, co należało do obowiązków waszych rodziców. – Gospoia przerywa na chwilę i przygryza wargę. Tak jakby usiłowała przypomnieć sobie coś, czego dokładnie nie pamięta. – Słyszałam kiedyś audycję w radiu na temat nadkompensacji. Tak to się chyba

nazywa. – Kiwa głową. – Taki mechanizm obronny. Żaden ze mnie psycholog, ale znałam dość dobrze Adę. Pomyślałam sobie, że taką właśnie postawę przyjęła, by cierpieć mniej i poradzić sobie z tym całym bałaganem w domu. Starła się odnieść sukces w tej właśnie dziedzinie, która była dotychczas źródłem jej niepowodzeń i lęku. Troszczyć się, ale i przewodzić. To chciała robić. Twoje przyjście na świat odciągnęło ją od destrukcyjnych rzeczy. Ale tylko na chwilę.

– Destrukcyjnych? – przerywam jej. Zwalniamy, kiedy wskazuję na zaparkowany przy krawężniku poobijany samochód. To nim przyjechałam. – To znaczy jakich?

Otwieram wóz, odbieram od gosposi wiadro i inne należące do niej rzeczy i wsadzam je do bagażnika. Zachęcam ją, by wsiadła. Zajmuję miejsce za kierownicą, przekręcam kluczyk w stacyjce, w aplikacji Google Maps ustawiam podany mi przez nią adres i włączam się do ruchu.

– Nie wiem, co dokładnie Ada robiła poza domem – mówi gosposia wymijająco. – Nie potrafiłam zachęcić jej do tego, by kiedykolwiek mi się zwierzyła. Tak jakby zupełnie straciła zaufanie do dorosłych.

– A nasz sąsiad, pan Benjamin? – podchwytuję.

– Skąd o nim wiesz? – Gosposia przygląda mi się czujnie.

– Przyszedł niedawno na wernisaż moich prac. Twierdził, że mnie rozpoznał. To dzięki niemu zaczęłam szukać swoich korzeni.

Matka Eryka kiwa głową ze zrozumieniem.

– Ada chyba się z nim przyjaźniła. Twój ojciec wpadał w furję za każdym razem, kiedy widział ich, jak rozmawiali ze sobą na spacerach. Nie wiem, co o tym sądzić. – Kobieta wzrusza ramionami. – Wiesz, dorosły facet i dorastająca dziewczyna razem to dość dziwne, żeby nie powiedzieć – podejrzanе. Ale myślę, że Benjamin nie miał złych intencji. Z tego, co wiem, był w tamtym czasie bardzo samotnym człowiekiem. Jego żona umarła wcześniej na raka, nie mieli dzieci, więc po jej śmierci został zupełnie sam. Praca w teatrze

trzymała go jakoś w pionie, ale potem musiało się z nim stać coś złego. Słyszałam, że jakiś czas po śmierci twojej rodziny Benjamina zwolniono z teatru i od tego czasu widywano go już tylko w tanich barach z butelką piwa w ręku. W ciągu tych kilkunastu lat sięgnął dna. Stracił ostatnio mieszkanie i podobno sypiał w noclegowni. O tym dowiedziałam się już z dziennika, kiedy pisano o nim w kontekście jego śmierci. Wracając do twojego pytania. Nie wiem, gdzie chodziła Ada, ale czasem przyprowadzała do domu trójkę innych dzieciaków. Równie zbuntowanych jak ona.

– Pamięta pani, jak się nazywali? – pytam natychmiast.

Gospośia potrząsa głową.

– Nazwisk nie pamiętam. Dziewczyna to chyba była Iga, ale nie przypominę sobie raczej imion chłopców. Prześlizgiwali się przez korytarz i zaszywali w pokoju Ady. I tylko na chwilę, zawsze gnało ich gdzieś dalej. Monika, moja córka, była dwa roczniki za Adą. Chodziły do tej samej szkoły. Może ona coś sobie przypomni. To już jednak dwadzieścia lat.

– Będę wdzięczna choćby za same nazwiska – przyznaję skwapliwie. – Staram się odtworzyć ostatnie miesiące życia mojej rodziny – tłumaczę enigmatycznie i skręcam w prawo, w drogę prowadzącą do Mechelinek.

Zielona tablica wbita w trawiaste pobocze informuje mnie, że właśnie wjechaliśmy do rybackiej wioski. Mijamy skurczone parterowe domki z omszonymi dachami, przed którymi suszą się sieci albo biegają kury. Pozostałe budynki są nieco nowocześniejsze, wyremontowane i zadbane, o przyzwoitym standardzie, wyszykowane pewnie na potrzeby turystyki. W ich oknach wiszą tabliczki z napisem „Wolne pokoje”, na ławeczkach opalają się turyści, a w ogrodach bawią dzieci.

– Myśli pani, że to z nimi spędzała czas poza domem? – pytam.

– Na pewno. Wracała z takich nocnych wypadów cała rozpalona i pobudzona. Myślę, że coś wtedy brała. Ale kiedy

była z tobą, stawała się odpowiedzialna i czuła. Zupełnie jakby miała dwa wcielenia. Szybko przelałaś wszystkie swoje uczucia tylko na nią. Ada odprowadzała cię do przedszkola i odbierała z niego, to ona bawiła się z tobą, czytała ci książeczki, często także cię karmiła. Poświęcała ci czas i uwagę. Dawała miłość. A tego potrzebowałaś wtedy najbardziej. Kiedy była w domu, nie odstępowałaś jej na krok.

Zaciskam powieki, chcąc przypomnieć sobie którąś z takich chwil albo chociaż przywołać głos siostry, jej śmiech, dotyk dłoni, jakiegokolwiek wspólne wspomnienie, ale nie pamiętam zupełnie nic.

– Chyba nadal mam coś, co należy do niej. To tylko stara bluza, ale może chciałabyś ją mieć... – matka Eryka odzywa się po chwili milczenia.

Poruszona wiadomością o bluzie, na moment tracę panowanie nad kierownicą. Ocieram bokiem wozu o mijany krzew rosnący na poboczu, a jego gałęzie drapią lakier i wciskają się do środka przez opuszczoną do połowy szybę. Wtedy przytomnieję.

– Jasne – mówię, starając się nieco okiełznać swoje emocje. Nie chcę, żeby matka Eryka wiedziała, ile ta informacja dla mnie znaczy.

Zawsze byłam cholernie sentymentalna. Podarowana mi przez pierwszego chłopaka zasuszona i przechowywana do tej pory w książce stokrotka, wpisy do „złoty myśli” albo ręcznie robione bransoletki z koralików, którymi wymieniałam się z przyjaciółką, urastały do rangi moich bezcennych trofeów. Były świadkiem chwil, które spędzałam z ważnymi dla mnie ludźmi, których jednak w pewnym momencie zawsze porzucałam. Paradoks, którego sama nie potrafiłam zrozumieć.

A jednocześnie te przechowywane pieczołowicie przedmioty były jak moja pokuta albo wiecznie sącząca się rana, bo przypominały mi o tęsknocie, której bez skutku usiłowałam się pozbyć. Ta bluza to z dużym prawdopodobieństwem jedyna pamiątka, która pozostała mi

po mojej siostrze. Tylko w tym przypadku było odwrotnie – nie ja byłam tą, która porzucała.

– Nie chcę robić ci złudnych nadziei, to było dwadzieścia lat temu – dodaje matka Eryka. – Ada pożyczyła mi ją któregoś wieczoru, kiedy wracałam do domu po nawałnicy, a na dworze wciąż hulał zimny wiatr. Nie zdążyłam oddać jej tej bluzy. Wkrótce potem zostałam zwolniona i nie widziałam się z Adą więcej, a potem, po jej śmierci, nie mogłam zdobyć się na to, by tak zwyczajnie tę bluzę wyrzucić. Powinnam ją mieć w którymś z worków w piwnicy. Nie otwierałam ich od wieków, nie wiem, w jakim ta bluza jest stanie...

– Mogę odebrać ją od razu? – pytam natychmiast, odrywam wzrok od drogi i posyłam kobiecie przytulny uśmiech. Ale ona potrząsa głową.

– Naprawdę nie mam teraz czasu. Umówmy się na inny dzień.

Wiem, że przekonywanie jej nie ma sensu, bo natarczywością mogę więcej stracić niż zyskać. Kątem oka patrzę na wciśnięty w uchwyt telefon. Według GPS-u za pięć minut będziemy na miejscu. To ostatni moment, by zachęcić gosposię do kolejnych wyznań.

– Czy moja siostra mogła mieć wrogów? – pytam. – Chodzi mi o ten zniszczony nagrobek.

Matka Eryka uśmiecha się cierpko.

– Wrogów miała przede wszystkim w swoich rodzicach.

– Nie rozumiem.

– Sprzątając kiedyś jej pokój, odsunęłam od ściany biurko, by dokładnie za nim odkurzyć. Na przylegającej do ściany drewnianej płycie przymocowana była duża koperta. Nie powinnam była jej otwierać, ale bałam się, że jest tam dowód na to, że Ada wpakowała się w tarapaty. Prawdę mówiąc – gosposia bierze głęboki wdech – podejrzewałam, że znajdę tam narkotyki. Ale w środku było coś innego – dokumenty i wydrukowane maile, które pogrążyły waszego ojca. Jeśli

były autentyczne i zostałyby przedstawione w sądzie, mogły wpakować go za kratki na długie lata.

– Co dokładnie tam było?

– Przekręty... Dużo przekrętów... Bałam się zagłębiać w te dokumenty. Wiesz, taka wiedza mogła mnie wiele kosztować.

W oczach kobiety widać dawny strach.

– Co pani z nimi zrobiła?

– Kiedy pokazałam je Adzie, wściekła się na mnie, wyrwała mi kopertę z rąk i wszystkiego się wyparła.

– Nie rozumiem. Do czego te dokumenty były jej potrzebne?

Zwalniam, bo skręcamy w wąską nieutwardzaną drogę prowadzącą na grzbiet klifu. Mijamy kolejne domy, których poza malowniczą lokalizacją nie łączy zupełnie nic. Rozpadające się chatynki otoczone lichą dziurawą siatką wypadają marnie w porównaniu z ekskluzywnymi, odgrodzonymi od nich wysokim murem willami. Są jak z dwóch różnych światów. To najpewniej ten zapierający dech w piersiach widok na morze ściągnął do niegdyś biednej rybackiej wioski deweloperów i bogatych kupców. I ja mam teraz niemal na wyciągnięcie ręki tę srebrzącą się w słońcu i ledwie mającą na horyzoncie linię Półwyspu Helskiego.

– Ada za wszelką cenę chciała wynieść się z domu – mówi gosposia. – Ciągle podkreślała, że jak tylko skończy osiemnastkę, to zniknie. Nie mówiła tego w kontekście wyjazdu na studia. Mówiąc, że zniknie, miała na myśli odcięcie się od waszych rodziców. Początkowo myślałam, że tylko żartuje, ale potem dotarło do mnie, że w jej planie nie było przechwałki nastolatki, tylko żelazna determinacja. Przypuszczam, że zamierzała zabrać cię ze sobą. Myślę, że do tego były jej potrzebne te dokumenty. Miały być kartą przetargową, w razie gdyby twój ojciec nie chciał się zgodzić na ten nowy start ani jej go sfinansować. Tego mogę się tylko domyślać.

– A mój ojciec? Jak na to wszystko zareagował?

Zamiast odpowiedzieć, matka Eryka ucieka wzrokiem w stronę sterty mijanych przez nas cegieł. Wyczuwam narastający w niej wstyd, a może wyrzut sumienia. Dopiero po dłuższej chwili zbiera się na odpowiedź.

– Tamtego dnia twój ojciec mnie zwolnił i odmówił przelania mi zaległej wypłaty – wzdycha żałośnie. – Byłam rozgoryczona, miałam wtedy sporo problemów na głowie. Nie powiedziałam mu o niczym. Zostawiłam to po prostu swojemu biegowi. Czasem myślałam nawet... – urywa, ale po chwili znów podejmuje temat – ...myślałam, że to Ada zleciła zabójstwo waszych rodziców. I że coś w jej planie poszło nie tak.

Milczę, przytłoczona liczbą tych przypuszczeń i teorii, które być może są bez pokrycia. A przynajmniej taką mam nadzieję. Kim, do cholery, tak naprawdę byli ci ludzie, moja prawdziwa rodzina?! Czy nikt nikomu nie ufał, nikt o nikogo tam nie dbał?! Nikt nikogo naprawdę nie kochał poza Adą, jedyną, której na mnie zależało?! Nie mam czasu zaprzętać sobie teraz tym głowy, bo kiedy mijamy pustą parcelę, w lusterku zauważam ubłoconą terenówkę, która siedzi mi na zderzaku. Nie wiem, o co chodzi kierowcy, bo chyba nie jest na tyle skończonym kretynem, by myśleć, że go przepuszczę. Przed sobą mam tylko cienką nitkę polnej drogi, a po obu jej stronach opadające stromo zbocze.

– Zna pani tego typu? – zwracam się do gosposi i czubkiem brody wskazuję na nacierający na nas wóz.

Kobieta przygląda mu się w swoim lusterku i potrząsa zdecydowanie głową.

– Narwany palant! – cedzę przez zęby, wystawiam rękę za okno i pokazuję niecierpliwemu kierowcy środkowy palec.

Wydaje się, że, o dziwo, przynosi to zamierzony efekt. Terenówka zwalnia, a dzielący nas dystans zaczyna się zwiększać. Śledzę ją przez chwilę we wstecznym lusterku i widzę, jak wóz się zatrzymuje. Odwracam od samochodu wzrok i zajmuję się rozładowującym się telefonem, nie tracąc jednak drogi z pola widzenia. W prawą rękę chwytam kabel

i podpinam szybko smartfon do gniazda ładowania. Trwa to najwyżej kilkanaście sekund.

Huk gniecionej blachy, a wraz z nim szarpnięcie są tak nagłe i niespodziewane, że zrzucam je na karb swojej nieuwagi, jestem niemal pewna, że mimo wszystko właśnie w coś uderzyłam. Ale autem miota już kolejny wstrząs, a potem jeszcze jeden, poprzedzony gorączkowo wrzucanym wstecznym i piskiem trących o podłoże opon. Dźwięki dochodzą ewidentnie z za mojego samochodu. Dopiero wtedy dociera do mnie, co tak naprawdę się dzieje. To ten psychol i jego ubłocona terenówka chcą mnie zepchnąć z drogi. Uderza we mnie kolejny raz, z jeszcze większym impetem, przez co tracę kontrolę nad pojazdem. Zaciągam wsteczny i dociskam hamulec, zdając się na pierwszą, odruchową reakcję, ale to nie pomaga. Mój samochód stacza się po stromym zboczu, nabierając coraz większej prędkości. Sekundy pędzą na łeb na szyję, a wraz z nimi w głowie toczą się moje myśli rozpraszane przez krzyki gosposi. Pusta polana zmienia się w gęsty brzozowy las, który wyrasta przed nami z za pagórka. Mam tylko sekundę, najwyżej dwie, by zapobiec zderzeniu. Z całej siły skręcam kierownicą w lewo, ale drzewa są wszędzie, nawet tu...

Nie mam dokąd uciec... Zaciskam powieki... Czas się skończył...

Po klatce schodowej rozchodzi się przyjemny kojący chłód. Ale daje mi tylko krótką chwilę wytchnienia, którą po raz kolejny przerywa ból wybuchający w mojej głowie. Zaciskam zęby i staram się go przeczekać, tak jak robiłam to przez ostatnich kilka godzin, najpierw w szpitalu, potem na komisariacie. Choć nafaszerowano mnie prochami, głowa nadal mi pęka. Wchodzę po schodach, a rozmyty początkowo obraz zaczyna migać mi przed oczami jak na ekranie starego telewizora. Niespecjalnie się tym przejmuję. Rezonans nie wykazał krwiaków ani urazów w mojej głowie. To pewnie całkiem normalny, przejściowy stan po takim wypadku. Myślę o gosposi. Na szczęście nie miała żadnych obrażeń, ale jej przerażenie trudno będzie mi zapomnieć. Idącej za mną Julii

nie daję po sobie poznać, że wciąż marnie się czuję. Inaczej zaczęłaby histeryzować. Po chwili docieramy pod drzwi naszego mieszkania, a ja grzebię w torebce w poszukiwaniu klucza.

Przekręcam go w zamku i popycham drzwi. Zsuwam z ramienia torebkę, odkładam ją na fotel i przechodzę przez korytarz do kuchni. Na stole widzę dwa talerze, a na pustej zwykle płycie gazowej stoi rondel i garnek.

– No nie, ty i gary? Przecież to się zupełnie nie klei, chyba że w ten sposób odreagowujesz stres. – Uśmiecham się blado.
– Ty się naprawdę martwiłaś...

– Nie tyle o ciebie, ile o to, kto zapłaci połowę czynszu, jeśli kopniesz w kalendarz. – Przyjaciółka puszcza do mnie oko. – Mów lepiej, czego dowiedziałas się na komisariacie, a ja podgrzeję obiad.

Nie protestuję, bo wciąż trochę kręci mi się w głowie. Odsuwam krzesło i siadam przy stole.

– Niewiele – wzdycham. – Spisali moje zeznania i zapewnili, że się tym zajmą. Czyli standardowa gadka szmatka.

– Czyżbym słyszała w twoim głosie ironię? – Julka unosi czujnie brew. Zapala gaz, a chwilę później po kuchni roznosi się aromat duszonych pomidorów i świeżej bazylii.

– Powiedziałam im też o facecie, który pojawił się na moim wernisazu i o tym, że następnego dnia znaleziono go zamordowanego przy skwerze Bowiena. Chciałam, żeby i tam szukali powiązań.

– No i? – głos Julki zagłusza brzęk wyciąganych przez nią sztućców. Kładzie je na stole obok talerzy.

– Spisujący moje zeznania glina wysłuchał mnie, ale nie był tym tematem specjalnie zainteresowany. Właściwie to odniosłam wrażenie, że mają już wystarczające dowody, by wesprzeć jakąś własną teorię. Nie wiem, ile jest w tym prawdy, ale słyszałam, że Benjamin, ten człowiek w przebraniu klauna, miał na pieńku z jakimś typem

z noclegowni. Podobno zajął jego łóżko, gdy tamtego wyrzucono, bo do ośrodka wracał pijany. Za to, że go wywalili, obwiniął Benjamina, kilkakrotnie odgrażał się przy świadkach, że mu tego nie daruje. Znalaziono go gdzieś wczoraj zalanego w trupa, miał przy sobie zegarek, który należał do Benjamina.

Julka wyciąga łyżkę z garnka, wpycha ją sobie do ust i próbuje zupy, siorbiąc.

– To ma sens – mówi.

– Nie wiem. – Krzywię się, a moja dłoń instynktownie zawisa w pobliżu świeżego szwu, skąd wciąż promieniuje pulsujący ból. Mam ochotę rozdrapać szycie, ale się powstrzymuję. – Czuję, że coś tu nie gra. Boję się, że gliny patrzą przez pryzmat tego, kim ten saksofonista był. Że dla nich jego życie miało mniejszą wartość tylko dlatego, że był bezdomny. Jest jeszcze druga rzecz, która mnie zastanawia. Jaki wpływ na śledztwo ma to, że do morderstwa doszło w Sopocie, supermodnym kurorcie, i to w szczycie sezonu? Czy nie chodzi o to, by szybko wyciszyć sprawę, bo turyści muszą czuć się bezpieczni?

Julka oblizuje łyżkę i przygląda mi się z politowaniem. W drugą rękę bierze chochlę.

– Czy ty siebie słyszysz? „Podobno”, „nie wiem, ile jest w tym prawdy”, „myślę”. Może lepiej zostaw ten temat glinom. Przecież to jakieś cholerne gdybanie amatorki, która chce się bawić w detektywa. Szukasz jakichś teorii spiskowych, a przez to niepotrzebnie się nakręcasz. Zresetuj głowę, dobrze ci radzę. Mówiłaś im, no wiesz, o sobie, o swojej rodzinie?

Kiwam głową na potwierdzenie.

– Ten funkcjonariusz, Stefan Kubacki, nie miał pojęcia o sprawie. Powiedział tylko lakonicznie, że jeśli sprawca został skazany prawomocnym wyrokiem, to nie ma podstaw do wznawiania śledztwa, chyba że pojawią się nowe dowody.

A tym zajmują się już śledczy z policyjnego wydziału Archiwum X.

W kieszeni wibruje mi telefon. Nie muszę go wyciągać, by wiedzieć, że dzwoni Filip. Przypisał *Chandelier*, swój ulubiony utwór Sii, do połączeń przychodzących z jego telefonu, żebym bez spoglądania na wyświetlacz wiedziała, że to on dzwoni. Ale zamiast sięgnąć po smartfon, wpatruję się w garnek z parującą zupą.

– Nie odbierzesz?

– To Filip. Zaraz napiszę mu, że wszystko w porządku.

Julia odwraca się tak energicznie, że z upiętych wysoko włosów wyswobadza się kilka kosmyków i opada jej na prawe oko. Potem zastyga z chochlą w jednej ręce i miską z parującą zupą w drugiej.

– Jak to „w porządku”? To znaczy, że nie zamierzasz mu o niczym powiedzieć?

– Nie. Przez kilka następnych dni będzie na wyjeździe służbowym w Krakowie. Nie chcę robić zamieszania. Jeszcze wpadłby na pomysł, żeby wrócić.

– Czy możesz raz w życiu zachować się normalnie?!

– Normalnie?! Czyli jak?!

Julka przewraca oczami.

– Jak inni ludzie. Ufają sobie, pragną bliskości, wzajemnej obecności. Szczególnie w sytuacji, gdy jakiś kutas zepchnie z drogi ich samochód, a oni łupną głową o deskę rozdzielczą i ze wstrząsem mózgu wylądują w szpitalu. Boże, co z tobą?

Jest wściekła, widzę to w jej oczach. Ale nie winię jej za to. To prawda. Nie wiem, jak się zachować w takich sytuacjach. Zawsze powtarzałam, że normalność to dla mnie obcy i trochę nierzeczywisty stan. Zwykle mnie to nie rusza, ale dziś jest inaczej.

– Boję się, że Filip stworzył sobie jakąś wersję mnie, a ta wersja nie istnieje – siłę się na usprawiedliwienie. – I to do

swojego wyobrażenia, a nie do mnie jest przywiązany.

Julia oddycha z ulgą.

– Boisz się, czyli jednak ci na nim zależy. A już myślałam, że rzeczywiście jesteś zimna jak lód.

„Zimna” i „lód” – dwa znajome odstręczające słowa wypowiedziane głośno przeszywają mnie na wskroś, jak dawniej. Słyszałam je z wielu ust, głównie porzucanych przeze mnie mężczyzn, wypowiedziane w złości, z pretensją, nawet nienawiścią, i za każdym razem raniły mnie równie mocno. Wcale nie jestem pewna, czy faktycznie boję się utraty Filipa, ale przytakuje Julii, by wreszcie dała mi spokój.

– Chcę odpocząć, a później z nim porozmawiam – obiecuję.

Udobruchana Julka stawia na stole miski z pomidorową. Mam żołądek zawiązany na supeł, nawet nie wezmę łyżki, nie spróbuję zupy. Z zazdrością patrzę na przyjaciółkę pałaszującą swoją porcję.

– Obiecasz zluzować, jeśli poproszę kogoś o pomoc? – szepcze konspiracyjnie znad talerza.

– Co masz na myśli?

– Witek, mój chrzestny, być może on będzie mógł pomóc. Pracuje przecież w wydziale dochodzeniowo-śledczym. Mógłby przyjrzeć się aktom sprawy twojej rodziny. Gadałam z nim. To nie taka łatwizna, ale da się zrobić. Żeby mieć wgląd w akta, musi do swojego przełożonego napisać raport, w którym uzasadni, dlaczego chce to zrobić. Witek zna się na rzeczy, więc coś wymyśli. W takim raporcie mógłby napisać, że ma informacje o powiązaniach skazanego z inną sprawą albo że dostał cynk od informatora. Zaufajmy mu. To ma większy sens niż takie błędzenie po omacku.

– Okej.

– Co okej? Przestanieś węszyć na własną rękę?

– Okej – powtarzam.

To prawda, ale tylko częściowa.

Julia pociąga nosem i marszczy go. Zawsze reaguje w ten sposób, kiedy rozpoznaje, że ktoś w pobliżu pali.

– Czujesz? – pyta.

Biorę głęboki wdech. Faktycznie, w powietrzu unosi się delikatny, charakterystyczny zapach dymu papierosowego z domieszką ledwie wyczuwalnego aromatu, chyba mentolu. Jak zwykle musiał się przedostać do mieszkania przez nieszczelne drzwi wejściowe.

– Kalina znowu urwała się matce – stwierdza Julka, przewracając oczami. – Chyba nie zamierzasz znowu wpuścić jej do domu i niańczyć? – Rzuca mi błagalne spojrzenie.

– Znasz mnie. Pewnie znów nie ma kluczy, a jej ojciec jeszcze nie wrócił do domu... – tłumaczę.

– Rób, co chcesz – wzdycha z politowaniem i macha ręką. – Ja się stąd zmywam. Ta mała wybitnie działa mi na nerwy – oznajmia, po czym odstawia talerz do zlewu i znika w swoim pokoju.

Zastaję Kalinę siedzącą na klatce schodowej w tym samym miejscu co zwykle, na półpiętrze, z podciągniętymi do brody kolanami i słuchawkami na uszach. Zanurzona w świetle muzyki, zdaje się mnie nie zauważać. Ma na sobie kusy, odsłaniający brzuch top w paski i legginsy z krzykliwym nadrukiem komiksowego superbohatera. Ściśle do jej szyi przylega choker, a spod czapeczki beanie wystają kasztanowe, sięgające brody włosy. Mam do tego dzieciaka jakąś wyjątkową słabość. Zastanawiam się, czy to nie czasem przez jakieś podobieństwo do Ady, tęskne wspomnienie, które zepchnęłam do podświadomości? Kalina to jedna z najzdolniejszych uczennic w naszej szkole. Zamiast w marnej rejonowej podstawówce powinna się uczyć w prestiżowej szkole plastycznej. Wśród pozostałych dzieci jest trochę jak kolorowy ptak, odstający od innych wyglądem i sposobem bycia, przez co przykleiła się do niej łątka tej „innej”, „dziwnej”. Kilkukrotnie powstrzymywałam przejawy

wycelowanej w nią agresji. Docinki rówieśników, wypluwane na jej kark zmięte papierowe kulki albo niszczenie należących do niej rzeczy. O tym się dowiedziałam. Do innych incydentów nie chciała się przyznać. Zapłaciła za swoją dumę wysoką cenę – problemy z socjalizacją, szczególnie po rozwodzie jej rodziców, pogłębiły się jeszcze bardziej, odkąd zaczęła swój dom dzielić między zapracowanego ojca i jeszcze bardziej zapracowaną matkę. Fajki i wulgarne odzywki stały się ostatnio jej tarczą obronną. Ale wobec mnie nigdy nie zachowuje się niestosownie – łączy nas pewna nić porozumienia, głównie na płaszczyźnie artystycznej. Średnio dwa razy w tygodniu Kalina ucieka do ojca i równie często, tak jak dziś, zastaje u niego zamknięte drzwi. Nie mam pojęcia, dlaczego nie ma własnego klucza.

– Obiecałaś mi! – mówię, stając nad nią. Wyciągam w jej stronę dłoń i wysuwam z ust papierosa. – Oddaj mi je! – Wskazuję na wystającą z jej kieszeni paczkę. – Robisz to specjalnie pod moimi drzwiami, żeby mnie wkurzyć?

Dziewczyna niespiesznie zgniata w dłoniach opakowanie i wciska mi je w rękę. Jest puste.

– Akurat! – bąka i podnosi na mnie wzrok, w którym wyraźnie widać butę. – A co się pani...? – urywa. Jej twarz nieco łagodnieje, kiedy jej spojrzenie zatrzymuje się na moim opuchniętym łuku brwiowym, przez który przebiega szew.

– Idziesz? – zmieniam temat, wskazuję na otwarte drzwi do swojego mieszkania.

– Mój ojciec będzie tu za kilka minut.

– Szkoda – wzdycham teatralnie. – Czyli nawet nie zdążysz obejrzeć zdjęć, które wywołałam ostatnio w ciemni?

Kalina waha się jak zawsze i udając naburmuszoną, zbiera z podłogi plecak, wstaje i wchodzi do mojego mieszkania. Proponuję jej obiad, ale, wpatrzona w porozkładane na kawowym stoliku błyszczące fotografie, odmawia. To inspirowana kaszubskimi plenerami sesja zdjęciowa mało znanych miejsc – nieczynny most w Rutkach, Groty

Mechowskie i wiele innych lokalnych perełek. Ich wywołanie pochłonęło mnie na kilkanaście godzin. Najwięcej czasu zajął mi retusz i praca z powiększalnikiem.

Kiedy Kalina na nie patrzy i delikatnie je przekłada, ze zbuntowanej nastolatki staje się nagle zafascynowanym nową zabawką dzieckiem. Jej oczy błyszczą, a skurczone ciało prostuje się i ożywa. Dopiero wtedy, kiedy nachyla się nad jedną z fotografii, zauważam kartkę przyczepioną z tyłu do jej bluzki.

– Sztos!! W czasach cyfry takie foty to prawdziwe cudenka – mówi z zachwytem, trzymając w dłoniach jedną z fotografii.
– Mam dość bezsensownego pstrykactwa, podrasowanego filtrami, gdzie wszystko jest takie nijakie, takie samo, takie sztuczne.

– To prawda. Zdjęcia analogowe mają duszę – przyznaję. – Każda odbitka jest wyjątkowa. W powstawaniu takich zdjęć nie ma sztampy ani przewidywalności. Chcesz kiedyś spróbować i wywołać swoje zdjęcia w mojej ciemni? – pytam.

Podchodzę bliżej i udaję, że klepię ją po plecach, dyskretnie ściągając kartkę z napisanym czerwonym flamastrem tekstem: „Jestem małą suką. Lubię od tyłu. Bierz mnie”. Wciskam ją w kieszeń swoich spodni. Kalina nie odpowiada, ale poznałam ją na tyle dobrze, że wiem, co oznacza jej milczenie. Nie chce, bym myślała, że skwapliwie przystaje na moją propozycję. To ona lubi stawiać warunki.

– Rozmawiałaś z mamą o przeniesieniu do innej szkoły? – pytam.

Dziewczyna wzrusza ramionami, a jej ciało na powrót staje się spięte.

– Nic z tego. Logistyka to dla mojej matki słowo klucz. Szkołę masz pod nosem. Jazda na drugi koniec miasta to idiotyczny pomysł, dziecko! – jej głos staje się wysoki i piskliwy, jak głos jej matki. – Koniec tematu.

– To o to się pokłóciłyście?

– Nie chcę o tym gadać – zbywa mnie, odwracając wzrok. Patrzy na kolejną fotografię. Ale tym razem z pewną niechęcią. Wiem, do kogo jest skierowana. – Jeszcze tylko rok, jakoś to wytrzymam. Potem złożę dokumenty do plastyka. Wtedy niech sobie gada, co chce.

W kieszonce na piersi Kaliny wibruje telefon.

– To mój tato – oznajmia obojętnie, kiedy wyciąga komórkę i patrzy na wyświetlającą się na ekranie wiadomość.
– Lepiej już pójdę.

Niechętnie zakłada torbę na plecy. Odnoszę wrażenie, że w ten sposób chce odwlec swoje wyjście i następujące po nim spotkanie z ojcem. Kiedy otwieram drzwi, on stoi już po przeciwnej stronie klatki schodowej, przy drzwiach swojego mieszkania, z przyciśniętym do ucha telefonem i neseserem w rękę. Najczęściej właśnie w takim wydaniu go widuję – wciśniętego w szary garnitur i przemęczonego. Nie witając się z ojcem, Kalina wślizguje się do mieszkania ze spuszczoną głową.

– Dziękuję za przygarnięcie mojej córki. – Mężczyzna uśmiecha się kurtuazyjnie, odwraca i przestępuje próg swojego mieszkania.

– Chciałabym z panem porozmawiać – wołam za mężczyzną znikającym za uchylonymi drzwiami.

– Chodzi o papierosy? Czy o jej bójki? Mam teraz na linii jej matkę – wzdycha i wskazuje na telefon. – Możemy porozmawiać później?

– Jasne – odpowiadam i wycofuję się, słysząc dobiegający z jego telefonu podniesiony kobiecy głos.

– Naprawdę doceniam to, co pani dla niej robi – dodaje jeszcze po chwili, zasłaniając telefon dłonią. Potem wślizguje się do swojego mieszkania i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Nie potrafię być tylko nauczycielką działającą wyłącznie w ramach szkolnego sylabusu. Przed Kaliną było jeszcze kilkoro pogubionych dzieciaków, w których problemy być może za bardzo się angażowałam. Nie powinnam się z nimi

spoufalać ani wpuszczać do swojego domu. Wiem o tym. Nie potrafię jednak tylko przyglądać się z boku. Muszę być ze sobą szczerą. Robię to chyba dlatego, że chcę ustrzec je przed tym, co spotkało mnie. Ale mając mgliste pojęcie o szczęściu dorastających dzieciaków, poruszam się po omacku. A wypadkową tworzącą świat każdego z nich jest przecież sto powiązanych ze sobą zmiennych, o których zazwyczaj nie mam pojęcia.

Wracam do swojego mieszkania, biorę laptop do łóżka i zagrzebuję się w fałdach kołdry leżącej na nieposłanym od rana materacu. Masuję swoje skronie – ból głowy nie minął, ale nieco złagodniał, co znów wyostrzyło moją czujność i chęć posunięcia się naprzód.

Nowaczyk. Tak nazywała się gosposia pracująca w naszym domu, a przynajmniej to nazwisko nosił Eryk, jej syn. Nazwisko wyryte w kamieniu, na nagrobku chłopaka skazanego za zabójstwo mojej rodziny. Będąca niemal rówieśnicą Ady córka gosposi, Monika, może wiedzieć, co działo się w szkolnym życiu mojej siostry, a przynajmniej może mieć pewne pojęcie o jej relacjach z rówieśnikami. Znajduję ją na Facebooku. Z doklejonym do jej panińskiego nazwiska drugim członem, siostra Eryka stała się Moniką Nowaczyk-Wilczyńską. A w każdym razie mam nadzieję, że ta pulchna kobieta mieszkająca w Rewie, sąsiadującej z Gdynią wiosce, to właśnie ona. Wysyłam jej prywatną wiadomość. Kilkanaście minut później w prawym dolnym rogu okienka pojawia się małe kółeczko z miniaturą fotografii profilowej Moniki – to znak, że odczytała moją wiadomość. Ale na tym się kończy. Odpowiedź nie nadchodzi.

LENA

24 lipca 2019 r.

Na polnej drodze wciąż widoczne są ślady hamowania. W nocy padało, ale deszcz nie zmył wrytych głęboko w ziemię odcisków opon, nie wypłukał też zdartej trawy. Znajduję się około stu metrów od tego przeklętego brzozowego lasku. To zbyt daleko, by dostrzec drzewo, w które uderzyłam, ale i tak potrafię je sobie wyobrazić.

Rozdarta kora, a pod nią ostre cięcie na pniu, które zostawił po sobie mój zderzak. Odłamki szkła rozproszone wokół samochodu.

Na samą myśl o tamtej chwili sprzed dwóch dni dopada mnie strach. Wciskam się w tylne siedzenie ubera i wbijam wzrok w kremową podsufitkę samochodu upstrzoną śladami po jakichś owadach. Zaciskam powieki, biorę głęboki wdech i powoli wypuszczam z ust powietrze. To nic takiego, tłumaczę sobie. Tylko objawy somatyczne, czyli chore twory mojej głowy. Mój stary nieoswojony wróg, którego wciąż nie udało mi się pokonać. A przynajmniej nie na stałe.

Doświadczałam podobnych ataków paniki już wielokrotnie. Tak działa na mnie lęk przed powrotem do złego wspomnienia, w tym wypadku do tamtego ataku sprzed dwóch dni. W ciągu ostatnich kilkunastu lat stany lękowe atakowały mnie wielokrotnie, przybierając różne wrogie oblicza. Zwykle twarz ciotki. Nieco rzadziej przybierały postać koszmarnych snów, które niedawno okazały się pamiątką po wczesnym dzieciństwie.

Do moich myśli wdziera się Filip. Niespodziewanie, przypadkowo, tak jak jego obecność w moim życiu. Czy mogę mówić o swoim sukcesie, choćby połowicznym? Prawda, którą mu przekazałam, była tylko częściowa. To i tak wiele,

kiedyś nie byłoby mnie stać nawet i na to. W porannej rozmowie powiedziałam mu o wypadku, o wstrząsie mózgu, o szwie. Nie dodałam, że moją pasażerką była kobieta z przeszłości, a z klifu ktoś mnie zepchnął, najprawdopodobniej celowo. To białe kłamstwo, dla dobra Filipa. Tak to sobie tłumaczę. Ulżyło mi, kiedy zgodził się nie skracać swojego wyjazdu służbowego.

Kiedy dwie minuty później zajeżdżam uberem pod schludny niewielki dom pod lasem, udaje mi się całkowicie ochłonąć. Przyjechałam tu w konkretnym celu – by odebrać pamiątkę po swojej siostrze. Nikt nigdy nie zrozumie, ile ten przedmiot dla mnie znaczy. Coś, co dla innych jest tylko starą, zapewne zatęchłą bluzą, w moich oczach urasta do rangi niewidzialnego łącznika z siostrą, który może mi pomóc odzyskać moją utraconą tożsamość.

Rzucam kierowcy niedbałe „do widzenia” i zatrzaszukuję za sobą drzwi. Rozglądam się po ulicy. Dom gosposi wyróżnia się na tle nowoczesnych budynków, które go otaczają. Ale bije od niego ciepło, którego brakuje pozostałym. Na ganku stoją donice z okazałymi kwiatami, w sadzie rosną stare rozłożyste drzewa. Na kilku gałęziach wiszą karmniki i poidełka dla ptaków.

Popycham uchyloną bramę i kieruję się w stronę ganku. Napotykam niechętny wzrok młodej kobiety, która wygląda zza beżowych zasłon. Ta twarz to jedyny niepasujący do przyjaznego otoczenia element. Niezrażona podchodzę do drzwi wejściowych i uderzam zawieszoną na nich kołatką, pewna, że ktoś zaraz mi otworzy. Czekam, ale przez dłuższą chwilę nikt nie pojawia się po drugiej stronie. Próbuję raz jeszcze, stukając zbyt mocno, zbyt nerwowo, zbyt natarczywie.

Drzwi otwierają się wreszcie z hukiem, a w przejściu staje pulchna kobieta po trzydziestce o zmęczonej i ponurej twarzy. Zbyt ponurej jak na kogoś w jej wieku. W jej oczach płonie gniew. Opięty T-shirt w grochy podkreśla kilka wałków tłuszczu w pasie, a elastyczne legginsy opinają masywne uda. Kobieta ma mocno zarysowaną szczękę, a jej ciemne okrągłe

oczy przypominają mi jedną z postaci anime. Znam tę twarz. Widziałam ją przed chwilą w oknie, a przedwczoraj także na facebookowym profilu, choć znacznie weselszą. To Monika, córka gosposi.

– Po co pani tu przyszła?! – zwraca się do mnie głosem spiętym i rozdrażnionym. – Niech pani zostawi w spokoju naszą rodzinę!! Moja matka już dość się przez was wycierpiała!!

– Przez nas? – pytam najłagodniej, jak potrafię, ignorując jej atak.

– Niech pani nie udaje! Wiem, kim pani jest i po co tu przyszła. – Kobieta wyciąga przed siebie pulchny palec i dźga mnie w klatkę piersiową. Robi krok do przodu i napiera na mnie swoim ciałem. – Najpierw mój brat, a teraz ten wypadek! Lepiej niech się pani stąd zabiera!

– Widzę, że odczytała pani moją wiadomość – reaguję ze spokojem.

– Nie obchodzi mnie ani wiadomość, ani pani. Ani żadne cholerne powroty do przeszłości!

Podniesiony głos Moniki przerywa skrzypienie drewnianych desek. Odwracamy głowę w stronę, z której dobiega. Zza ramion Moniki wyłania się zatroskana twarz starszej kobiety, w której rozpoznaję gosposię. Jest inna, niż zapamiętałam ją ostatnio. Bledsza i mizerniejsza.

– Moniczko, co tu się dzieje?! – pyta kobieta, patrząc na córkę podkrążonymi oczami, w których widać wyczerpanie. Zauważam, że porusza się wolniej i bardziej ociężale.

– Nic, mamo, ta pani właśnie wychodzi. – Monika chwyta za klamkę, bierze zamach i niemalże zatrzaskuje mi drzwi przed nosem. Ale udaje mi się przewidzieć jej ruch. Wyciągam przed siebie dłoń i w ostatniej chwili zatrzymuję siłę uderzenia. Drzwi odskakują, odbijając się od ramienia Moniki.

– Dziecko, uspokój się – odzywa się matka głosem ciepłym i dobrotliwym. – Nela przyszła tu tylko po bluzę swojej siostry, prawda? – Kobieta klepie córkę po ramieniu i patrzy

na mnie błagalnie. Chodzi pewnie o to, bym potwierdziła, że niczego więcej od nich nie chcę.

Kiwam głową zgodnie z jej oczekiwaniem. Ale Monika wciąż dyszy ciężko. W tej chwili jeszcze bardziej przypomina mi rozsierdzone dzikie zwierzę.

– To ja zaraz ją przyniosę. Tę bluzę – mówi matka Moniki.
– Przypomniałam sobie, do którego worka ją włożyłam. Zaproś panią do środka, poczęstuj wodą – zwraca się do córki bardziej nagłaco i zdecydowanie.

Zanim którakolwiek z nas zdąży zaprotestować, szybko się ulatnia.

– Ona nie ma tu czego szukać – odburkuje Monika, krzyżując ramiona na piersiach i, nie spuszczając ze mnie wzroku, opiera się o framugę drzwi.

– Pani wie, o co chciałam spytać – mówię, robiąc krok do przodu.

– Wyraziłam się chyba jasno. Dostaniesz tę swoją bluzę i już cię tu nie ma.

Mierzę Monikę niechętnym wzrokiem. Ten babsztyl nie jest podobny do swojej matki, nie ma w sobie ani krzty łagodności. Przypomina mi raczej prostaczkę, która myśli, że doznana kiedyś krzywda upoważnia ją, by teraz zmieszać mnie z błotem.

– Tylko trzy minuty. O tyle proszę. Twoja matka mówiła, że chodziłaś z Adą do szkoły. Chodzi mi o jej przyjaciół. Chcę wiedzieć, jak się nazywali i jacy byli.

Monika nie reaguje. Stuka polakierowanymi na pomarańczowo paznokciami o framugę drzwi, ale wyraz jej twarzy nieco łagodnieje, a ciało się rozpręża. Biorę to za dobry znak.

– Obiecuję, że potem już nigdy tu nie wrócę – dodaję zachęcająco.

– Chodziłam do jednej klasy z bratem Kamila – wzdycha. – Kamil przyjaźnił się z twoją siostrą – wyjaśnia.

Kiwam głową na potwierdzenie. O Kamilu wspominała mi już jej matka.

– Gdzie mogę go znaleźć? – pytam.

Monika patrzy na mnie z ukosa.

– Na cmentarzu na Chwarznie.

Sztywnieję, automatycznie przyjmując postawę obronną. Dłonie zaczynają mi się pocić, na karku czuję zimno.

– Kamil nie żyje?

– Zginął miesiąc przed zabójstwem twojej siostry.

– Co się stało? – pytam.

– Zabawa w podduszanie. Kamil zrobił to sobie sam, w domu. Nie rozwiązał w porę pętli zawieszanej na szyi. –

Monika oznajmia to bez cienia emocji w głosie, jak prezenterka relacjonująca codzienną porcję wiadomości ze świata.

W głowie mam gonitwę myśli. Kolejny nastolatek, przyjaciel mojej siostry, umiera w odstępie miesiąca od zabójstwa mojej rodziny. W kontekście wszystkich wydarzeń, których byłam świadkiem, i informacji, do których dotarłam, ta śmierć to następny absurd.

– Szkoda mi go było – wtrąca Monika nieproszona. – Bystry dzieciak. Jego umysł dosłownie nie miał wyłącznika. Doszedłby do czegoś w życiu – dodaje tęsknie i z taką nostalgią w oczach, jakby i jej własne życie od czasów ogólniaka cholernie się posypało. – Jak chcesz wiedzieć o nim więcej, pytaj jego brata. Nazywa się Marcin Szymczak. Jest właścicielem kompleksu szklarni na Oksywiu. Coś jeszcze? – rzuca ze zniecierpliwieniem, kiedy nie reaguję.

– Nie minęła nawet minuta – odpowiadam, wyrywając się z chwilowego odrętwienia.

Monika wzrusza ramionami.

– To niesprawiedliwe, że obarczasz mnie winą za śmierć brata! – zbieram się na odwagę, by jej to w końcu powiedzieć.

– To nie ja, lecz sędzia wydał wyrok! To nie ja, lecz więzienie go zniszczyło! Mogłabym na tej samej zasadzie obwinać ciebie, bo jesteś siostrą człowieka uznanego przez prawo za zabójcę mojej rodziny.

Broda Moniki drży. Zagryza dolną wargę i odwraca ode mnie twarz, ale i tak widzę, że jej oczy robią się wilgotne. Załamana dawnymi wspomnieniami gruboskórna kobieta staje się nagle krucha i delikatna.

– On tego nie zrobił – odzywa się ochrypłym głosem, ocierając łzę.

– A ja nie mam nic wspólnego z tragedią, która dotknęła waszą rodzinę.

Zapada między nami długa cisza, którą przerywa Monika.

– Właśnie minęła kolejna minuta.

– Jeszcze chwila – proszę. – Dziewczyna i chłopak, z którymi przyjaźniła się Ada. Powiedz mi coś o nich.

Monika podnosi głowę, ale wciąż nie patrzy mi w oczy.

– O ojcu Łukasza wiem więcej niż o nim samym. Ten stary to był złamany kutas, pijak i obibok. Taką miał opinię w Mostach. To tam mieszkała jego rodzina. A Iga? Powiem tyle. Porażająca uroda i intelekt. Ale żadna dziewczyna nie chciała się z nią kumpłować – dodaje enigmatycznie.

– Poza moją siostrą.

Monika uśmiecha się niedostrzegalnie. Nie wiem, jak mam to rozumieć.

– Ale twoja siostra nie była taka jak inne dziewczyny.

– To znaczy?

– Była chłopczycą z idealistycznym poczuciem sprawiedliwości. Nie pogadałabyś z nią o kosmetykach, o chłopakach, o imprezowaniu w klubach. Prędzej o wyższych celach i aspiracjach. Była jak cholerny Robin Hood w spódnicy. Myślę, że chciała naprawić ich wszystkich, choć sama sobie ze sobą nie radziła.

– Ich wszystkich? Czyli kogo?

– Tę swoją paczkę. Igę. Łukasza. Kamila. Każdy z nich był w jakiś sposób poobijany. Każdy, poza Igą.

– Wciąż nie rozumiem.

– Iga była dobrą aktorką, ze smykałką do manipulacji. Taka mała zmiyka. Wcześniej się tego nauczyła. Jej starzy wzięli rozwód, kiedy była jeszcze mała. Oboje byli obrzydliwie bogaci. Próbowali, każde z osobna, wkupić się w jej łaski coraz lepszymi gadżetami. Iga nauczyła się, jak ich wykorzystywać, jak wycisnąć najwięcej dla siebie. Dzięki temu szybko stała się małą egoistką. Te same techniki, które stosowała wobec rodziców, przenosiła do szkolnych relacji. Przyklejała się do tego, kto w danym momencie mógł okazać się dla niej przydatny. Ale nie potrafiła budować prawdziwej więzi. Widzieli to wszyscy, wszyscy poza Adą.

Chcę spytać Monikę, jakie konkretnie sytuacje w związku z Igą ma na myśli, ale kolejne skrzywienie drewnianych desek, tym razem jeszcze donośniejsze, odwraca moją uwagę. Z mroku korytarza wyłania się matka Moniki z zafoliowanym pakunkiem w ręku.

– Trzy minuty. Twój czas właśnie minął – mówi Monika i uśmiecha się triumfalnie.

Ignoruję ją. W tej chwili chcę tylko rozpakować to, co przyniosła matka Moniki. A ona podchodzi do mnie, nachyla się i szepcze mi do ucha:

– Nie gniewaj się na nią. My po prostu nie chcemy wracać do tamtych zdarzeń. – Kiedy odsuwa się ode mnie, widzę błysk strachu w jej oczach. Nie było go tam wcześniej. Kobieta wsuwa mi pakunek w rękę i poklepuje kilkakrotnie po dłoniach – delikatnie, ale stanowczo. Biorę to za znak, że najwyższy czas zniknąć.

Wychodzę, nie odwracając się za siebie. Źle wychowana arogantka. Pewnie właśnie tak Monika myśli o mnie, kiedy, skupiona na pakunku, nie odpowiadam na jej pożegnanie. Trudno. Oddalam się w stronę klifu na wystarczająco

bezpieczną odległość, by nikt mnie nie zobaczył. Dopiero wtedy rozrywam opakowanie. Bluza sama wślizguje się w moje ręce. Czuję pod palcami gruby materiał, dotykam go zachłannie i niecierpliwie, ale jeszcze się mu nie przyglądam. Poprzez drzewa, które mam teraz przed sobą, prześwituje szary przestwór morza. A to znaczy, że lada moment będę na miejscu. Przedzieram się przez ostatni smagający moją twarz krzew i idąc po ledwie rysującej się pod moimi stopami ścieżce, wreszcie docieram do celu. Znad krawędzi klifu zawieszona dwadzieścia metrów ponad linią brzegu unosi się przyjemny słonawy zapach morza, na twarzy czuję lekki powiew wiatru. Jest tu pięknie i tak kojąco. A przede wszystkim zupełnie pusto. Siadam na wilgotnym piasku i starannie rozkładam materiał na kolanach, czuję jego ostry zapach. Przyglądam się bluzie fałda po fałdzie, badam ją centymetr po centymetrze, po czym przykładam do policzka, szukając na niej śladów Ady. Ale niczego niezwykłego nie znajduję. Jeśli tam w ogóle były, musiały już dawno zniknąć w tym starym zakurzonym worze, w którym bluza była przechowywana. Nie potrzebowałyby nawet tych dwudziestu lat, by ulec całemu zniszczeniu.

Powinnam to dobrze wiedzieć, ale i tak dopada mnie rozczarowanie. W kroju bluzy też nie widzę niczego wyróżniającego. Ot, prosty luźny model ze ściągaczami i kapturem oraz obszerną kieszenią z biało-czerwonym nadrukiem złamanej rośliny. Kieszeń jest pusta. Po jej dokładnym sprawdzeniu nakładam bluzę na siebie.

Co teraz? Co dalej?

Czując palącą potrzebę znalezienia się bliżej czegoś mistycznego, może Ady albo linii horyzontu, albo kierunku, który w końcu zaprowadzi mnie we właściwe miejsce, postanawiam zejść klifem w dół. Stąpam ostrożnie po piasku, potykając się o wystające korzenie. Dwa razy tracę równowagę i prawie ześlizguję się ze zbocza. Opatulam się szczelniej bluzą, pragnąc raz jeszcze dać sobie szansę, bym poczuła wyraźniej swoją siostrę. Poza strzępkami wspomnień

innych ludzi ta bluza to jedyne, co po niej mam. Przecież tego chciałam, po nią przyszłam.

Ile uderzeń serca mojej siostry słyszała ta bluza? Ile jej oddechów gromadziło się nad nią, ile słów, ile niespełnionych marzeń zostało nad nią wypowiedzianych? Wyliczając w głowie hipotetyczne odpowiedzi na kolejne „ile”, odkrywam po chwili, że stoję po kostki w lodowatej morskiej wodzie. Fale pochłaniają moje stopy, a zaraz potem je uwalniają. I tak na przemian. Ale nawet to nie działa na mnie trzeźwiąco. Zaciskam drżące z zimna wargi i mimo mulistego gruntu usuwającego się spod stóp brnę dalej. W tej chwili wierzę, że jestem jak duch, zjawa, która może wszystko. Stawiam kolejny krok. Zamiast morskiej fali zalewa mnie inna, pustosząca mnie od środka fala rozpaczy. Uciekając od ciotki, liczyłam na to, że wahadło mojego życia odchyli się wreszcie w drugą stronę, zwróci ku normalności. Ale ono zachowało się odwrotnie. Nieobecni rodzice, ojciec oszust, egoistyczna matka, no i kochająca mnie siostra, wszyscy nie żyją. A potem kolejna zagadkowa śmierć. I jeszcze nieleczona latami moja własna trauma. Gromadzę w sobie ostatnio zbyt wiele rozpaczy.

Na ułamek sekundy dopada mnie dziwna, choć niezwykle kusząca myśl. Co by było, gdybym rozmyślała się w tej morskiej toni? Tak nagle, tak po prostu. Wyobrażam sobie obce zatroskane twarze tych, którzy znaleźliby mnie gdzieś przy brzegu. Włosy falujące jak wodorosty, blade ciało unoszone przez fale. Jakie to łatwe do przewidzenia, pospolite i naiwne, myślę, kiedy staram się wyobrazić sobie komentarze tych, którzy znali mnie tylko z widzenia. Niestabilna emocjonalnie artystka, zresztą oni przecież tacy już są. Wiecznie odrealnieni. Aaa, no i tak. Sierota. W dodatku wychowana przez ciotkę. Mały, biedny, bezpieczny pies. Tak, to naprawdę tłumaczy, dlaczego się zabiła.

Może ktoś uroniłby nade mną łzę, a może nikt.

Biorę głęboki oddech. Szum morza mruży mi nad głową, a niska temperatura wody podwyższa tętno. Czuję je wyraźniej w głośnym biciu swojego serca. Czuję też coś innego, ciężar

nasączonej wodą bluzy i tak, także siostrę, którą maniakalnie usiłuję sobie wyobrazić w tej bluzie. Wciąż posuwam się naprzód, w zgodzie z napierającą na mnie falą. Pozwalam się jej zawlec byle gdzie, byle głębiej, byle dalej od brzegu, jeszcze tylko przez krótką chwilę. Tak bardzo chcę czuć się nieświadoma, odległa, otulona w czerni.

– Halo, proszę pani! – Od strony brzegu dociera do mnie męski głos.

Istnieje naprawdę czy uroił się tylko w mojej głowie? Nieważne. Nie słucham go. Stawiam kolejny krok.

– Cholera, co też pani wyprawia!!!

Głos jest przenikliwie ostry i drażniący, jak wbijający się w mój kark odłamek szkła, przez co wytrąca mnie ze spirali mojego odrętwienia. Rozglądam się wokół. Dopiero wtedy dociera do mnie, jak daleko oddaliłam się od brzegu i że niespokojna woda sięga już moich ramion. Za plecami słyszę głuchy plusk, a potem inny, jeszcze donośniejszy dźwięk, który przypomina mi rytmiczne wiosłowanie ramion. Odwracam głowę. Mrugam raz, potem drugi, jakbym chciała pozbyć się rysującego się przed moimi oczami, wciąż powiększającego się obrazu. Jest na nim mężczyzna w średnim wieku płynący w moją stronę. W jego oczach błyska strach. Po chwili mężczyzna szarpie mnie za ramię, a ja wcale z nim nie walczę, posłusznie pozwalam mu zaprowadzić się na brzeg. Z wymuszonym zakłopotaniem tłumaczę mu, że nic się nie stało, że sama wrócę do domu, ale on mnie nie słucha. Nie spuszczając ze mnie oczu, podnosi swój porzucony na piasku telefon, wstukuje w niego trzycyfrowy numer i przyciska aparat do ucha. Trzęsę się z zimna, które staje się jeszcze bardziej przenikliwe przy każdym kolejnym podmuchu wiatru. Na plaży jesteśmy we troje: ja, on i biegający radośnie po piasku czarny labrador. To chyba pies tego mężczyzny. Wykorzystując chwilową nieuwagę właściciela, oddala się od nas coraz bardziej.

– Cholera, Sushi, wracaj! – woła za nim mężczyzna, ale pies podniesiony głos swojego pana interpretuje jako zachętę

do zabawy i przyspiesza zamiast zwolnić. – Niech pani tu stoi. Niech się pani stąd nie rusza, dobrze? – mówi mężczyzna głosem słodkim i kojącym. Potem rusza w pogoń za psem.

Kiwam głową na potwierdzenie, ale tak naprawdę dławie krzyżące we mnie dwukrotnie „nie!”. Nie, bo nic nie jest dobrze! Nie, bo nie zamierzam tu na niego czekać! Zrywam się z miejsca i biegnę przed siebie, z dala od morza, od tego człowieka, od jego psa. Jestem zadziwiająco rześka i krzepka. Po chwili, kiedy odwracam kontrolnie głowę, człowiek i jego pies stają się już tylko dwoma niknącymi na horyzoncie punkcikami.

LENA

25 lipca 2019 r.

Stoję przed zamkniętą na trzy spusty kwiaciarnią, przyglądając się swojemu odbiciu w sklepowej witrynie. Lodowa skała. Te słowa wybuchają w moim mózgu jak błysk flesza. Nie, nie chodzi o zimny błękit moich oczu ani o jasne jak pszenica włosy, spięte dziś w kucyk.

Ta niechciana ksywa nie bez powodu przylgnęła do mnie już w ogólniaku. Dokładnie taka właśnie byłam – zdystansowana i chłodna. Czasami nieprzyjazna, a nawet wredna. I choć wtedy trudno było mi się nie zgodzić z tą doczepioną łatką, nie potrafiłam zrozumieć, skąd bierze się we mnie ta inność. Kiedy rówieśnicy garściami czerpali z życia, ja udawałam, że także próbuję, z marnym zresztą rezultatem. W pewnym momencie zaczęłam robić to samo co oni, ale nie czułam absolutnie nic. Żadnej przyjemności, żadnego spełnienia, żadnej fascynacji. Ciągłe tylko dopadające mnie w snach realistyczne koszmary, szalejący we mnie lęk przed kolejnym odrzuceniem, a wreszcie moja własna sztuka. W pewnym stopniu to ona stała się moją terapią.

Wczoraj wieczorem przecknęłam się spocona i rozpalona. Woda z przemoczonej bluzy, którą miałam na sobie, ciekła na dywan, tworząc powiększającą się plamę. Nade mną stała Julia i klepiąc mój policzek, usiłowała mnie ocucić. Skłamałam, że straciłam przytomność. Idiotyczna wymówka. Ale cóż innego miałam jej odpowiedzieć, skoro sama nie wiedziałam, co wywołało mój stan? Nie mam pojęcia, w jaki sposób pokonałam drogę między plażą a swoim mieszkaniem. Tę wiedzę pochłonęła czarna dziura.

Po wczorajszym zdarzeniu na plaży po raz pierwszy dotarło wreszcie do mnie, że dłużej nie poradzę sobie bez fachowej

pomocy.

– Kwiaciarnia i szklarnie są jeszcze zamknięte. – Zza moich pleców dobiega wysoki szczebiotliwy głos, który wyrzywa mnie z zamyślenia.

Odwracam się i rozglądam po parkingu. Na pustym placu stoi dziewczynka z warkoczykami cienkimi jak mysie ogonki. Ma najwyżej osiem lat i skubie palcami coś, co przypomina biały obłoczek. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to wata cukrowa.

– Wiesz, gdzie mogę znaleźć pana Marcina Szymczaka, właściciela tej kwiaciarni? – pytam ją, wskazując na stojący przede mną budynek.

Mała przekrzywia głowę i przygląda mi się jak nieufny szczeniak.

– Tato jest w szklarni, tej, w której rosną orchidee – odpowiada po zastanowieniu, ugniatając w dłoni małą kulkę ściągniętą z czubka waty, po czym wsadza ją sobie do ust i oblizuje palce. – A po co to pani?

– Muszę z nim porozmawiać. Możesz mnie tam zaprowadzić?

Mała patrzy na mnie z dziwnym, przenikliwym wręcz błyskiem w oku. Nie odpowiada, mija mnie i kilkoma susami dopada do oddalonej od parkingu furtki, po czym manipuluje przy kłódce.

– Otwarte – oznajmia triumfalnie, kiedy kłódka wydaje z siebie metaliczny brzęk. – Tato jest tam. – Uchyła bramę i wskazuje palcem na jedną z ukazujących się naszym oczom szklarni. Jedyłą, której drzwi są otwarte.

Przechodzę przez furtkę pierwsza, czuję się trochę jak intruz wkraczający na zakazany teren. Mała nie odstępuje mnie nawet na krok. Wyrastające przed nami kolejne trzy imponujące szklarnie są jak futurystyczne domy ze szkła. Zawieszane w nich kurtyny przeciwsłoneczne, stojące obok wózki pełne doniczek z roślinami, załadowane towarem furgonetki są wizytówką prężnie prosperującej firmy. Kiedy

po chwili przechodzę przez drzwi pierwszego szklanego budynku, atakuje mnie fala dusznego wilgotnego powietrza. A zaraz potem rozdrażniony głos.

– Tu nie można wchodzić!

Nad olbrzymim blatem wypełnionym sadzonkami pochyla się wysoki szczupły mężczyzna po trzydziestce o twarzy jakby gwałtownie zwięzającej się do szpiczastego podbródka. Na oczy nasunięte ma gogle, a w ręku trzyma spryskiwacz. Nosi dopasowany i starannie uprasowany biały kitel z logo firmy. A na nim plakietkę z imieniem i nazwiskiem potwierdzającym, że dobrze trafiłam.

– Chciałam porozmawiać o Kamilu – mówię, ignorując jego reprimendę.

Mężczyzna odstawia spryskiwacz, zdejmuje gogle, składa je i wsuwa do kieszeni. Stojącej obok mnie dziewczynce rzuca karcące spojrzenie.

– Mój brat od dawna nie żyje. Kim pani jest? – pyta, jest wyraźnie spięty.

– Jestem siostrą Ady, jego przyjaciółki – tłumaczę.

Szymczak stoi i milczy, obrzucając mnie niechętnym spojrzeniem. Wygląda tak, jakby w głowie rozwijał arkusz kalkulacyjny z zestawieniem sposobów, jak najszybciej mnie splawić.

– Dobrze, porozmawiajmy – odzywa się jednak po dłuższej chwili. – Ale nie tutaj.

Nie czekając na moją reakcję, rusza wąskim korytarzykiem rozwidlającym się w kolejne przejścia prowadzące w głąb szklarni. Skręcamy w lewo i docieramy do niewielkiego pomieszczenia, nieproporcjonalnego do przestrzeni, jaką zajmują tutaj kwiaty. Poza biurkiem, komputerem, regałem i dwoma obrotowymi krzesłami w tej klitce pełniącej funkcję biura nie ma niczego więcej. Siadam na krześle, Szymczak zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. Podążająca za nami krok w krok dziewczynka opiera się łokciami o blat i ostentacyjnie

skubie kolejny kęs waty. Mężczyzna rzuca jej gniewne spojrzenie.

– Kasiu, zmykaj do domu.

Na twarzy małej pojawia się grymas niezadowolenia.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Zaraz przyjeżdża po ciebie babcia.

Dziewczynka przewraca oczami, wciska patyk w dłoń ojca, rozcapierza palce, bierze zamach i uderza w watę dłońmi, miażdżąc ją. Na jej ojcu nie robi to żadnego wrażenia. Zakładam, że przywykł do podobnych wyskoków córki. Chwilę później dziewczynka odwraca się na pięcie i wychodzi, zabierając lepki placek ze sobą. Patrzymy na siebie, ja i jej ojciec, każde w oczekiwaniu na reakcję drugiej strony.

– Przepraszam, moja córka to mała złośnica i źle reaguje na zakazy – odzywa się Szymczak. – O co konkretnie chodzi?

– O pana brata i moją siostrę.

Szymczak kiwa niechętnie głową, kładzie dłonie na stole w idealnie równym odstępnie i pochyla się nieco do przodu.

– Po co rozgrzebuje pani temat sprzed dwudziestu lat?

– Domyślam się, że słyszał pan o tym, co stało się wtedy z moją rodziną?

Kolejne kiwnięcie głową.

– Nie dziwi to pana? – pytam.

– Dziwi? Ale co? – Szymczak trze oko i błędzi wzrokiem po blacie biurka.

– Zabójstwo Ady i śmiertelny wypadek pana brata. Oboje stracili życie w ciągu dwóch miesięcy. Nie uważa pan, że to bardzo dziwny zbieg okoliczności?

Szymczak blednie, ale zauważam, że coś drgnęło w jego twarzy, jakby przesunął się po niej jakiś ledwie zauważalny cień.

– Po co wraca pani do tego teraz?

– Prawdopodobnie coś, co łączyło Adę i Kamila, nie skończyło się wraz z ich śmiercią. – Wskazuję na pulsujący jeszcze od czasu do czasu szew. – Ktoś próbował zepchnąć mój samochód z klifu, kiedy zaczęłam interesować się sprawą śmierci swojej rodziny. Ta sama osoba może odpowiadać za zabójstwo ulicznego muzyka, który także przyjaźnił się z moją siostrą. Czy to kolejne nieszczęśliwe zbiegi okoliczności?

– Nawet jeśli choćby w części jest tak, jak pani mówi, to zaczyna pani od błędnych założeń – odpowiada. Jego twarz odzyskuje dawny kolor.

– Nie rozumiem...

– Śmierć Kamila to nie był wypadek.

– Udusił się, grając w *choking game* – powtarzam wersję, którą usłyszałam od Moniki.

– To tylko policyjna teoria.

– W którą pan nie wierzy?

Szymczak odwraca ode mnie wzrok. Opada na oparcie krzesła, a jego ciało się kurczy. Człowiek sprawiający wrażenie skrupulatnego i opanowanego nagle gdzieś znika. Ta zmiana w jego zachowaniu jest dla mnie dość nieoczekiwana. W siedzącym przede mną mężczyźnie widzę teraz nastolatka, który tkwi we wciąż żywym obrazie jakiegoś koszmarnego wspomnienia. Mówi szybko i niedbale.

– Znalazłem go wtedy w naszym salonie, z pętlą owiniętą wokół szyi. Drugi koniec sznura zaczepiony był o żyrandol. Policja odkryła na szyi Kamila kilka podłużnych zasinień, które wytłumaczono tą grą w podduszanie. Na tej podstawie uznano, że Kamil robił to już wcześniej i że tak było również wtedy, z jedną tylko różnicą. – Szymczak robi pauzę, by wziąć ciężki oddech, ale po chwili podejmuje przerwany wątek. – Nie zdążył w porę poluzować pętli. Śledczy uznali, że to był podręcznikowy przypadek. Zebrane przez nich dowody pasowały do wypełnianych byle jak formularzy. Nikt ze mną nie rozmawiał. Nie pytał, czy Kamil mógł mieć kłopoty.

– A miał? – podchwytuję.

– Wtedy myślałem, że nie. Ale dwa miesiące później okazało się, że nawet ja nie znałem swojego brata.

Szymczak przenosi wzrok ze ściany na blat swojego biurka, nadal unikając ze mną kontaktu wzrokowego. Kartkuje leżące przed sobą faktury i prostuje ich rogi. Dopiero, kiedy udaje mu się je ułożyć, rzuca mi znad kartek niechętnie spojrzenie.

– Dostałem wtedy paczkę. Dokładnie w dzień swoich urodzin. Adres na nalepce wypisany był ręką Kamila. Rozdarłem opakowanie i wybebeszyłem pudło, myśląc, że to jakiś chory żart. Ale nie... W środku znalazłem zafoliowane pudełko, a w nim „Diablo”.

Moja mina musi pewnie zdradzać, że nie mam zielonego pojęcia, co ma na myśli.

– To była kultowa gra wideo, o której wtedy marzyłem – wyjaśnia po chwili, odczytując moje zdezorientowanie. – Tylko Kamil wiedział o tym, jak bardzo pragnąłem ją mieć.

– Nie rozumiem. Paczkę dostał pan dwa miesiące po jego śmierci. Jakim cudem brat miałby ją wysłać?

– Do teraz nie wiem dokładnie, w jaki sposób gra do mnie trafiła. Przypuszczam, że Kamil wszystko zaplanował. Był skrupulatny i dokładny, tylko w tym jednym byliśmy do siebie podobni – mężczyzna uśmiecha się smutno. – Zakładam, że mógł kogoś poprosić, by ją do mnie wysłał tego konkretnego dnia. Do przesyłki dołączony był też liścik. – Szymczakowi łamie się głos. Odchrząkuje jednak i po chwili odzyskuje równowagę.

– Liścik czy raczej list pożegnalny? – pytam, spodziewając się prędzej tego drugiego.

Jego niechętnie, zniecierpliwione spojrzenie mówi mi, że nie należało go o to pytać.

– Nie powinna się pani bawić w detektywa – odpowiada zgodnie z moim przypuszczeniem.

– Więc kto powinien? Czy nie dał mi pan właśnie do zrozumienia, że nie zawsze trzeba ślepo wierzyć w kompetencję śledczych?

Szymczak wzdycha, przekładając te same faktury po raz kolejny, tylko w inne miejsce.

– To był list pożegnalny – odpowiada oględnie. Ton jego głosu staje się nagle szorstki i nieprzyjemny.

– Przekazał go pan policji?

Szymczak spogląda na zegarek, a rysy jego twarzy tężeją.

– Przepraszam, ale muszę wracać do pracy.

Nie ruszam się z miejsca, a on nie nalega. Podchodzi do zawieszanej na ścianie półki, sięga po leżącą na niej kostkę Rubika i wpatruje się w jej kolorowe ścianki. Czuję, że w ten sposób gra na zwłokę i zbiera się, by powiedzieć mi coś jeszcze.

– Nigdy nie twierdziłem, że śmierć Ady i Kamila w ogóle się nie łączą. Ta teoria wcale nie brzmi tak obłąkańczo. Nieraz sam się nad tym zastanawiałem.

– A co z listem? – pytam, naprowadzając rozmowę na właściwe tory.

– Nie mogłem przekazać go policji ze względu na naszą sytuację rodzinną, a konkretnie ze względu na naszą matkę, która wtedy chorowała... – Szymczak bierze urywany oddech – ...chorowała na schizofrenię. Stan jej zdrowia, nawet wtedy, kiedy Kamil jeszcze żył, bywał bardzo zły. Odkąd pamiętam, matka żyła pośród cieni, chwiejna i nieprzewidywalna, a ojciec i brat robili wszystko, by utrzymać ją jakoś na powierzchni. Ja... Ja nie miałem dla niej tyle cierpliwości – przyznaje z pewną skruchą. – Kiedyś, kiedy objawy choroby się nasiliły, w ciągu dwóch–trzech tygodni matka przychodziła kilkakrotnie pod naszą szkołę i stawała przy płocie z dużą porcelanową lalką wtuloną w pierś. Czesła ją tak często i tak zapalczywie, że po paru takich wizytach pod szkołą z czubka głowy lalki sterczało już tylko kilka włosów. A ona czesała ją nadal, czekając na długą przerwę, dopóki za którymś razem

wszystkie włosy lalki nie powypadały. Nawet wtedy nie przestała. Robiła to na oczach przechodniów, nauczycieli i dzieciaków, które miały z tego niezły ubaw. Bóg jeszcze wie, kto to widział. Kiedy rozlegał się dzwonek, wołała mnie i Kamila tym obłąkanym głosem, który przykuwał jeszcze więcej spojrzeń. Za każdym razem miałem ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu. I tak, robiłem to, ulatniałem się wtedy z zatłoczonego boiska. Kamil był inny. Jeśli akurat był w pobliżu, podchodził do płotu i uspokajał matkę, czym narażał się na to, że po raz kolejny zostanie uznany za frajera roku. Ale on taki właśnie był. Lojalny i mimo wszystko odważny, bo grał według swoich własnych zasad. Wtedy tak tego nie odbierałem. Wtedy było mi za niego wstyd. Kasia, moja córka, jest trochę jak on, wie pani?

Na twarz Szymczaka wkrada się jakiś tęskny uśmiech. A może się mylę? Może to wcale nie tęsknota się za nim kryje, tylko coś innego? Potrzeba odkupienia, pragnienie wypowiedzenia spóźnionych o dwadzieścia lat przeprosin, skierowanych do brata albo matki.

– Zanim Kamil zaprzyjaźnił się z Adą, był raczej spokojnym chłopakiem – mówię, układając sobie w głowie obraz tej smutnej rodziny. – Moja siostra była chyba całkiem inna... – urywam, bo wtedy Szymczak robi coś, czego się w tej chwili nie spodziewałam. Otwiera szufladę, wyciąga z niej papierosa i zapala.

– Zastanawia się pani, jak zaczęła się ich przyjaźń? – mówi, po czym zaciąga się i wydmuchuje dym z ust. – Do teraz nie wiem, co ich do siebie przyciągnęło, ale pamiętam dobrze, kiedy zaczęli się kumplować.

Wiercę się na niewygodnym krześle, otoczona kurzawą szczypiącego mnie w gardło dymu, cierpliwie czekam na szczegóły.

– To było w pierwszej klasie, w maju, na klasowej wycieczce. – Szymczak z ochotą podejmuje temat. – Wcześniej mój brat i Ada schodzili sobie z drogi. Wszystko tak naprawdę zaczęło się od Walczaka. To był tępy mięśniak,

który w ogólniaku podporządkował sobie kilku innych zbirów, takich jak on, tylko jeszcze głupszych. – Mężczyzna ponownie się zaciąga, robi to z jeszcze większym namaszczeniem. Z jego ust wydobywa się smużka niebieskiego dymu. – Walczak był jak cwany drapieżnik, który pragnął upokarzać innych równie mocno, co zdobyć przywództwo szkolnej watahy. Tamta wycieczka dała mu szansę na to, by mógł się wykazać. Na ofiarę wybrał Kamila, bo miał go pewnie za najsłabsze ogniwo, któremu łatwo będzie dokopać. Zakradł się do łazienki, kiedy Kamil brał prysznic, zwinął mu ciuchy i zakręcił wodę. Mój brat wyszedł z kabiny, by sprawdzić, co się dzieje, a wtedy Walczak wylał na niego olej i obrzucił go zawartością koszy na śmieci, które były w damskiej toalecie. Brudne podpaski, przeżute gumy, pety, ogryzki i inna ohyda. Potem wywabił Kamila z łazienki. Zmusił go, by na oczach kilkunastu osób przebiegł korytarzem nagi, z przyklejonymi do ciała odpadkami. – Wściekłość i nienawiść buchają ze słów Szymczaka jak żar. Po chwili robi pauzę, by ochłonąć. Przyciąga do siebie stojącą na stole popielniczkę i dogasza niedopalonego jeszcze papierosa. – Kamil ubrań oczywiście nie odzyskał, dostał za to kolejną lekcję upokorzenia, o którym nie mógł powiedzieć nikomu. Konfidenci mieli w naszej szkole naprawdę przechłapanie – dodaje z rozżaleniem.

– Wiem, jak to jest. – Odpływam na chwilę myślami do swoich własnych doświadczeń, a głos Szymczaka brzmi jak odległe echo. Na co dzień staram się walczyć z problemem szkolnej agresji mimo braku wsparcia ze strony grona pedagogicznego. Dyrektorka udaje, że zagrożenie nie istnieje, licząc, że problem z czasem rozwiąże się sam. Ale to nigdy nie dzieje się samo i nie bez ofiar. Takie akty agresji, nieważne, słownej czy fizycznej, zawsze niszczą poczucie wartości, krzywdzą dorastającego dzieciaka, który przez kolejne lata nie potrafi zaufać ani sobie, ani drugiemu człowiekowi.

– Ale to nie był koniec tamtej historii – głos Szymczaka przerywa moje rozmyślenia. – I nie Walczak ją dokończył, tylko twoja siostra. Następnego dnia podzieleni na dwie grupy uczniowie grali w darty. Kiedy przyszła kolej na rzut twojej

siostry, Ada nie celowała w tarczę, tylko w Walczaka. Pierwsza lotka drasnęła jego policzek, tylko o centymetry omijając prawe oko. Druga wbiła mu się w ramię, a trzecia w pierś. Trzy szybkie rzuty i dwie głębokie rany zadane przez ostre metalowe groty. Niezły wynik. Precyzja i furia w wykonaniu twojej siostry. To była jej odpowiedź na to, co Walczak zrobił Kamilowi, i wymierzona przez nią sprawiedliwość.

Milczę, starając się wyobrazić sobie tę scenę. Chyba nawet się uśmiecham. Pewnie nie zdobyłabym się na coś takiego, ale jestem pod wrażeniem odwagi mojej siostry.

– Jak to się dla niej skończyło? – pytam.

– Z samego rana Ada została odesłana do domu. Ale to był dopiero początek jej kłopotów. Omal nie wyleciała ze szkoły. Wstawiło się za nią kilkoro nauczycieli. Ale myślę, że decydującą rolę odegrał wasz ojciec. Tylko dzięki jego interwencji, czyli finansowemu wsparciu szkoły, jak sądzę – Szymczak rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie – udało się jej wywinąć.

– A Walczak? Co z nim?

– Walczak zniknął ze szkoły kilka tygodni później. Jego ojciec był wojskowym. Dostał przeniesienie do innej jednostki, więc praktycznie z dnia na dzień wyprowadził się z rodziną z miasta. Ale do Gdyni wracali na pewno na święta. Widywałem ich co roku na pasterce. Ada miała szczęście. Gdyby został, on i jego paczka nie daliby jej żyć.

A czy właśnie nie to się stało? Ada przestała żyć. Nie od razu, bo trzy lata po tamtym incydencie. W kontekście tego, co przydarzyło się mojej siostrze, powiedzenie „nie daliby jej żyć” brzmi trochę jak niesmaczny żart. Czy Walczak czekałby aż tyle, by się na niej odegrać? Nie wiem. Odganiam te myśli, bo chcę zadać Szymczakowi kilka innych pytań.

– Ada była gwałtowna, nieprzewidywalna, nawet jeśli jej intencje były szczerze i dobre...

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Rozumiem, że chce pani przez to spytać, czy miałem coś przeciwko jej przyjaźni z moim bratem – wchodzi mi w słowo.

Nie zaprzeczam. Patrzę na niego wyczekująco.

– Nie – odpowiada zdecydowanie. – Przyłączając się do paczki Ady, Kamil wreszcie przestał być ofiarą. Dzięki temu zyskał pewność siebie i po raz pierwszy w życiu zaczął być szczęśliwy. Zasługiwał na to po tym wszystkim, przez co przechodził w domu i w szkole. Chciałem, naprawdę chciałem, żeby wreszcie czuł się akceptowany.

Szczerść, z jaką Szymczak wypowiada te słowa, sprawia, że mu wierzę.

– Wiem, że do ich paczki, poza Adą i Kamilem, należała dwójka innych dzieciaków...

Ciało Szymczaka znów staje się napięte, a kącik ust drga. Zabiera prawą dłoń ze stołu i chowa ją pod blat. Nie wie, że widzę, jak zaciska ją w pięść.

– Toksycznych dzieciaków. I wyjątkowo zepsutych. – Szymczak marszczy brwi i cedzi przez zęby: – Iga zepsuta była pieniędzmi swoich starych, a Łukasz kładącą się na nim cieniem patologią, z której może nie chciał, a może nie mógł się wyrwać. Z tej dwójki to ona była bardziej niebezpieczna, bo potrafiła skutecznie manipulować ludźmi. I owijać się wokół nich jak bluszcz.

– W jaki sposób? – dociekam.

Szymczak prostuje się na krześle i po raz trzeci przekłada te same dokumenty. Odnoszę wrażenie, że tylko zajmując czymś ręce, może się zmotywować do tego, by powiedzieć mi coś jeszcze.

– Manipulowała w szczególności Łukaszem, ciągnęła go za sobą, zwykle na dno. Miała na to swoje sposoby – seks albo pieniądze, za które kupowała sobie jego posłuszeństwo. Ona była mózgiem, a on jej ciałem wykonawczym. Takie słuchy chodziły po szkole. Rozmawiałem z tą dwójką po śmierci Kamila. Nie wierzyłem, żeby mój brat podduszał się sam,

musieli przecież wcześniej robić to także w grupie. Na tym ta gra polegała. Na wspólnym przeżywaniu lotów.

– Przyznali się?

Szymczak potrząsa głową.

– Z Igi i Łukasza niczego nie wyciągnąłem, ale ewidentnie czułem, że coś ukrywają.

– A Ada? Co ona na to?

Szymczak zwiesza głowę na piersiach. Jest w tym geście pewien smutek i rezygnacja. Na razie nie wiem, jak je rozumieć.

– Byłem u niej, w waszym domu, by spytać ją o *choking game*, ale początkowo nie mogłem nawiązać z Adą żadnego kontaktu. Kiedy twoja matka zaprowadziła mnie do jej pokoju, Ada siedziała na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit. Była w innym świecie, półprzytomna, nie reagowała na słowa. Na mnie. Na nic. To nie była ta sama dziewczyna.

– Dlaczego? Czy mogła być nafaszerowana jakimiś prochami?

– Nie. To nie to – stwierdza. – Odniosłem wrażenie, że coś stało się z jej psychiką. Może to przez śmierć Kamila. Sam nie wiem.

– A nasza matka? Nie wyjaśniła, co jej jest? Bo rozumiem, że była przy tym, kiedy próbował pan z Adą rozmawiać.

– Był też wasz ojciec. I to jeszcze bardziej mnie zastanowiło. Miałem wrażenie, że im na niej nie zależało. Jakby ten stan Ady był dla nich normą, z którą nie należało nic robić. Ona siedziała prawie nieprzytomna na łóżku, a wasza matka paradowała w kusym szlafrocжку z drinkiem w rękę, zresztą chciała mnie nim poczęstować. Twój ojciec rozmawiał przez telefon w pokoju obok, śmiejąc się do rozpuku.

Mrużę oczy i wyobrażam ją sobie, moją siostrę. Nieświadomą i najprawdopodobniej obcą dla samej siebie, pogrążoną w jakimś katatonicznym stanie. Co go wywołało? I gdzie ja wtedy byłam? Skulona czterolatka, schowana pod

łóżkiem starszej siostry, bo być może tylko tam czułam się bezpieczna? Czy tak to wyglądało? Fala gorąca rozlewa się w środku i pełźnie po moich plecach. Gardło kurczy mi się i rozkurcza, jak serce. Muszę natychmiast ochłoniąć.

– Powiedział pan, że z początku nie nawiązał z Adą kontaktu. – Rozpinam górny guzik bluzki i luzuję materiał. – Zakładam więc, że próbował pan z nią jeszcze rozmawiać.

– Ada przysłała do mnie kilka dni później. Wyglądała jak dawniej, to znaczy względnie normalnie. A przynajmniej takie odniosłem wrażenie, widząc ją przez okno.

– Dlaczego przez okno? – pytam. – W taki sposób rozmawialiście?

– Nie rozmawialiśmy. Iga i Łukasz ubiegli mnie. Odciągnęli ją od płotu, zanim zdążyłem zejść i otworzyć Adzie bramę. Potem nie rozmawialiśmy już w ogóle. Nie zdążyliśmy. Ada została zamordowana tydzień później. Nie wiem, gdzie jest ani co robi teraz Łukasz. Iga została dyrektorką podstawówki na Oksywiu, do której chodziła kiedyś moja córka. Mówię to na wypadek, gdyby chciała pani coś z niej wyciągnąć, choć wątpię, by była w stanie powiedzieć prawdę. I o ile w ogóle będzie chciała pani tę prawdę poznać. Myśli pani, że sam nie próbowałem? Nie wyszło mi to na dobre – oznajmia jeszcze bardziej enigmatycznie, ścisząc głos. Po chwili wygląda przez okno i przebiega wzrokiem po swojej parceli. Zastanawiam się, czy odstąpił od swoich podejrzeń z obawy, że utraci to, co ma, bo ktoś mu groził. – I pani powinna na siebie uważać. Albo lepiej wrócić do swojego życia – dodaje po chwili, jakby na potwierdzenie moich obaw.

Życia, którego tak naprawdę nie mam. A w każdym razie nie jest to życie, jakie wiodą inni – chcę mu odpowiedzieć. Ale milczę.

Nie wiem, jak mam rozumieć jego słowa. To naprawdę ostrzeżenie? A może groźba? W głowie mam kolejną gonitwę myśli.

– Dyrektorka nazywa się Iga Morawska?

Szymczak kiwa na potwierdzenie głową.

Znam tę kobietę! Spotkałam się z nią raz, zaledwie przelotnie, ale tyle wystarczyło, bym wyrobiła sobie o niej odpowiednie zdanie. Nie tak dawno pojawiłyśmy się z Kaliną na międzyszkolnym konkursie plastycznym z wykonanym przez nas wspólnie projektem. Iga Morawska, patronka i współorganizatorka konkursu, była pod wrażeniem naszej prezentacji. zaproponowała, żeby w jej szkole wykonała graffiti podobne do tego konkursowego. Ale jej wyniosłość sprawiła, że grzecznie odmówiłam.

Wciąż jeszcze oszołomiona rozmową patrzę, jak Szymczak otwiera szufladę i wydobywa z niej skórzany portfel, a z jego środka zdjęcie, które kładzie przede mną na stole. Biorę je do ręki i uważnie mu się przyglądam. Z fotografii spogląda na mnie nieco speszony nastoletni chłopiec. Już na pierwszy rzut oka widać, że raczej nie należał do popularnych dzieciaków. Z jego upstrzonej wypryskami twarzy wybija się szpiczasty nos, a toporny metalowy aparat ortodontyczny niemal w całości zasłania zęby. Poddaję się instynktowi i gładzę utrwalonego na tym wyblakłym papierze Kamila. Przyglądam mu się trochę łapczywie, jakbym chciała przeniknąć przez zdjęcie i dobrać się do tajemnicy, którą zabrał ze sobą do grobu. Ale widzę tylko to, co dostrzegalne gołym okiem. Chłopaka o trochę smutnym, zagubionym, a może nieobecny spojrzeniu. Chłopaka, który pewnie na zawsze pozostał w tym aparacie, który nigdy nie wcisnął się w elegancki garnitur, by móc zatańczyć na balu maturalnym ani tym bardziej na swoim weselu. Chłopaka, który nie dorósł. Na zawsze pozostał siedemnastolatkiem, pchniętym przez kogoś lub coś w miejsce, do którego nie należał. Tak jak moja siostra.

Wstaję z krzesła i z tłukącymi się w mojej głowie myślami o tych czworgu dzieciakach i łączących ich tajemnicach wychodzę.

LENA

26 lipca 2019 r.

Spółeczna szkoła numer 4 przypomina nowoczesny biurowiec – niby szykowny, ale zimny i bezosobowy. Takie wrażenie robią na mnie liczne przeszklenia i szarości. Ubrane w eleganckie popielate mundurki dzieciaki rozproszone są po boisku. Mają po dziesięć, najwyżej dwanaście lat. Słysząc stamtąd na przemian okrzyki euforii i rozczarowania w zależności od tego, do której bramki trafi akurat piłka. Ale to nie te dzieciaki przykuwają moją uwagę. Patrzą tam, gdzie rzadko sięga wzrok innych. To chyba siła naturalnego przyciągania. Idę w kierunku szkoły leśną, ledwie wydeptaną ścieżką, mam zresztą całkiem niezły widok na przylegające do płotu krzaki po drugiej stronie ogrodzenia, z dala od czujnego oka kamery. Stoją tam dwie dziewczynki w śnieżnobiałych podkolanówkach, włosy mają splecione w warkocze. Popalają fajki. Jedna z nich krztusi się dymem, odkasłuje i spluwa w krzaki. Dzieciaków, które upodobały sobie tę leśną kryjówkę, jest więcej. Mija mnie dwóch pryszczatych wyrostków. Fantazjują o ostrym seksie z polonistką, nie kryjąc się z pikantnymi szczegółami. W każdej szkole wygląda to mniej więcej tak samo. Równoległe życie, które poza zasięgiem wzroku dorosłych prowadzi dzieciaki, jest zwykle zupełnie inne niż to, do którego ich dopuszczają. Czasami to normalny przejaw dorastania, a czasami wręcz przeciwnie – przypomina niebezpieczne balansowanie na krawędzi.

Kieruję się w stronę dziewczynek, ale zauważają mnie i spłoszone znikają w krzakach, zostawiwszy po sobie tylko niedopałki. W zagajniku znajduję nie tylko pety. Kilka opróżnionych butelek po piwie, pusta strzykawka i zgniecione puszki to zaledwie część pozostawionego tam syfu.

Wychodzę na główną alejkę prowadzącą do wejścia. Po drugiej stronie drzwi siedzi przysadzisty facet obcięty na zapalkę. Wygląda na znudzonego. Jego spojrzenie mówi mi, że nie wejść do szkoły bez okazania legitymacji. Byłam na to przygotowana. Wyciągam identyfikator i macham mu nim przed nosem. Facet krzywi się, patrząc na pieczętkę i adres, których nie rozpoznaje. Ale kiedy mówię, że byłam umówiona z dyrektorką, i powołuję się na nasze poprzednie spotkanie, mężczyzna wpuszcza mnie do środka.

Wejście do budynku jest jak wkroczenie do innego świata. W błyszczących jasnych płytkach jak w krzywym zwierciadle odbija się zafałszowany obraz mojej sylwetki. Pod ścianą stoją automaty z przekąskami, naprzeciwko nich – urocze, kolorowe sofy. Futurystyczny charakter i pewien przepych kontrastuje z miejscem, w którym szkoła się znajduje. Oksywie to jedna z biedniejszych dzielnic Gdyni. Tylko dwa kroki stąd stoją budynki w zupełnie innym, brudnym odcieniu szarości.

Podchodzę do ściany, na której wisi elektroniczna tablica informacyjna. Na podłodze kładę siatkę z wystającą z niej bluzą Ady. W drodze powrotnej chcę zanieść ją do pralni, by pozbyć się tego stęchłego zapachu. Przesuwam palcem po wyświetlaczu. Znajdujący się po drugiej stronie korytarza szkolny sekretariat okazuje się przedsionkiem do gabinetu dyrektorki. Podnoszę siatkę i kieruję się w jego stronę. Kiedy wchodzę do środka, spojrzenie siedzącej przy biurku dziewczyny prześlizguje się po mnie obojętnie.

– Słucham? – pyta blondynka znudzonym głosem. Jej czerwone tipsy stukają rytmicznie w klawiaturę.

– Chciałam rozmawiać z panią dyrektorką Morawską.

– A jest pani umówiona? – Dziewczyna unosi czujnie brew.

Kiwam z przekonaniem głową.

– Chodzi o wykonanie graffiti w klasie plastycznej. –

Kłamstwo przychodzi mi z zaskakującą łatwością. –
Rozmawiałam o tym z panią dyrektorką już wcześniej.

Blondynka nie zadaje mi dodatkowych pytań. Chwyta za słuchawkę, przyciska ją do ucha i wybiera jednocyfrowy numer. Prędzej niż rozmowy z dyrektorką spodziewam się upokarzającego mnie zdemaskowania. I na to mam już gotową wymówkę. Ale drzwi gabinetu po chwili otwierają się i widzę w nich znajomą twarz. Coś zniekształciło zakodowany wcześniej w mojej głowie obraz dyrektorki – albo krytyczne słowa Marcina Szymczaka, albo kolejna operacja plastyczna. Od naszego ostatniego spotkania owal twarzy Igi Morawskiej podniósł się, a skóra wyraźnie napięła. Ale raczej nie wyszło jej to na dobre. W uszach kobiety dyndają złote kolczyki, na szyi ma złoty łańcuch i pierścionki na każdym z pięciu palców prawej dłoni. Jej śniada skóra jest lśniąca, a kasztanowe włosy ściągnięte w sztywny kucyk.

– Ach, to pani – odzywa się serdecznym, ale trochę protekcyjnym tonem. – Ale my przecież nie byliśmy dziś umówione...

Sekretarka odkleja wzrok od monitora i rzuca mi znad niego potępiające spojrzenie. Ignoruję ją.

– To zajmie tylko chwilę. Mogę? – Wskazuję ręką gabinet.

Nawet jeśli dyrektorka uznała mnie za tupeciarę, to nie daje tego po sobie poznać. Zaprasza mnie do środka.

Wnętrze nie robi na mnie dobrego wrażenia. W tym odartym z przytulności pomieszczeniu dominują biel i czerń. Iga ubrana w garsonkę w odcieniu pudrowego różu jest jedynym ożywczym elementem tego smętnego miejsca. Kilka ustawionych pod ścianą mebli wraz ze szkolnymi trofeami składa się na jego skąpy wystrój. Iga swobodnie opada na siedzenie obrotowego krzesła, a na jej ramieniu sztywno podryguje kucyk. Wskazuje na krzesło po przeciwnej stronie biurka. Siadam.

– Czyli jednak zmieniła pani zdanie? – pyta, patrząc na mnie. – Niestety temat jest już nieaktualny. Wykonanie graffiti zleciłam komuś innemu – dodaje i rozkłada bezradnie ręce.

– Nie w tym celu przyszłam.

Dyrektorka sztywnieje, a na jej twarzy malują się jednocześnie ciekawość i niepokój.

– Nie rozumiem.

– Jestem siostrą Ady, pani przyjaciółki.

Iga zawiesza na mnie spojrzenie i studiuje moją twarz, dokładnie i z zaciekawieniem, jakbym była muzealnym eksponatem. Albo jakby w ten sposób próbowała wślizgnąć się do szczeliny w czasie. Jej wzrok przebiega najpierw po moich oczach, potem ustach, aż wreszcie zatrzymuje się na bliźnie. I tam już pozostaje.

– Nela?! – W pierwszej chwili wydaje się nieco wytrącona z równowagi, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Zaraz wyciąga jednak w moją stronę ramiona, nie ruszając się z miejsca. – Jak sobie radziłaś przez te wszystkie lata?

Kurewsko – chcę jej odpowiedzieć. Ale milczę. Zamiast tego moja ręka instynktownie ląduje na twarzy, na tej wybijającej się spod skóry bliźnie.

– Powinam była poznać cię po niej już wcześniej, na tamtym konkursie. Tylko że teraz wygląda trochę inaczej – mówi, mrużąc oczy. Jej wzrok nadal wlepiony jest w moją zuchwę. – Faktycznie, ma ten sam kształt, ale stała się bardziej rozmyta i bledsza. Blizna. Bo o niej mówię.

– Wie pani, skąd się tam wzięła?

Z ust Igi wydobywa się głośne westchnienie.

– Podobno byłaś wtedy pod opieką matki. Tak twierdziła Ada – dodaje z przekąsem. – Wasza matka nie zorientowała się w porę, że zniknęłaś z domu i że wymknęłaś się wtedy sama do ogrodu. Ten ślad – wycelowuje palcem w bliznę – pozostawił po sobie zardzewiały kolec, podobno wspinałaś się na ogrodzenie i nadziałaś na niego.

Pod skórą czuję ciarki, które stopniowo powodują rozlewający się wewnątrz ciała ostry ból. Zupełnie jakbym czuła znowu ten wbijający się we mnie metalowy szpikulec.

– Wiem o śmierci waszego przyjaciela – mówię, by zdusić w sobie to wspomnienie. – Kilka innych rzeczy w tej starej policyjnej układance kompletnie do siebie nie pasuje. Chodzi o moją rodzinę i samobójstwo Kamila.

– I czego w związku z tym ode mnie oczekujesz? – pyta, spuszczać wzrok, ale jej twarz pozostaje obojętna. – To stare dzieje.

– Na jego szyi znaleziono ślady wskazujące, że przed śmiercią regularnie brał udział w grze w podduszanie. *Choking game* rzadko bywa zabawą w pojedynkę... – stawiam wielokropek po swoich słowach.

– Do czego zmierzasz?

– Przyjaźniliście się...

– I co z tego?

– Robiliście to razem? Podduszaliście się?

Na twarz Igi wpełza niemiły uśmiezek. Chwyta oburącz krawędź stołu i odpycha się od niego. Zakładam, że to samo najchętniej zrobiłaby ze mną i moim pytaniem. Nachyla się i wyławia spod stołu zwitek papieru. Potem wraca na miejsce i odkłada go na blat.

– Robiliśmy głupstwa, jak wszyscy nastolatki. To były niegroźne wysoki. – Macha ręką, by zbagatelizować ten temat. – Okres dojrzewania zawsze rządził się swoimi prawami. Tak było kiedyś, tak jest i teraz. – Wygląda przez okno i patrzy na boisko pełne radosnej wrzawy. – To normalne. Nie chcę wracać do tematu śmierci Kamila. To wciąż budzi we mnie trudne wspomnienia.

– Czyli nic pani nie wie o *choking game*?

– Naprawdę muszę jaśniej? – w głosie Igi wyczuwam zniecierpliwienie. Patrzy na mnie teraz chłodnym, taksującym wzrokiem.

– A Ada? Co ze wspomnieniami o niej? – rzucam impulsywnie, a po chwili dodaję łagodniej: – Czy ktoś jeszcze poza Erykiem, synem gosposi, mógł chcieć ją skrzywdzić?

– W pewnym momencie był obok niej ktoś, komu nie ufałam – wzdycha. – Dorosły facet, śliniący się na widok dorastających dziewczynek. Naprawdę nie rozumiem, co ją do niego ciągnęło.

Chyba wiem, o kim mowa. Po raz kolejny postać Benjamina wdziera się w historię życia mojej siostry.

– To był jej sąsiad – wyjaśnia Iga. – Widziałam, jak pod pretekstem wypożyczenia książki zwabił kiedyś Adę do swojego domu.

– Po co?

– W tym właśnie rzecz. Po co dorosły facet wdaje się w kumpelską relację z nastolatką? Wtedy o pedofilii nie było jeszcze zbyt głośno. I nawet jeśli on nie miał takich ciągót, w co wierzyła Ada, to moim zdaniem jego zachowanie było co najmniej niestosowne.

Iga unosi do ust stojącą na biurku filiżankę i pociąga łyk kawy.

– Co mówiła o nim Ada?

– Niewiele. – Iga wzrusza ramionami. – Byłyśmy przyjaciółkami, ale niektórymi rzeczami nie chciała się ze mną dzielić. Kiedy patrzę na to teraz, z innej perspektywy, myślę, że w tym człowieku szukała swojego ojca. Jej własny był jak duch. Albo jeszcze gorzej. Jeśli w ogóle bywał w życiu Ady, to tylko po to, by zostawić tam kolejny bajzel. Takie dzieci stają się potem łatwym celem manipulacji. – Iga rozkłada bezradnie ręce.

Niedawne słowa Marcina Szymczaka huczą w mojej głowie jak upiorne echo. Mówił o czymś, co zabiło w Adzie, żywiołowej i pyskatej dziewczynie, całą chęć życia. Apatia, wycofanie, może nawet depresja. Czy mógł doprowadzić do tego ktoś, kto ją fizycznie wykorzystał? Ta okrutna wizja wwierca się cieniutkimi igiełkami w mój mózg.

– Jaka była tuż przed śmiercią? Zmieniła się? – pytam.

– Nie wiem. – Iga znowu ciężko wzdycha. Kątem oka zerka na moją siatkę. – Nasze drogi rozeszły się na tydzień przed jej śmiercią... – mówi i przerywa, ale wyczuwam, że to jeszcze nie koniec.

– Dlaczego?

Nastaje krótka chwila ciszy.

– Twoja siostra nie zawsze grała fair. Nawet wobec przyjaciół. To jej? – pyta, wskazując wystającą z siatki bluzę z widocznym nadrukiem złamanego kwiatu.

Zanurzam palce w materiale i kiwam głową na potwierdzenie.

– Dziwne. – Iga posyła mi blady uśmiech. – Miała ją na sobie tamtej nocy, kiedy między nami wszystko się popsuło. Dałam jej ją kilka miesięcy wcześniej na urodziny. To była kolekcjonerska limitowana edycja koncertowego merchu[4] zespołu Hey. Ale wracając do tematu. Podejrzywałam od dawna, że jest coś na rzeczy między Adą a moim chłopakiem. Śledziłam ją tamtego wieczoru. Przyłapałam ją i Łukasza na szybkim numerku w lesie, w dawnym miejscu naszych spotkań.

Kodując jeden przywołany przez Ige szczegół, niemal pomijam całą resztę docierających do mnie informacji. Gosposia albo Iga. Któraś z nich kłamie. Nie dalej niż dwa dni temu matka Eryka twierdziła, że bluzę Ady przechowywała u siebie, jeszcze zanim mój ojciec zwolnił ją z pracy. A to było nie tydzień, ale kilka tygodni przed zamordowaniem mojej rodziny. Która z nich kłamie? I dlaczego?

– A Łukasz? – podchwytyję, by opowieść Igi nie utknęła w martwym punkcie.

– Natychmiast skończyłam ten związek – odpowiada, cmokając z niesmakiem. Patrzy na mnie z nieprzyjemnym błyskiem w oku. Jest w nim arogancja, duma i poczucie wyższości. – Nie chodziło wyłącznie o seks na złomowisku. On był zaledwie iskrą, która odpaliła lont gotowy już od

jakiegoś czasu. Chciałam zaliczać szczyty, a nie doły. Przy nim skazana byłabym wyłącznie na to drugie.

– Chodzi o jego ojca, o sytuację, jaką miał w domu?

– Jego ojciec był zwyczajnym bydlakiem. Czerpał zadowolenie z trzech rzeczy: z telewizji kablowej, hektolitrów wlewanego w siebie alkoholu i ze znęcania się nad swoją rodziną. Zwłaszcza z tego ostatniego. Łukasz nie chciał być taki jak on, ale to było raczej nieuniknione. Kiedy jeszcze ze sobą chodziliśmy... – urywa. Waha się, czy powinna dodać coś jeszcze. Ale wyczuwam, że to tylko zagrywka. Po chwili Iga podejmuje wątek z jeszcze większym entuzjazmem. – Na jego plecach regularnie widziałam dwie głębokie rany krzyżujące się pod żebrami, w okolicach nerek. Stale niezagojone. To była sprawka ojca. Tylko że rany pozostały niezmienione nawet wtedy, kiedy ojciec Łukasza od dawna leżał już w piachu.

Nic z tego nie rozumiem. Iga widzi, że jestem zdezorientowana.

– Tak właśnie działa współzależnienie i chora potrzeba wypełnienia obowiązku. Dodaj do tego upodobanie do grubych, skórzanych pasów. Takich samych, jakie ojciec Łukasza wieszał ku przestrodze na środku pokoju. Słyszałaś kiedyś o mechanizmie modelowania zachowań? To właśnie spotkało Łukasza.

Z tej łamigłówki, którą serwuje mi Iga, usiłuję wydobyć jakiś sens.

– Łukasz kaleczył się, bo tak wcześniej robił jego ojciec? O to chodzi?

Iga kiwa głową.

– I nawet specjalnie się z tym nie krył. Widziałam go jakiś czas temu w rodzinnym tartaku, w Mostach. Pracuje tam pewnie do teraz. Kolejne cholerne przyzwyczajenie, z którego też nie potrafił się wyrwać. To był upalny dzień. Łukasz nie miał na sobie koszulki. Na jego ciele, dokładnie w tym samym miejscu, pod żebrami na plecach, zauważyłam dwie

przecinające się czerwone rany. Rany, a nie blizny – powtarza z dziwnym namaszczeniem.

Zastanawiam się, z czego wynika chęć przedstawienia Łukasza w takim świetle. Czy chodzi o jej własną, przewrotną satysfakcję? O to, że jej się powiodło, a jemu nie? Czy po tylu latach w Idze nadal tkwi chęć zemsty na byłym chłopaku? Czy jest taka skora do zwierzeń, bo myśli, że jestem równie podatna na jej perswazję, jak inni ludzie? Otwieram usta, ale zanim zdążę spytać o coś jeszcze, na biurku wibruje telefon.

– Przepraszam. – Iga przyciska palec do ust i odbiera połączenie. Wyrzuca w słuchawkę kurtuazyjne: „Tak!”, „Oczywiście!” i „Z wielką przyjemnością!”. Kiedy kończy, wstaje od biurka.

– Obowiązki wzywają – rzuca nagłoco i uchyla drzwi. Wzrokiem odprowadza mnie na korytarz.

Podnoszę się z krzesła, przechodzę przez gabinet i zatrzymuję się przy Idze.

– A czy do niegroźnych wyskoków zaliczyłaby pani także narkotyki?

Iga na powrót zamyka drzwi.

– Nie rozumiem.

– Tuż za płotem graniczącym z terenem szkoły natknęłam się na strzykawkę i mnóstwo innych niepokojących śladów. Na moje oko to ulubione miejsce spotkań dzieciaków z pani szkoły, na przerwach albo po zajęciach.

Iga posyła mi szyderczy uśmiezek.

– Brednie. To miejsce spotkań mieszkańców okolicznych blokowisk, a nie moich uczniów. – Iga wbija we mnie nienawistne spojrzenie. Odnoszę wrażenie, że, jak dotychczas, jedyne prawdziwe. – Nie próbuj szukać brudów tam, gdzie ich nie ma. To bywa bardzo szkodliwe.

Nie patrząc, otwiera drzwi, wymija mnie i szybko znika. Słysząc tylko stukot szpilek na wypolerowanej posadzce. Na co jeszcze obecna dyrektorka przymykała kiedyś oko? Jaką

nastolatką była przy boku mojej siostry? I jeszcze jedno – czy
Ada naprawdę mogła odbić faceta swojej przyjaciółce?

ADA

18 grudnia 1998 r.

Pedałuję, ile sił w nogach, a po plecach przebiega mi chłód zimowej nocy. Prędeż, mocniej, szybciej. Powtarzam to sobie, tłukąc się po wybojach leśnej ścieżki oświetlonej przez lampkę rowerową. W ten sposób chcę udowodnić sobie, że nadal panuję nad wszystkim. Zwłaszcza nad swoim nieposłusznym ostatnio ciałem i stanami tego cholernego odrętwienia.

Ostatni taki lot dopadł mnie kilka dni temu akurat wtedy, kiedy przyszedł do mnie Marcin, brat Kamila. Pamiętam wyraz jego twarzy – pełen bólu i nadziei, że Kamil jednak się nie zabił. Chciał usłyszeć ode mnie wygodną prawdę, która pomogłaby mu odzyskać spokój.

Ale nic takiego się nie stało. Nie dlatego, że nie potrafiłabym skłamać. Siedziałam wtedy na łóżku zawieszona jak w próżni, nie mogłam choćby unieść ręki, a tym bardziej wydobyć z siebie żadnego pocieszającego słowa. Nie mogłam nawet otworzyć ust. Moje mięśnie były spięte, zastygłe i obce. Czułam się tak, jakby ktoś zamknął mnie w dźwiękoszczelnej ciasnej kapsule. Jakby pozostawił mi do dyspozycji tylko sprawny mózg, któremu ciało odmówiło współpracy. To nie był pierwszy raz. Od wypadku na obwodnicy podobne ataki dopadały mnie już kilkakrotnie. Jeszcze gorsze i dłuższe stały się po śmierci Kamila. Znam ich przyczynę, ale nie wiem, jak sama mam sobie z tym poradzić.

Wiadomo, że nie mogę liczyć na starych. Zajęci sobą, mają mnie w dupie. Jak zwykle. Mój stan jest im chyba nawet na rękę. Założyli pewnie, że cokolwiek mnie ujarzmiło, przyniosło zamierzony efekt. Już tak często nie znikam z domu, nie włączę się po nocach, nie sprawiam problemów,

bo siedząc sama w swoim pokoju, zamieniam się powoli w zombie. Tak w ich przekonaniu wygląda córka idealna. Nie wiedzą, że tak naprawdę od środka zżera mnie poczucie winy i odpowiedzialności za śmierć dwóch osób.

Jadę jeszcze chwilę po bezdrożach, aż trafiam na słabo oświetlony ogrodzony teren. Wygląda jak zawsze. Ogromny plac zawałony żelastwem i stercząca pośrodku latarnia, która wylania się znikąd. To jedno z wielu miejsc, w których jeszcze do niedawna spotykaliśmy się całą paczką. Opustoszały teren do grillowania zamieniony w złomowisko zapewniał nam odosobnienie i poczucie wolności, kiedy wchodziliśmy na kolejny poziom gry w wyzwania. Dziś jestem tu tylko ja i wsparta o barierkę czekająca na mnie postać. Przypuszczam, że to Łukasz. Z jakiegoś powodu nalegał na spotkanie akurat tutaj, twierdząc, że z tym, co ma mi do powiedzenia, nie może dłużej czekać. Wahałam się, czy się zgodzić, bo zaczęłam unikać i jego, i Igi od czasu, gdy zaczęło im kompletnie odwalać, ale również dlatego, że straciłam do nich zaufanie.

Wszystko zaczęło się od śmierci tamtego człowieka, która wydobyla z nich najgorsze instynkty.

Schodzę z roweru, opieram go o ogrodzenie i ostrożnie podchodzę bliżej. W pierwszej chwili trudno mi ocenić, czy ten ktoś to Łukasz, bo jego pograżona w cieniu twarz wygląda jak owalna ciemność. By odegnać przenikliwie zimno i strach, oplatam się ciaśniej bluzą, moją ulubioną czarną kangurką z naszywką złamanej lilii.

– Łukasz?

Na dźwięk mojego głosu chłopak podnosi głowę i odwraca twarz w moją stronę. Mrużę powieki, by móc lepiej mu się przyjrzeć. Z rysujących się wyraźniej konturów wylania się znajoma dżinsowa kurtka i skórzane nabite ćwiekami spodnie. To faktycznie on. Zaciąga się jointem i odkasłuje.

– Do rzeczy. Co kombinujesz i po co byłeś u Szymczaka? – odzywa się ochrypłym głosem, nie ruszając się z miejsca. Idę w jego stronę. – Ustaliliśmy wersję zdarzeń, której mamy się

trzymać – mówi miękko i śpiewnie, ale jego głos wydaje się nienaturalnie pobudzony.

– To wy ustaliliście – odpowiadam, zachowując spokój. – Ty i Iga. Nie ja. Jeśli ściągnąłeś mnie tu po to, żeby mi o tym przypomnieć, to daruj sobie. Marnujesz tylko czas.

– Tak myślałem – wzdycha z udawanym rozczarowaniem. Odrywa się od barierki i chwiejnie podchodzi do mnie. Roztacza wokół siebie smród zioła i taniego alkoholu, którym zionie mi w twarz. – Dlatego zabraliśmy ci coś, co będzie bezpieczniejsze w naszych rękach – oznajmia. – Na wszelki wypadek.

– O czym ty mówisz? – pytam i robię krok do tyłu.

– O sekreciku, który zarejestrowałaś na kasecie.

Gardło ściska mi nagły skurcz. Ukryty pod klepkami podłogi dyktafon to mój tajemny spowiednik, o którym nie wie absolutnie nikt. Nikt poza Nelą. Przyłapała mnie kiedyś na odkładaniu kolejnej zapełnionej moimi zwierzeniami kasety do kartonowego pudełka ukrytego w podłodze. Ale mała nie potrafiłaby sama unieść deski i niczego stamtąd wydobyć. Czy to o dyktafonie Łukasz mówi?

– Skąd o niej wiesz?

Twarcz Łukasza opromienia szeroki uśmiech. Nie odpowiada. Nie musi. Nie było go w moim domu przez ostatnie dwa tygodnie, a dyktafonu używałam później jeszcze wielokrotnie, po raz ostatni przedwczoraj. Tamtego dnia widziałam się też z Igą. Być może w roztargnieniu albo pod wpływem jednego z moich lotów zostawiłam go na łóżku razem z kasetą. Łączę fakty, jeden po drugim, a docierająca do mnie prawda o kolejnej zdradzie, najpewniej w wykonaniu mojej przyjaciółki, sprawia, że czuję, jak grunt usuwa mi się pod nogami. Zaciskam pięści.

– To robota Igi, tak?

Odpowiada mi tylko milczenie.

– Jeśli faktycznie ją zabrała, to niczego nie zmienia – odzywam się po chwili. – Z kasetą czy bez kasety zeznam glinom to samo – mówię twardo.

– I myślisz, że jak zareagują? – Łukasz upuszcza wypalonego skręta i wciska go w ziemię czubkiem buta. – Szczególnie, jeśli z nagrania wytniemy same smaczki, a resztę, tę, w której pojawiają się my, usuniemy? Będziesz sama przeciwko sobie. Jeśli skończy się tylko na poprawczaku i kuratorze, w co wątpię, bo będziesz osądzona jak dorosła i pójdziesz do pierdła, to i tak stracisz małą. Będzie tak, jak modliłaś się zawsze, żeby nie było. Zgnije u boku twoich starych, czyli skończy tak samo jak ty. Albo gorzej, bo poza nimi nie będzie miała obok siebie nikogo. Zaryzykujesz?

Pod powiekami czuję piekące łzy. Nie chodzi już nawet o tę okrutną zdradę. Łukasz uderzył w mój najczulszy punkt. Strach przed rozdzieleniem z siostrą to jedyne, co nadal powstrzymuje mnie przed pójściem na policję. Wyobrażam ją sobie, przestraszoną czterolatkę, moczającą się w nocy, zasypiającą z kciukiem w ustach, a za dnia chowającą się przed rodzicami w szafie albo pod łóżkiem. Robiła to za każdym razem z tęsknoty i strachu, kiedy znikaliśmy na dzień lub dwa, gdy ciśnienie panujące w domu stawało się nie do wytrzymania. Gdy musiałam ochłonąć. Znikając, wybierałam po prostu mniejsze zło. Inaczej zamieniłabym się w kogoś, kogo Nela nigdy nie powinna znać.

Kiedy na powrót otwieram oczy, szklisty wzrok Łukasza staje się jeszcze bardziej rozedrgany, a w ciele rośnie niebezpieczne napięcie – dowód tego, jak bardzo jest nawalony. W takim stanie widziałam go już kilkakrotnie. Wiem, że niewiele różni się wtedy od swojego ojca. Potwora, którym tak bardzo gardzi. Ze wzbierającym we mnie obrzydzeniem rzucam mu krótkie niechętnie spojrzenie i odwracam wzrok. Muszę się stąd wydostać.

– No co? – bełkocze, oblizując spierzchnięte wargi. Za ucho zakłada długi kosmyk czarnych włosów. – Co się tak na mnie gapisz?

– Spierdalaj! – mówię i usiłuję go wyminąć. – I nie! Nie wypełnię żadnego punktu z waszego chorego scenariusza. Możesz to przekazać Idze. I jeszcze to, że dla mnie ona też już umarła.

Łukasz zagradza mi drogę. Szybkim i stanowczym ruchem chwyta mnie za ramię.

– Tak jak Kamil? Nauczyłaś się ostatnio gładko spławiać kumpli, co?

– A wy nauczyliście się, jak zadawać im kolejne ciosy w plecy – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Usiłuję mu się wyszarpnąć, ale bezskutecznie.

– Dokąd się wybierasz? Jeszcze z tobą nie skończyłem – mówi to tonem, który przybierał zawsze wtedy, kiedy przedrzeźniał swojego starego. Tylko że teraz to się dzieje na serio. Dochodzą w nim do głosu najniższe instynkty. – Nie bądź taką pierdoloną Joanną d’Arc. Świętą Dziewicą – warczy i rzuca mi spojrzenie, w którym błyska coś lubieżnego. Na myśl o tym, co może chodzić mu po głowie, czuję skręt żołądka.

– Jesteś zalany w trupa! – Po raz kolejny odpycham jego rękę, ale trzyma mnie coraz mocniej. – Odpierdol się wreszcie ode mnie!

– Oddaliłaś się od nas ostatnio. Trochę chujowo, nie? Biorąc pod uwagę to, że sama nas w to gównno wpakowałaś. Szybko znalazłaś sobie nowe towarzystwo. Ta ciota Eryk chyba lubi takie nieprzeruchane cipki jak twoja? Czy może tylko wyplakujesz się na jego ramieniu? – Ręka Łukasza ląduje na moim kroczu.

Biorę zamach i z całej siły uderzam go w twarz, ale to wcale nie działa na Łukasza trzeźwiąco. Kiedy unosi rękę, by oddać cios, udaje mi się wyrwać. Robię dwa kroki do tyłu, lawirując między bebeczami starego telewizora a porozbijanymi butelkami w poszukiwaniu szczeliny w krzakach, przez którą mogłabym uciec. Ale wystarczy jedno mocne pchnięcie, by zwalić mnie z nóg. Ląduję na plecach,

w mdłym świetle latarni, w niewielkim zagajniku, przyparta do ziemi, coraz bardziej bezsilna. Trzeźwy przebłysk w jego oczach daje mi nadzieję. Ale to trwa zaledwie ułamek sekundy. Po chwili w jego spojrzeniu znów odbija się ktoś inny, opętany przez własnego ojca i narastającą latami patolę, w której dorastał. To już dawno nie jest mój przyjaciel, teraz to tylko obca siła uwięziona w jego ciele, która chce mnie skrzywdzić.

Przyciska do mojego brzucha swoją lepką łapę i wciska mi ją pod bluzę, przesuwa w dół, a wreszcie wpycha do majtek. Dociera między uda i tam ją zaciska. Uderzam na oślep otwartą dłonią, kolejny raz wierzgami nogami, czuję się jak szamocząca w sieci ryba. Mam świadomość, że cały mój wysiłek pójdzie na marne. Że instynkt przetrwania jest głównie wart, jeśli szanse nie są równe. A nie są, bo ciężkie ciało Łukasza przesuwa się po mnie, całkowicie unieruchamiając mi nogi, klatkę piersiową i dłonie. Prawą ręką ściąga moje nadgarstki, a lewą unosi swoją koszulę i grzebie przy rozporku. Widzę, że stwardniał. Leżąc pod nim, czuję się na wpół martwa.

– Nie jesteś jak on! Nie jesteś swoim ojcem! – krzyczę, a w uszach słyszę uderzenia serca.

Bo leżąc na ziemi, mam już do obrony tylko słowa. Ale brzmią jakoś pusto i idiotycznie w starciu z silnym, prawie dwukrotnie cięższym ode mnie chłopakiem. Szczególnie wtedy, kiedy posuwa się jeszcze o krok dalej i ściąga spodnie. Cuchnący jointem i alkoholem strumień powietrza owiewa moją twarz, coraz silniej napływa do mojego nosa, do płuc, do krwi. To budzi we mnie jeszcze większą nienawiść i odrazę. W tej chwili potrafiłabym go zabić. Wyobrażam to sobie, wyobrażam sobie, że role się odwracają, a ja zamieniam się w jego kata. Chęć staje się tym silniejsza, im mocniej jego ręka szarpie za pasek moich spodni, im bardziej jego paznokcie kaleczą moje uda. Zaciskając zęby, zbieram siły na ostatni zryw, napędzany wzbierającą we mnie furią. Próbuje wyszarpnąć spod niego nogi i kopnąć go w krocze.

I właśnie wtedy dzieje się coś, co daje mi tę szansę. Skupiony na powstrzymaniu moich nóg Łukasz puszcza nadgarstki. Uwolnione ręce od razu rozpoczynają taniec wzdłuż ciała. Wyczuwam pod palcami wilgotną ziemię, z zagrzebanymi w niej gdzieś śmieciami. Nie widzę ich, ale nieregularne kształty podpowiadają, że natrafiłam na szkło z rozbitej butelki. Moje koło ratunkowe. W kilka sekund wydrapuję paznokciem największe z nich i obracam je w palcach, szukając najostrzejszej krawędzi. Nie mam chwili na zastanowienie, na jakiegokolwiek planowanie. Wyciągam przed siebie pięść z zaciśniętą w niej zdobyczą i pcham ją przed siebie, w jedyne odsłonięte na ciele Łukasza miejsce. Zajęty kolejną próbą zderzenia ze mną spodni, nadal niczego nie zauważa. Trafiam. Szkło sunie gładko po jego skórze, która otwiera się, zmieniając się pod pępkiem w ciekłą krwawą linię. Cięcie było dość płytkie, ale najwyraźniej tyle wystarczyło, by ode mnie odskoczył, by oprzytomniał i upadł.

– Ty dziwko! – cedzi przez zęby, przyciskając palec do brzucha.

To jest dla mnie sygnał do startu. Nie wiem, w jaki sposób pokonuję dzielącą mnie od roweru odległość. Po prostu wsiadam na rower i ruszam, nadal trzymam w ręku rozbite szkło. Kątem oka zauważam jakąś sylwetkę czającą się za drzewem. Zwierzę czy człowiek? Jest zbyt ciemno, bym mogła dokładnie zobaczyć. Teraz to i tak nie ma znaczenia. Przyspieszam. Zwalniam dopiero wtedy, kiedy gniewne okrzyki cichną.

Zalana łzami zsiadam z roweru kilkaset metrów dalej, przy jakimś nieznanym wyjeździe z lasu, i opieram swojego górala o drzewo. Okrążam je kilkakrotnie, by ochłonać. Ale z każdym kolejnym krokiem coraz wyraźniej czuję między udami brudną łapę Łukasza, a na sobie smród i dotyk jego ciała. Chcę się ich pozbyć, tak samo jak bardzo chcę się pozbyć każdego wdzierającego się pod moje powieki obrazu sprzed kilku chwil. Z włosów strzepuję wilgotną ściółkę, a ze spodni strącam błoto. Ale to i tak na nic. One wciąż tam są. Dopiero wtedy zauważam, że w dodatku brudzę jeansy czymś

innym – z zaciśniętej pięści cieknie mi krew, zostawiając na materiale ciemne smugi.

Podchodzę do drzewa i opieram się o nie, by choć tam znaleźć chwilowe bezpieczeństwo. Ale to bez sensu. Zamiast niego jeszcze silniej odczuwam kolejną wyrwę w sercu, którą swoją zdradą zostawili po sobie moi przyjaciele. Jaki poziom zezwierzęcenia osiągnęłam w ostatnich tygodniach? A oni? Choć może ponosimy jednakową odpowiedzialność? Ja, bo zaciągnęłam ich tamtej nocy na samo dno. Oni, bo poczuli się tam zbyt swobodnie. Sama już nie wiem.

Bardziej niż człowiekiem czuję się teraz zaszczutym zwierzęciem. Ranną sarną, która ledwie i tylko na chwilę wyslizgnęła się z sideł kłusownika. Wkrótce i tak przyjdzie jej czas, wkrótce i tak trzeba będzie ją dobić.

LENA

27 lipca 2019 r.

Przed południem odebrałam swój wóz z warsztatu i od razu wyruszyłam w kierunku Mostów, wioski oddalonej o kilkanaście kilometrów od centrum Gdyni. Po rozbitym reflektorze i wgniecionym zderzaku nie ma już śladu. Gorzej ze mną. Po raz pierwszy od dnia wypadku siedzę za kierownicą. Czuję, że strach ściska mnie za gardło. Czy ten atak się nie powtórzy? Czy wykażę się refleksem i zapanuję nad kierownicą? Pokonanie całej trasy zajmuje mi nieco ponad kwadrans. Przejeżdżam nad kanałem portowym, mijam Kosakowo, a potem przez kilka kolejnych minut wlokę się po muldach i dziurach, aż zza przerzedzających się sosen wyrasta teren ogrodzony metalowym płotem.

Na wszelki wypadek raz po raz spoglądam w tylne lusterko, upewniając się, czy nie ma za mną tej przeklętej terenówki. Ale poza szarą kurzawą pyłu nikogo ani niczego tam nie widzę.

W powietrzu unosi się przyjemny zapach żywicy, przywołujący nieliczne dobre wspomnienia z mojego dzieciństwa – wspomnienie leśnych spacerów nad Wartą i zabawy w podchody.

Swoją drogą, to dziwne, jak dźwięk lub zapach, ten drugi chyba nawet częściej, potrafi odblokować zamkniętą klapkę w mózgu i wybudzić dawno uspiony obraz. Tym razem tylko na chwilę. Metaliczny zgrzyt pracujących maszyn spycha i to wspomnienie w niepamięć.

Wchodzę na teren tartaku, jedyne we wspomnianych przez Igę Mostach. Pośród sterty kłód i hałd trocin pracuje trzech mężczyzn. Jeden z nich obsługuje urządzenie przypominające olbrzymią prasę drukarską wyposażoną

w podłużne ostrze, a drugi pomaga mu naprowadzić ją na właściwe miejsce i przyciąć kłodę. Trzeci siedzi za kierownicą wózka widłowego załadowanego kilkunastoma balami. Dwaj pracujący przy maszynie mężczyźni, niemal identyczni, są po pięćdziesiątce. Z przeredzonymi posiwiałymi czuprynymi i wyraźnie zarysowanymi piwnymi brzuchami nijak nie kleją mi się z obrazem trzydziestolatka. Kieruję kroki w stronę krążącego po placu wózka widłowego. Prowadzący go mężczyzna nosi ogrodniczki, czarny T-shirt i czerwone przeciwhałasowe nauszniaki. Macham w jego stronę kilkakrotnie, ale zauważa mnie dopiero po dłuższej chwili, kiedy wychodzę mu na drogę. Zatrzymuje pojazd, wyskakuje z niego i obdarza mnie usłużnym uśmiechem.

– Omal pani nie rozjechałem. W czym mogę pomóc? – pyta, ale przez hałas pracujących w tartaku maszyn ledwie go słyszę.

Jego ogorzała skóra, umięśnione ciało i czarne jak smoła włosy zaczesane w kucyk mogą pewnie działać na niejedną kobietę jak magnes. To typ przystojnego buchającego testosteronem macho. Jest w nim jednak coś, co przywodzi mi na myśl zmęczonego człowieka. Może to ten zgaszony blask w oczach albo spracowane ręce i pokrywające je blizny, ciemnoróżowe smugi zadrapań i ranek. Zastanawiam się, jak zacząć. I czy powinnam powołać się na Igę.

– Jest pan właścicielem tartaku?

– To zależy, kto pyta – mężczyzna szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu.

– Rozmawiałam z Igą Morawską. Wspominała, że tutaj pana znajdę.

Na dźwięk imienia i nazwiska kobiety mężczyzna porusza się niespokojnie. Jego twarz nagle tężeje, a zaraz potem przebiega przez nią przebłysk bólu i gniewu. Kąciki ust wyginają się w dół.

– Iga? No, no... A czego szacowna pani dyrektor jeszcze ode mnie chce? Chodzi o jej pogoń za kolejnym zerem na

koncie? – warczy, ściągnając z rąk rękawice ochronne. Wciska je w kieszenie ogrodniczek. Z niewielkiej kieszonki na piersiach wyciąga papierosa, zapala i zaciąga się dymem.

– Nie wiem – odpowiadam. – Przyszłam, żeby porozmawiać o zabójstwie Ady, mojej siostry.

Po raz kolejny Łukasz nieruchomieje. Dopiero po chwili rzuca mi ukradkowe, ale czujne spojrzenie. Wydaje mi się, że szuka we mnie podobieństwa do Ady, a może nawet migawki ich wspólnych wspomnień. Nie wiem, czy je odnalazł. Jego twarz nie wyraża absolutnie niczego.

– Wszystko na ten temat zostało już chyba powiedziane w mediach i na sali sądowej – oznajmia, przenosząc wzrok na stanowisko trakowe i kolejną przycinaną tam kłodę.

Odwraca się ode mnie, wsiada za kierownicę wózka widłowego, wsuwa w usta papierosa i uruchamia maszynę. Nie chcę pozwolić mu tak po prostu odjechać, ręką opieram się o jego pojazd, stopę stawiam na ramie.

– Czyżby? Wiele osób z waszego dawnego otoczenia – kładę nacisk na dwa ostatnie słowa – jest innego zdania.

Łukasz unosi czujnie brew.

– Może pan to wyłączyć? – Wskazuję na przekreślony w stacyjce kluczyk.

Po chwili wahania Łukasz wyciąga papierosa z ust, kładzie go na desce rozdzielczej i wydmuchuje dym w moją stronę. Pojazd wciąż terkocze.

– Chce pani usłyszeć mój komentarz, to proszę. Za tymi zabójstwami stał nikt inny, tylko Eryk.

– Bo? – pytam.

Patrzę, jak wypalona końcówka papierosa zamienia się w popiół, który kruszy się i spada na tapicerkę. To chyba nie pierwszy raz, kiedy Łukaszowi jest wszystko jedno. Brudne ścierki, zgniecione puszki, plik zalanych kawą papierów, kilkanaście niedopałków. Wnętrze wózka widłowego wygląda jak chlew.

– Bo wiele na to wskazywało – mówi dalej. – To był taki cichy chłopaczek z niepokojącym talentem do zamykania się w sobie. Wie pani, jak to często z takimi smarkaczami bywa. Kompleksy – do jego twarzy znów przykleja się uśmiech. – W towarzystwie rówieśników jego kutas zawsze trochę się kurczył. – Odgina się na fotelu i rechocze. – To był tchórz. A taki nie potrafi zachować się jak mężczyzna. – Mruga porozumiewawczo.

– Nie nadążam chyba. Czyli jaka jest definicja męskości, pana zdaniem?

Łukasz patrzy na mnie zdumionym wzrokiem, jakbym urwała się z choinki.

– Facet, który ma jaja, odpowiada na zaczepki. No i broni swojego terenu, nie tłumi w sobie gniewu, bo to w końcu doprowadza do wybuchu. A tak się wtedy stało, tym bardziej że to nie był przypadkowy włam. Wiedziała pani, że Ada i Eryk kumplowali się od dłuższego czasu?

Nie. Nie wiedziałam. Ale nie damę mu tego po sobie poznać.

– Dlaczego ich znajomość miałyby wpłynąć na to, co się stało? – pytam z pokerową miną.

– Po pierwsze, forsa. Stary Ady wisiał podobno jego matce trochę hajsu. Po drugie, nie wiem. – Łukasz rozkłada bezradnie ręce. – Może Ada go olała? Może się ścięli? Ona była jedną z niewielu osób, które z nim w ogóle gadały. Może chciał mieć ją na własność, a to jej się nie spodobało? Tych i innych pretekstów dla kogoś, kto nie miał równo pod sufitem, jest cała masa. Chłopacy w każdym razie mieli go za dziwadło. Był zniewieściały, tak to się teraz ładnie mówi, nie? – Z ogrodniczek Łukasz wysuwa koszulkę, chwytając ją w dłonie, unosi i dolną krawędzią pociera spocone plecy. Zastanawiam się, czy to, co powiedziała mi Iga, jest prawdą. Czy pod jego T-shirtem kryją się ślady wieloletniego samookaleczania.

– Z tego, co wiem, Eryk nie miał zaburzeń psychicznych. A kłótnia to słaby powód, by okraść i w brutalny sposób zabić

troje ludzi.

Łukasz wzrusza ramionami i kładzie ręce na kierownicy.

– Nie jestem ani psychologiem, ani profilerem. Ich niech pani pyta.

– Czy Eryk należał do waszej paczki?

Po raz kolejny odpowiada mi jego śmiech, tym razem jeszcze bardziej zjadliwy.

– Nie – odzywa się. – Dla takich jak on nie było tam miejsca.

– W pewnym momencie miejsca nie było go chyba już dla nikogo – podsumowuję zebrane przeze mnie dotychczas informacje. – Kamil umarł, a wasza i tak mocno okrojona paczka zupełnie się rozpadła, dokładnie na tydzień przed śmiercią Ady.

Przez jego twarz przebiega ledwie dostrzegalny cień. Zauważam, że musi się bardzo starać, żeby nad sobą zapanować.

– O co pani chodzi? – W odzywce Łukasza nie ma już dotychczasowej nonszalancji ani luzu. Wyczuwam w nim zniecierpliwienie.

Żeby złapać rybę, trzeba zanęcić. Wiem, kto podziła na niego jak wabik.

– Iga powiedziała mi o tej grudniowej nocy na złomowisku. O tym, co tam pan z Adą robił...

Żuchwa Łukasza drga, a ręce zaciskają się na kierownicy.

– Ta kłamliwa suka niech lepiej spierdala – cedzi przez zaciśnięte zęby. Odchrząkuje, a potem spluwa siarczyście przez otwarte okno. Podnosi w górę wskazujący palec, jakby chciał mnie nim uciszyć. – Założę się, że nie pochwaliła się, co sama zrobiła swojej najlepszej przyjaciółce! – W jego głosie pobrzmiwa gniew, furia w czystej postaci. – Że nie powiedziała o kasecie z dyktafonu Ady, którą jej ukradła?

Niech lepiej na ten temat się wypowie zamiast pieprzyć o czymś, czego nawet dobrze nie widziała.

Ledwie udaje mi się odskoczyć na bok, kiedy ze wściekłym grymasem twarzy Łukasz dociska pedał gazu i rusza z miejsca.

Wracam do samochodu, kalkulując w myślach możliwe działania. Zastanawiają mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, co takiego znajduje się na kasecie i dlaczego Iga zabrała ją Adzie. Czy to tylko nastoletni wygłup? Przekomarzanie przyjaciółek? Wątpię. W obliczu tego, co w ciągu kilku miesięcy spotykało po kolei moją siostrę i te zaprzyjaźnione z nią dzieciaki, nagranie musi mieć jakieś kluczowe znaczenie dla biegu zdarzeń. Po drugie, dlaczego na wspomnienie tamtej nocy na parkingu Łukasz zareagował tak gwałtownie? Zdążyłam się od razu zorientować, że nie należy do przyjemniaczków, ale temat zdrady dziewczyny u kogoś jego pokroju nie powinien wywołać takiego wzburzenia. Być może po prostu za mało wiem o ludzkiej psychice. Wciąż jeszcze brakuje mi wielu elementów, które połączyłyby te rozsypane puzzle w jakąś sensowną całość.

Odpalam przeglądarkę w smartfonie i wyszukuję w niej numer telefonu do szkolnego sekretariatu społecznej podstawówki na Oksywiu. Po kilku sygnałach w słuchawce rozlega się beznamienny głos. Poznaje go. Kiedy się przedstawiam i proszę sekretarkę o połączenie z gabinetem dyrektorki, ta odpowiada mi, że mam zadzwonić później, a najlepiej po weekendzie, bo pani Morawska jest teraz zajęta. Wchodzę jej w słowo, mówiąc, że to pilne. Dodaję konspiracyjnie, że pani dyrektor będzie wiedziała, o kogo chodzi. Na koniec wymuszam na niej, by zanotowała imię i nazwisko oraz mój numer telefonu. Zamiast swoich prawdziwych danych podaję imię i nazwisko mojej siostry. Czekam chwilę, naiwnie licząc, że Iga oddzwoni, ale telefon milczy.

Ciszę oczekiwania przerywa sygnał nadchodzącego esemesa.

Julka: *Hej! Mam coś, co chyba cię ucieszy. Top secret. Chcesz czy nie?*

W puste okienko natychmiast wstukuję wiadomość.

Pytanie! Co masz?

Julka: *Nie ciesz się za bardzo. To nie akta sprawy twojej rodziny.*

Pisz. I tak umieram z ciekawości.

Julka: *Witek wyciągnął listę ludzi, którzy wnieśli pozew przeciwko twojemu ojcu. To jak? Może być?*

*Dawaj! Dziękuję :**

Julka: *OK. Puszczam ci mailem.*

Nie wiem, czy powinnam się cieszyć, czy wręcz przeciwnie. Każdy, kto znajduje się na tej liście, jest potencjalnym podejrzanym, bo mógł mieć motyw, by chcieć odegrać się na moim ojcu. Reszta mojej rodziny mogła być jedynie wkalkulowanym w zemstę ryzykiem. Oznacza to, że przedzieranie się przez nowe nazwiska jest jak szukanie igły w stogu siana. Kolejne znaki zapytania, kolejne skomplikowane historie i zagadki, których nie będę w stanie sama rozwikłać. Mimo wszystko loguję się na pocztę i sprawdzam swoje wiadomości. W końcu nadchodzi ta od Julki. W załączonym do niej pliku Excela znajduję dwadzieścia pięć nazwisk. Tyle osób, o ile nie więcej, najprawdopodobniej padło ofiarą oszustw mojego ojca. Choć raz chciałabym natknąć się na jakikolwiek dowód, że był on, bodaj w niewielkim stopniu, uczciwym człowiekiem. Na więcej nawet nie liczę. Dane przedstawione w kolumnach nie są szczegółowe. To tylko imię, nazwisko i miejscowość, w której powód prawdopodobnie zamieszkiwał lub był zameldowany. Zlepek ludzkich historii, jak sądzę, klientów szanowanego niegdyś pana detektywa, byłego gliny, który w pewnym momencie upadł bardzo nisko.

Walczak Sławomir.

To nazwisko wyróżnia się na tle pozostałych, które brzmią obco. Mija chwila, nim uzmysławiam sobie, gdzie i kiedy je słyszałam. Czy nie tak nazywał się chłopak, który znęcał się nad Kamilem, za co później oberwał od Ady? Moje myśli rozprasza sygnał telefonu. Na wyświetlaczu pojawia się zastrzeżony numer. Przekonana, że to kolejny nachalny sprzedawca jakichś bubli, odbieram tylko po to, by jak najszybciej go spławić. Ze słuchawki dobiega jednak znajomy głos.

– Co to, do cholery, za kolejna zagrywka?

Głos należy do Igi. Krótki, przyspieszony oddech wskazuje na to, że jest wściekła.

– Chciałabym odzyskać coś, co należy do mojej siostry – odpowiadam spokojnie.

– To trafiłaś pod zły adres! Moja cierpliwość powoli się kończy! Dociera to do ciebie?!

W tle słyszę dźwięk klaksonu, a zaraz potem pisk trących o asfalt opon. Obstawiam, że Morawska jest w samochodzie.

– Kasetą z dyktafonu Ady. To o niej mówię. Dobrze o tym wiesz.

W słuchawce zalega cisza.

– Halo? – odzywam się po chwili.

– Skończmy to wreszcie raz na zawsze – odpowiada Morawska. – Niedługo się odezwę.

Łomot dobiegający zza ściany budzi mnie ze snu. Chwilę później, gdzieś w oddali, padają dwa wypowiedziane ze wściekłością słowa.

– Pieprzona dziwka.

Wyślizguję się spod kołdry, zanurzam bose stopy w miękkim dywanie i niepewnie ruszam w stronę, skąd dobiega teraz inny dźwięk. To chyba szloch. W otaczającym mnie pomieszczeniu z małym okrągłym oknem jest ciemno, ale przez przylegający do niego kantorek przesącza

się światło, nieprzyjemne i chłodne. Jego kolor przywodzi mi na myśl barwę lodowatego błękitu. To dziwne, jak perspektywa postrzegania kształtuje rzeczywistość. Kiedy podchodzę bliżej, kantorek okazuje się tylko niewielką skrytką mogącą pomieścić co najwyżej dwie osoby. Zastaję tam pochyloną nad czymś postać. Chyba dziewczynę. Nie wiem tego na pewno, bo zamiast głowy z jej szyi sterczy rozmyta grafitowa plama. Wygląda to trochę tak, jakby ktoś narysował ją w pośpiechu węglem, a potem, niezadowolony z efektu swojej pracy, roztarł twarz palcem, pozbawiając ją konturu. Przecieram oczy, ale postać wciąż wygląda tak samo upiornie. Jest jak bohater z komiksu, który zmaterializował się w moim domu, przed moimi oczami, niedokończony.

– Dziwka! – powtarza dziewczyna ciszej, ale jakby bardziej bezsilnie. Jej pięści są zaciśnięte, a ciałem wstrząsa spazm płaczu.

Nadal mnie nie zauważa, odwraca się bokiem i zsuwa na podłogę, trąc o ścianę plecami. Plamę głowy chowa w dłoniach. Kiedy wchodzę do skrytki, dziwnie spokojna mimo absurdalności sytuacji, na moje ciało pada słaba poświata błękitu. Tkwimy w niej obie – ja i ta dziewczyna.

– Co tu robisz? – pytam.

Kiedy mnie zauważa, kołysze się lekko jak duch, który zastanawia się, czy zostać, czy zniknąć. Mrużę oczy z nadzieją, że kiedy je otworzę, jej już nie będzie. Ale ona wciąż jest obok, tak samo rzeczywista, tak samo przerażająca.

– Zmykaj do łóżka – mówi łamiącym się głosem i pociera miejsce, gdzie powinna mieć oczy.

Spuszczam wzrok i przenoszę go na parkiet. Zauważam, że brakuje w nim kilku klepek. Zamiast nich w dziurze zanurzony jest kartonik z ułożonymi równo w jego środku małymi pudełkami.

– Co to jest? – pytam, schylam się i biorę jedno w rękę.

Przyglądam się z zaciekawieniem. W środku znajduje się maleńka kasetka magnetofonowa. Jest podpisana, ale nie

potrafię odczytać żadnego słowa z wetkniętej za plastikowe okienko kartki. Widzę tylko ciąg niezrozumiałych linii i zawijasów.

Dziewczyna podchodzi bliżej, nachyla się nade mną, kładzie mi rękę na głowie i gładzi włosy, podczas gdy ja stoję jak posłuszne dziecko. Potem zsuwa rękę po moim ramieniu i wplata zimne palce w moją dłoń. Nie rusza się, a jedynie pociera kciukiem o moją skórę, jakby w ten sposób próbowała odczytać układ jej linii. Potem wysuwa mi kasetę z dłoni.

– Ty też masz taką skrytkę, gdzie przechowujesz swoje skarby. Jest ukryta za tekturką w kominku, prawda?

Kiwam głową.

– I co jest w niej takiego niezwykłego? – pyta.

Kładę palec na ustach.

– Tylko ty i ja. Nikt inny nie może o niej wiedzieć! Nikt! – powtarzam z przekonaniem.

– To też taka moja skrytka. – Dziewczyna wskazuje na dziurę w podłodze. – Są tu rzeczy, o których nie może wiedzieć nikt. Największa tajemnica. Tylko ty i ja.

Przesuwam palcami po ustach, udając, że zamykam buzię na kłódkę. W dziewczynie coś wtedy drga, następuje przeobrażenie. Ciemna plama, rozlana w miejscu jej twarzy, jaśnieje i kurczy się, ale nadal nie przybiera konturów ludzkiego oblicza.

Postać przesuwa się nad podłogą, zwiewna i zadziwiająco lekka, a potem zatrzymuje naprzeciwko mnie. Zauważam wtedy, że ma na sobie ubrudzoną ziemią bluzę. Na złamanym kwiecie, przechodzącym przez kieszeń bluzy, wykwitają dwie plamy. Są niewielkie, ale ich czerwień kontrastuje z bielą płatków kwiatu, czym zwraca moją uwagę. Kiedy zbliżam do bluzy dłoń, chcąc dotknąć zabrudzonego materiału, dziewczyna rozplywa się w powietrzu.

Ta noc nie należała do najlepszych. Zmięte wilgotne prześcieradło i zrzucana z materaca poduszka są tego

najlepszym dowodem. Ledwie pięć godzin płytkiego snu, podczas których rzucałam się na łóżku, spocona i niespokojna. Za takie poranki odpowiadają moje marzenia senne, które bywają abstrakcyjne, bez kontekstu. Pod powiekami wyświetlam wtedy jakąś niezrozumiałą fabułę w pozbawionych znaczenia ujęciach. Wyjątkiem są realistyczne koszmary senne, takie jak ten, bo mają w sobie jakiś element prawdy. Zrozumiałam to niedawno, przy okazji powracającego w moich snach obrazu, w którym jako dziecko wychodzę z domu w zaplamionej krwi koszuli. Nabrał sensu w kontekście tego, czego dowiedziałam się o swojej rodzinie. Może to, co przyśniło mi się dziś, jest tylko przedłużeniem nieistniejącego wyobrażenia, nadbudowanego na słowach Łukasza. A może nie? Może kasetą, o której mi powiedział, to otwarte w mojej świadomości okno, za którym zamknęłam się przed własnym mrokiem. Stawiam na to drugie. Nie przekonam się, jak jest naprawdę, dopóki sama tego nie sprawdzę.

Pierwszy krok wydaje się względnie prosty, o ile dom przy Wincentego Pola nadal wystawiony jest na sprzedaż. Z tłućącym się w piersi sercem odpalam laptop, w wyszukiwarce wpisuję słowa kluczowe „dom”, „sprzedaż”, wybieram kilka dostępnych filtrów, by zawęzić wyniki poszukiwań. Na szczęście ofert sprzedaży domów na Kamiennej Górze nie ma zbyt wiele. Szybko udaje mi się znaleźć interesującą mnie, wciąż aktywną ofertę. Biorę telefon i wybieram numer agenta nieruchomości. Słyszę wystudiowane i uprzejme „dzień dobry”.

– Chciałabym umówić się na obejrzenie domu przy Wincentego Pola, najlepiej jeszcze dziś – rzucam w słuchawkę.

– Och, ten dom... – w głosie kobiety pobrzmiwa rozczarowanie. – On jest już niestety w rezerwacji.

– Ale do transakcji jeszcze nie doszło... – mówię z nadzieją w głosie.

– Nie. Ale klient stara się o kredyt. Jeśli go otrzyma, co okaże się za dzień lub dwa, to transakcja dojdzie do skutku. Na razie podpisał umowę przedwstępną...

– Którą można zerwać, jeśli pojawi się inny klient, gotów pokryć wpłacony zadatek w podwójnej wysokości, zapłacić za dom w gotówce i przebić poprzednią ofertę o dziesięć procent – wchodzę kobiecie w słowo.

Po drugiej stronie zapada cisza. Tak, wiem, wyszłam na cwaniarę. Trudno.

– Naprawdę mam wiele innych ciekawych ofert do zaproponowania. Jeśli tylko zechciałaby pani powiedzieć mi, co ją interesuje...

– Dom na Wincentego Pola – nie ustępuję i znów wchodzę jej w słowo. – Czy mogę go chociaż obejrzeć? – pytam łagodniej. Spuszczam nieco z tonu, by znów nie wyjść na natarczywe babsko. – Jestem w Gdyni tylko dziś, przejazdem. Naprawdę mi zależy.

– No dobrze – odpowiada kobieta po dłuższej chwili wahania. – Ale ofertę będę mogła przedłożyć tylko wtedy, jeśli pierwsza transakcja nie dojdzie do skutku.

Po omówieniu szczegółów wieczornego spotkania rozłączam się. Do wypełnienia planu potrzebna jest mi pomoc zaufanej osoby. W naturalnym odruchu moje myśli biegną w stronę Julki. Szaleństwem byłoby wciąganie jej w to, co siedzi mi w głowie, zważywszy, że obiecałam odpuścić sobie działania na własną rękę. Ale Julka zbyt dobrze mnie zna, by tak po prostu uwierzyć, że zrezygnuję. Ja z kolei zbyt dobrze znam swoją przyjaciółkę, by wątpić w to, że mi jednak pomoże. Kiedy do niej dzwonię i mówię, co zamierzam zrobić, oznajmia, że zwariowałam. Koniec końców, Julka zgadza się wziąć udział w moim planie. Dokładnie tak, jak przewidywałam.

Wincentego Pola od Bulwaru Nadmorskiego dzieli tylko kilkuminutowy spacer, ale w tej oddalonej od wrzawy ulicy także i dziś panuje spokój. Parkuję samochód między dwoma

drzewami, na samym początku ulicy, wysiadam z wozu i przekazuję kluczyki siedzącej obok mnie Julii. Od miejsca, w którym umówiłam się z agentką nieruchomości, oddalona jestem o około dwieście metrów. Pokonuję je, idąc szybkim marszem. Przed posesją zaparkowane są dwa auta, zielona corsa i srebrne volvo. Agentka nieruchomości stoi na chodniku oparta o drzwi opla. Poznaję ją po trzymanej sztywno pod pachą teczce i stonowanej elegancji jej ciuchów. Kobieta ma na sobie szarą garsonkę i szpilki w tym samym kolorze. Jest młoda, ma około trzydziestki i miłą twarz dziewczyny z sąsiedztwa. Przygląda mi się, jakby zastanawiała się, czy to ja jestem tą upierdliwą klientką, na którą tu czeka. Uśmiecham się i macham w jej stronę ręką, by rozładować napięcie. Po kurtuazyjnej wymianie zdań wchodzimy na teren posesji.

– Chciałaby pani zacząć od ogrodu czy od domu? – pyta agentka.

Wybieram ogród, licząc na to, że spacer po nim przywróci mi jakieś wspomnienie – zabawę z siostrą albo z koleżankami. Może nawet grę w piłkę z ojcem albo matką? Naprawdę wciąż mam nadzieję, że i takie chwile były w moim dzieciństwie. Ale nie dzieje się zupełnie nic – ogródek to po prostu schludna i zadbana przestrzeń, której na tle innych nic nie wyróżnia. Mimochodem, między oglądaniem krzaka róży i rododendronu, wyciągam telefon, a w treść wiadomości wpisuję „corsa”. Przesuwam palcem na „wyślij”.

Przez chwilę udaję zachwyty ogrodem, ale szybko proponuję obejrzenie domu. Kiedy wchodzimy do środka, patrzę na niego inaczej niż poprzednim razem.

Ile sklejonych krwią włosów mojej siostry znalazłabym teraz pod podłogą? Gdzie leżały zwłoki mojej matki? A ojca? W jakich pozycjach ich znaleziono? Te i inne chore pytania, na które nie znalazłam odpowiedzi w artykułach prasowych, cisną mi się do głowy. I wreszcie to: czy naprawdę można tu było kiedykolwiek znaleźć miłość?

Kobieta nie wyczuwa zmiany w moim nastroju, oprowadza mnie po kolejnych pomieszczeniach, grając zwykłą rolę

zaangażowanej agentki.

W pewnej chwili zza jednego z okien dobiega stuknięcie. Spodziewałam się go, więc wyczułam swoje ucho, ale do agentki dźwięk wgniatanej blachy zdaje się nie docierać. To nic. Czekam już tylko na kolejny krok Julii. Dwie minuty później słyszę dzwonek do drzwi, który brzmi jak stary gong. Wyglądamy przez okno, patrząc na przemian to na zderzak mojego ledwie wyklepanego samochodu wbity w tył opla, to na stojącą pod bramą moją przyjaciółkę.

– Boże! To mój wóz! – wykrzykuje agentka. Kiedy widzę jej przerażoną minę, dopadają mnie wyrzuty sumienia. Pewnie mogłam to załatwić inaczej, bez niszczenia swojego i jej samochodu, ale teraz jest już za późno na odwrócenie sytuacji.

– Proszę tu zostać – woła kobieta i, nie czekając na moją odpowiedź, zbiega schodami.

Na tę chwilę czekałam. Wsuwam dłoń do torebki i wyciągam z niej śrubokręt. Wchodzę do kolejnych pomieszczeń pełna obaw, że nie będę potrafiła rozpoznać swojego dawnego pokoju, że drzwi do skrytki będą czymś zastawione. Niepotrzebnie. Pokój na poddaszu poznaję dość szybko po charakterystycznym, chyba jedynym w tym domu okrągłym okienku. Będąc w środku, kieruję się tą samą drogą, którą wyznaczył mój niedawny sen. Błękitnej tapety w paski nie ma tam, gdzie ją zapamiętałam. Zamiast niej ścianę ozdabia fototapeta z morską scenką, w którą wkomponowane są drzwi. Niezauważalne dla kogoś, kto nie miał pojęcia o ich istnieniu. Podchodzę bliżej i badam je ostrożnie palcami. Okazuje się, że nie ma w nich klamki, podważam więc paznokciem przylegającą ściśle do ściany krawędź, wsuwam tam śrubokręt i przyciągam do siebie. Skrzydło drzwi posłusznie się odchyła, otwierając mi drogę do środka. Robię krok do przodu. W powietrzu unosi się stęchły zapach starego drewna i kurzu, typowy dla niewietrzanej od dawna przestrzeni. Nie mogę znaleźć włącznika światła, więc uruchamiam w telefonie latarkę i oświetlam podłogę. Nie tego się spodziewałam. Krew odpływa mi z twarzy, czuję, że oblewa mnie zimny pot.

Pod moimi stopami leży szkaradne i co gorsza, solidnie przytwierdzone do podłogi linoleum. Zerwanie go za pomocą śrubokręta graniczy z cudem, a przynajmniej w czasie, który mam do dyspozycji. Spisanie zeznania o szkodzie nie powinno zająć agentce i Julii więcej niż piętnaście, maksymalnie dwadzieścia minut. To mocno ogranicza moje działania. Ale nie po to tu przyszedłam, by teraz się poddać. Kucam i wsuwam śrubokręt pod pierwszy z kilkudziesięciu masywnych ząbków, na których osadzona jest listwa mocująca linoleum. Tracę na tej manipulacji zbyt dużo czasu. Pcham więc śrubokręt szybciej, bardziej niecierpliwie.

A wtedy dzieje się coś, co na zawsze pozostanie w mojej głowie kolejną czarną dziurą. Moje oczy nie widzą niczego, ciało nie odczuwa bólu. A w tych okolicznościach powinno. Jestem jak wściekły ślepiec, poruszający się na czworakach, po omacku, przy dźwiękach przypominających skrzypienie zardzewiałej pompy. Tylko je zapamiętuję, tylko je wtedy słyszę. Kiedy w końcu wraca mi świadomość, upuszczam śrubokręt, unoszę dłonie i zwracam je ku światłu. Przyglądam się im tak, jakby nie były częścią mnie, tylko obcą, przyspawaną do mnie materią. Z grzbietu i palców lewej dłoni spływają trzy krwawe strużki. Rany są raczej niewielkie i dość płytkie, zadane śrubokrętem, którym nie trafiłam w podłogę. Zagryzam wagi, bo nagle atakuje mnie ból.

Wracam do sypialni i kieruję się w stronę posłanego łóżka. Jednym ruchem ściągam z niego ozdobną poduszkę i usuwam z niej poszewkę. Owijam ją wokół dłoni i wracam do schowka. Moją uwagę przykuwa wtedy kilkanaście zerwanych z podłogi metalowych ząbków. To chyba moja robota. Najwyraźniej tyle starczyło, żebym odgięła linoleum i dotarła do znajdującego się pod nim parkietu. Kucam i sprawdzam drewniane listwy pojedynczo, klepka po klepce. Pośród kilkunastu nieruchomych desek natrafiam na jedną luźną. Podważam ją i wyciągam. Trzy kolejne przylegające do siebie klepki także pozwalają się unieść.

Zajrzenie do skrytki mojej siostry jest jak wkroczenie do innego świata, tego obcego świata z mojej własnej niepamięci.

Obudzone we mnie dziecko zapamiętało znajdujące się w środku pudełko inaczej – małej Neli wydawało się nieco większe i bardziej kolorowe. Niemniej jednak ono nadal tam jest, wsunięte w wydrążoną w podłodze dziurę. W pudełku znajduję dyktafon oraz pięć plastikowych pudełeczek ułożonych w porządku chronologicznym, podpisanych cyframi od jeden do pięciu. Biorę je po kolei w dłoń i otwieram. We wszystkich, oprócz jednego, znajdują się miniaturowe kasety używane kiedyś w dyktafonach. Tylko pudełeczko oznaczone piątką jest puste, kasety nie ma też w dyktafonie. Wsuwam znalezisko do swojej torebki. Unoszę pudełko i grzebię w dziurze w poszukiwaniu czegoś jeszcze. Sama nie wiem, co spodziewam się tam znaleźć. Obciążające mego ojca dowody czy może kapsułę czasu, którą Ada pozostawiła dla mnie, licząc na to, że kiedyś znów tu trafię. Moja martwa, wszechmocna i wszechwiedząca siostra. Ale nic z tego. Poza pudełkiem ukrytym w skrytce nie znajduję pod podłogą niczego więcej.

Wychodzę ze schowka, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. W domu nadal jestem tylko ja z pulsującą zranioną dłonią i dzwoniąca w uszach cisza, natarczywa i bolesna.

Wychodzę na zewnątrz i w drzwiach niemal wpadam na agentkę nieruchomości. Jej wzrok utkwiony jest w poszewce, która zdążyła już nasiąknąć krwią. Błękitna tkanina z nadrukiem tłustej mewy, radosny wzór utrzymany w marynistycznym klimacie. Agentka wygląda na oburzoną, a może jest po prostu zdziwiona. Faktycznie, muszę wyglądać nieciekawie.

– Co pani tu...? – pyta i robi pauzę, by dobrać odpowiednie słowo.

Wyprawia, odpierdala? – spodziewam się zaraz usłyszeć.

– Przepraszam, nie jestem jednak tym domem zainteresowana. Dziękuję za poświęcony czas – mówię i mijam ją, nie patrząc jej w oczy.

Kiedy wybiegam za furtkę, atakuje mnie spadające za horyzont słońce. Oślepiąca jego jasnym blaskiem, ledwo

zauważam zaparkowany na chodniku mój wóz. Za kierownicą siedzi Julia. Umówiliśmy się, że nie wsiądę do niego od razu, by nie wzbudzać podejrzania agentki nieruchomości. Mijam swojego saaba, przechodzę na drugą stronę ulicy i skręcam w alejkę prowadzącą pod pobliski spożywczak.

Zastanawiam się, czy agentka nie rzuci się w pogoń za skradzioną poszewką i nie zedrze mi jej z ręki. Ale nic takiego się nie dzieje. Mija chwila, nim na przylegający do sklepu parking podjeżdża moja przyjaciółka. Otwieram drzwi od strony pasażera i wślizguję się do środka.

– Właż i spadamy! – Julia ponagla mnie. Żuje gumę. Kiedy zatraskuję za sobą drzwi, samochód włącza się do ruchu z piskiem opon. – Miałaś fuksa. Pomyślałaś, co by było, gdyby babka nie przyjechała samochodem albo gdybyśmy nie wiedziały, które auto należy do niej?

– To agentka nieruchomości. – Wzruszam ramionami, prawą ręką mocniej zaciskam prowizoryczny opatrunek. – Jak inaczej miałyby się poruszać? I gdzie miałyby postawić wóz, jeśli nie przed posesją, gdzie się umówiła? Szczególnie, że na tej bocznej ulicy jest zwykle pusto. W razie gdyby coś poszło nie tak, miałam też inny pomysł.

Julka spogląda na mnie pytająco, z lekkim politowaniem i chyba niedowierzaniem. Wtedy zauważa owiniętą w poszewkę dłoń.

– Kurwa! – Na moment puszcza kierownicę, a samochód niebezpiecznie przybliży się do krawędzi drugiego pasa. Otrzeźwia ją dopiero wycie klaksonu. – Co tam robiłaś? – pyta, ustawiając saaba ponownie na pasie.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Chyba parę razy trafiłam śrubokrętem w rękę, a nie w podłogę.

Przyjaciółka przygląda mi się badawczo.

– Że co? – pyta.

– Trzymaj, do cholery, ręce na kierownicy i patrz na drogę! – krzyczę, kiedy jadące z dużą prędkością auto niemal ociera

się kołami o krawężnik. – To się po prostu stało. Nie wiem jak. Chciałam się tylko dostać pod to pieprzone linoleum.

– Nie musisz z tym jechać do lekarza?

Potrząsam głową.

– I co? Było chociaż warto? – docieka Julia. – Było warto zapewnić sobie wyższą składkę OC, rozpieprzyć swój wóz i rękę?

Prawą dłoń wsuwam do torebki. Moje zdobycze wciąż są na miejscu, tuż pod palcami.

– Mogłabyś tu na moment zjechać? – Wskazuję na osiedlowy parking i pokrótce wyjaśniam Julce powód mojej prośby.

Parkujemy pod rozłożystą lipą, skryte przed popołudniowym gwarem, z dala od pędzących ulicą Morską samochodów. Wyciągam dyktafon i obracam go w palcach, obawiając się tego, co usłyszę, kiedy włożę pierwszą kasetę. Ciekawość zwycięża. Wciskam przycisk *play*. Ale nic się nie dzieje.

– To pewnie baterie – mówi Julia. – Minęło dwadzieścia lat.

No jasne.

Po drugiej stronie ulicy zauważam szyld „Żabki”. Kupuję cztery paluszki, wracam do auta, wkładam je do dyktafonu, przewijam kasetę do początku i ponownie wciskam przycisk odtwarzania. Czekam. Nieużywany od dawna mechanizm przez chwilę klekocze, a ze słabnących trzasków powoli wydobywają się słowa wypowiedane przez moją siostrę. W każdym wymuszonym ostatnio wspomnieniu usiłowałam dokleić do własnego wyobrażenia głos Ady, ale on zawsze brzmiał głucho i płasko, jak odległe echo. Zupełnie inaczej niż ten zarejestrowany na nagraniu.

Poniedziałek, dwunasty lipca dziewięćdziesiątego ósmego.

Trochę dziwnie jest zacząć, szczególnie tu, tym bardziej, jeśli po raz pierwszy od bardzo dawna silisz się na szczerść

i trochę zapomniałaś, jak to naprawdę jest.

Wybrałam cię nieprzypadkowo. Jesteś jedynym, który mnie wysłucha i nie oceni. Bezduszne urządzenie zamiast przyjaciela czy choćby pamiątnika to jednak trochę obciach, co? Bez urazy. Nie chodzi o ciebie, a bardziej o mnie i mój własny wstyd. A ponadto o zwykłą potrzebę wygadania się. Nie potrafię już dłużej udawać odpowiedzialnej i bardziej dorosłej, niż w rzeczywistości jestem. Mam siedemnaście lat, do cholery! By nie wybuchnąć, duszę w sobie uczucia, przeżycia, ostre loty. Tych ostatnich jest we mnie najwięcej.

Chodzi głównie o nie, o wyzwania, jakie stawiamy sobie z Iggy, Łukim i Kamilem.

Działają na mnie jak narkotyk, są pobudzające i ożywcze. Poza treningami na pływalni to jedne z tych nielicznych chwil, w których czuję się naprawdę żywa. Jest w tym chyba nawet coś więcej. Na ten ulotny moment staję się nieśmiertelna. Gdzieś z tyłu głowy jednak, zawsze wtedy, kiedy losujemy kartkę z nowym wyzwaniem, czai się czarna myśl, że może tym razem nadejdzie koniec. Tak po prostu, bez ostrzeżenia. Że ta ampulka mocy w końcu się wyczerpie, a my przesuniemy się nad samą krawędź i zrobimy o jeden krok za dużo.

Mój prywatny ranking trzech ostatnich wyzwań?

Na pierwszym miejscu stawiam środowowe nurkowanie w stawie z ciałem szczelnie owiniętym folią. Czas zanurzenia: dziewięćdziesiąt sekund. Jedno z nas zniknęło pod wodą, przytrzymywane przez resztę. Bez możliwości poruszania kończynami, z folią ściśle przylegającą do ciała, wynurzenie się na powierzchnię było niemożliwe. Co czułam? Walkę o każdy oddech. Odliczanie wlekących się w nieskończoność sekund wywoływało we mnie jednocześnie strach i euforię. Wygrałam. Moje płuca są wydolne, a organizm przyzwyczajony do przebywania pod wodą.

Miejsce drugie zajmuje piątkowy challenge, który wykonywaliśmy na nieczynnym moście kolejowym w Rutkach. Konstrukcja, która jest jak metalowy dach zawieszony nad przepaścią, idealnie się do tego zadania nadaje. Przejście na

drugą stronę przęśła, przeskoczenie przez barierkę, przywiązanie nadgarstków do poręczy, odepchnięcie się, by ciało odchyłało się pod kątem ostrym. Takie były zasady. Kolejne etapy wyzwania. Im dalej i im dłużej odgina się twój korpus, tym lepiej. Do teraz czuję w sobie to wewnętrzne rozdarcie. Z jednej strony jesteś już tam, nad przepaścią, stajesz oko w oko ze śmiercią. A z drugiej jednak wciąż kurczowo trzymasz się życia, ze świadomością, że łączy cię z nim tylko cienka lina.

Na samym dole mojego rankingu ląduje poniedziałkowy choking game. Nadal nie potrafię się do niego przekonać. By wzmocnić moment euforii, zwykle faszerujemy się wcześniej acodinem. A ja nie lubię być naćpana. Nieświadoma. Nie chcę tracić kontroli nad możliwością podejmowania własnych decyzji...

Głos Ady niespodziewanie milknie, gdy w tle nagrania rozlega się skrzypienie otwieranych drzwi, a zaraz potem tupot wbiegających do pomieszczenia stóp.

– Hej, mała! Co ty tu robisz?

Moja siostra wydaje się rozdrażniona.

Po pokoju rozchodzi się teraz dziecięcy głos, podśpiewujący piosenkę o Zuzi, lalce niedużej. Domyślam się, że należy do mnie.

– Nie wolno tu wchodzić bez pukania! Zaraz wymyślimy dla ciebie karę – mówi moja siostra, ale jej głos łagodnieje. – Mam! Chodź tu i pokaż, gdzie masz łaskotki!

Nasz rozbrzmiewający nagle chichot, mój i Ady, brzmi radośnie. Wyobrażam nas sobie tarzające się na łóżku albo turlające się po podłodze. Szczęśliwe.

Zatrzymuję nagranie, by ochłonąć.

Zadziwia mnie lekkość, z jaką Ada przeszła przemianę od diabolicznej żądnej niebezpiecznych ekscesów dziewczyny do kochającej starszej siostry. Odnoszę wrażenie, że oba te wcielenia są jej nieodłączną częścią.

Po chwili uruchamiam nagranie ponownie. Kiedy dobiega końca, w dyktafonie umieszczam kolejną kasetę. A po niej następną. Wzbierają we mnie na przemian chęć zrozumienia siostry i gniew. Opinie Ady i jej doznania zmieniają się równie błyskawicznie, co kolejne realizowane przez nią wyzwania. Słucham następnych zwierzeń i coraz mniej entuzjazmu wyczuwam w jej głosie, coraz więcej wahania i smutku wdziera się w jej opowieści. Na ostatnim, czwartym już nagraniu Ada przyznaje, że od dłuższego czasu robi to tylko z obawy o utratę swojej pozycji w grupie. I że chciałaby wreszcie przestać.

Co jest na brakującej, piątej kasecie? Wszystko wskazuje na to, że faktycznie ma ją Iga. Cokolwiek zarejestrowała tam Ada, nie mam wątpliwości, że Iga przejęła tę taśmę celowo. Jeśli są to kompromitujące ją wyznania, z pewnością nie będzie chciała mi jej oddać. A to znaczy, że rozmowa i ewentualne spotkanie z panią dyrektorem wymagają ode mnie czujności i lepszego przygotowania.

– Twoja siostra była nieźle popieprzona! – głos Julii wyrywa mnie z zamyślenia.

Wczoraj nie dopuściłabym do siebie żadnej wątpliwej w Adę myśli, ale dziś, przynajmniej częściowo, sama się pod tymi słowami podpisuję.

LENA

29 lipca 2019 r.

Mój szary notatnik wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy. Miliony przekreśleń, gryzmołów, skrótów, a do tego powyrywane gdzieniegdzie strony. Ktokolwiek wzięłby go do rąk, z pewnością nie potrafiłby rozszyfrować ani jednego słowa. Niestety nie należę do ludzi, którzy z pietyzmem przelewają swoje myśli na papier. Robię to zawsze w pośpiechu, z obawy, że wymkną mi się niepostrzeżenie, a ja nie zdążę ich po raz drugi zapisać. Mam też inny zwyczaj. Numeruję kartki w notatniku, by nadać swoim myślom jakiś ład i porządek. Trzydziesta trzecia strona w całości należy do Sławomira Walczaka i zdobytych na jego temat informacji. Czy to ten sam Walczak, z którym przed ponad dwudziestu laty miała na pieńku moja siostra? Tego miałam się wkrótce dowiedzieć.

Ale po kolei. Dzięki przesłanej mi przez Julkę tabeli i Kartuzom, miejscowości widniejącej przy nazwisku Walczaka, krąg moich poszukiwań nieco się zawęził. Jeśli kiedykolwiek ten człowiek pojawił się w internecie, musiał tam zostawić po sobie ślad. W sieci przecież nic nie ginie.

Jedyny mieszkający w Kartuzach Sławomir Walczak okazał się założycielem firmy zajmującej się czarterem jachtów – Walczak Alpha Boats. Swój biznes prowadził nad kilkoma jeziorami położonymi bezpośrednio przy Drodze Kaszubskiej. Walczak miał łeb na karku, jeśli ulokował swój interes przy jednej z najpiękniejszych i najatrakcyjniejszych turystycznie tras przyrodniczych w Polsce. Sądząc po bogatej ofercie i liczbie rezerwacji, biznes całkiem nieźle się kręcił.

Po wybraniu podanego na stronie internetowej numeru czekało mnie jednak pewne rozczarowanie. Poprosiłam

o rozmowę z właścicielem, ale dowiedziałam się, że Sławomir nie żyje od pięciu lat, a biznes przejęły jego dzieci – Emilia i Dawid.

Na myśl przyszła mi tylko jedna osoba, która mogłaby potwierdzić, czy Walczak, prześladowca słabszych oraz syn Sławomira Walczaka, to jedna i ta sama osoba. Był nią Marcin Szymczak. Mimo kilkunastu prób kontaktu nie udało mi się jednak z Szymczakiem porozmawiać. Nie wiem, czy mnie unikał, czy faktycznie pozostawał niedostępny. Nie zastałam go także w kwaciarni.

Tak czy inaczej, nie zamierzałam odpuścić. Potrzebowałam konkretnych informacji. Pod pretekstem złożenia właścicielom atrakcyjnej oferty i wiążącej się z nią długofalowej współpracy dwa dni temu zadzwoniłam ponownie do biura Walczak Alpha Boats. Umówiłam się na spotkanie z Emilią i Dawidem w siedzibie matce mieszczącej się nad Jeziorem Ostrzyckim.

Podróż przez Szwajcarię Kaszubską tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że Mazury są cholernie przereklamowane. To, co najpiękniejsze, mam na wyciągnięcie ręki, zaledwie kilkanaście kilometrów od Trójmiasta. Błękitne wstęgi Raduni połyskują w słońcu niczym rozleniwiony wąż. Do tego malownicze jeziora, pięknie falujący krajobraz. A to przecież nie wszystko. Rzeki, lasy, wzgórza morenowe, klimatyczne wsie. Kultura, smak, odrębny język i tradycja. Tak mało jest miejsc nie całkiem jeszcze skomercjalizowanych, które niosą ze sobą tajemnicę i spokój. Rodzina Walczaków dobrze wiedziała, jak z tej esencji Kaszub wyciągnąć jak najwięcej dla siebie i zamienić ją w konkretny pieniądz.

Parkuję wóz na parkingu obsadzonym drzewkami bonsai i gołym okiem widzę wielomilionowe inwestycje, które właściciele tu poczynili. Zakładając, że trafiłam na właściwego Walczaka, którego ojciec był wojskowym, zastanawiam się, skąd mieli na to wszystko hajs. Czy z państwowej pensji mógłby mieć aż tyle forsy? Dziesięć luksusowych jachtów zadokowanych w niewielkim porcie to tylko część floty, którą Walczakowie mają w ofercie. Kieruję

się w stronę dwóch bliźniaczych budynków zbudowanych na planie prostokąta. Szkło, beton, kwiaty – głównie sukulenty. Jest ich tu najwięcej. Jeden z obiektów z kawiarenką na zewnątrz przeznaczono na siłownię z widokiem na jezioro. Drugi pełni funkcję biura.

Za jednym z jego panoramicznych okien zauważam kobietę i mężczyznę. To zapewne rodzeństwo Walczaków. Tęgi facet rozsiada się w białym skórzanym fotelu, a filigranowa kobieta krąży po pomieszczeniu z filiżanką w ręku. To na mnie chyba czekają. Poprawiam ubranie, moją ulubioną garsonkę w kolorze wścieklej czerwieni o prostym, ale seksownym kroju, i wchodzę do środka. Po powitaniu i kurtuazyjnej gadce szmatce siadamy przy szklanym stole, na którym zaraz pojawia się filiżanka parującej kawy.

Szybko wczuwam się w rozmowę o wymyślonym przez siebie, nieistniejącym dealu. Wchodzę w rolę menadżerki korporacji, tej samej, w której pracuje Filip, bookuję u Walczaków wstępnie dwa sierpniowe weekendy i czarter pięciu jachtów dla ponad pięćdziesięciu osób łącznie. Bez podpisywania jakichkolwiek papierów, rzecz jasna. Mam wkrótce drogą mailową otrzymać pełną ofertę firmy. Oczywiście wszystko to ściema, a do sfinalizowania transakcji nigdy nie dojdzie, ale przecież nie w tym celu tu przyjechałam. Przełamaliśmy pierwsze lody. Nadszedł właściwy moment, by przejść do prawdziwej gry. Kiedy Emilia na chwilę ulatnia się z biura, wdrażam plan B.

Stajemy przy uchylonych drzwiach wejściowych. Walczak pierwszy wyciąga rękę na pożegnanie. Jego uwagę zwracają cztery naklejone na moją lewą dłoń plastry, pod którymi kryją się wciąż niezagojone jeszcze rany. I ja rzucam mu jeszcze jedno spojrzenie.

Beżowe szorty w stylu safari, stopy w skarpetach wciśnięte w markowe espadryle, śnieżnobiałe polo z logo krokodylka, najmodniejszy w tym sezonie, bezpretensjonalny wzór. Dziwnie to wszystko wygląda na facecie, który swoją fizjonomią przypomina urobionego po pachy rzeźnika. Moją uwagę zwraca przede wszystkim jego nieatrakcyjne

zaróżowione i silnie owłosione ciało. Dopiero później widzę całą resztę, czyli ekskluzywne opakowanie. I jeszcze jedno – czyżby na policzku Walczaka pozostał ślad po ostrzu lotki? Dopiero teraz zauważam pod prawym oczodołem tę maleńką, ledwie widoczną bliznę.

– A tak w ogóle to nasze rodziny chyba kiedyś się znały – wtrącam mimochodem, a w moim głosie słychać wystudiowaną niepewność.

– Tak? Nie kojarzę pani nazwiska. – Dawid przygląda mi się z ukosa. Przygląda bujną czupryną, podobną do tej, którą nosił kreskówkowy Johnny Bravo.

No jasne, że nie. Podałam nazwisko, które przyjął po ciotce.

– W latach dziewięćdziesiątych mieszkał pan z rodziną w Gdyni, prawda? – raczej stwierdzam, niż pytam.

Walczak kiwa głową, badawczo wpatruje się w moją twarz, czujny, ale zaciekawiony. Wydaje mi się, że czeka, aż wreszcie podam mu nazwisko, które skojarzy.

– Jestem teraz mężatką – kłamię. – Z domu Słowikowska. Nela Słowikowska. Tak się nazywałam, będąc jeszcze panną.

Rozbiegany wzrok Walczaka mówi mi, że pamięta, kim byli Słowikowscy.

– To chyba nieporozumienie – odpowiada.

Widzę, ile kosztuje go trzymanie nerwów na wodzy. Ale przez lata pewnie nauczył się, że w świecie biznesu nikt nie rozwiązuje konfliktów pięściami.

– Wiem, to żaden powód do miłych wspominek – wzdycham ze smutkiem. – Mój ojciec musiał podpaść pana rodzinie...

Gówny wiem o tym, jak było naprawdę, ale go podpuszczam.

– To stare dzieje. – Walczak macha ręką, by uciąć temat. – Nie powinniśmy mieszać spraw prywatnych z interesami.

Stare dzieje. Akurat. Widzę żyłą pulsującą na jego szyi tuż pod białym kołnierzykiem.

– Może to niewłaściwy moment – ważę kolejne słowa – ale nigdy nie poznałam szczegółów matactw mojego ojca.

– Naprawdę chce pani o tym teraz rozmawiać? – pyta, krzyżuje ręce na piersiach, i opiera się plecami o ścianę.

– Wolałabym, żeby nic nie ciążyło na naszej relacji, biorąc pod uwagę przyszłą współpracę. Nie chcę, żeby patrzył pan na mnie przez pryzmat tamtych wydarzeń.

Widzę wyraźnie, że jest zdezorientowany. Ma to wypisane na twarzy. Gdybym mu nie powiedziała, facet nie miałby pojęcia, z kim rozmawia. Ale raczej nie wyczuwa mojej zagrywki. Odzywa się po dłuższej chwili wahania.

– No okeeej – odpowiada przeciągle. – Jeśli to panią uspokoi. Powiem to najdelikatniej, jak umiem, przez szacunek dla pani.

Niemal wybucham śmiechem. Szacunek. To słowo brzmi w ustach Dawida Walczaka jak kpina. Wyobrażam sobie tego typu jako nastolatka. Myślę o tym, jak świadomie szykanował słabszych kolegów, odzierając ich z godności. Żeby go zachęcić, posyłam mu jednak przymilny uśmiech, słodki jak sztuczny miód.

– Mój ojciec chciał zatrudnić prywatnego detektywa. Chodziło o zebranie dowodów obciążających prześladowcę Emilii, mojej siostry. To był oszołom z sąsiedztwa, który doczepił się do niej i uroił sobie łączącą ich zażyłość. Próbowałem załatwić sprawę po swojemu, ale ojciec się wściekł i kazał mi zostawić temat profesjonalistom. Czyli pani ojcu. To jego wybrał. Ale wkrótce okazało się, że był to wielki błąd, bo nie realizował on swoich zobowiązań. A stawka jego wynagrodzenia stale rosła. Przegiął, kiedy wydało się, że działał na szkodę mojej siostry... – urywa.

Patrzę na Walczaka wyczekująco. Po chwili podejmuje przerwany wątek.

– Spreparował listy, które miał do Emilii pisać stalker. Robił to, by wyciągnąć od naszej rodziny jeszcze więcej pieniędzy i uzależnić nas od siebie.

– Jak zareagował pana ojciec? – pytam.

– Powiedziałbym, że całkiem normalnie w tych okolicznościach – odchrząkuje. – Wściekł się. Odciął go od forsy. Resztę już pani zna. – Walczak patrzy na mnie z politowaniem. – Tamta sprawa nie doczekała się finału w sądzie.

Czy mój ojciec był aż takim parszywym draniem? Serio?! Czuję złość i kolejne rozczarowanie, które osadza się wszędzie, nawet w kanalikach płuc i mózgu. Gubię wątek dalszej opowieści Walczaka.

– Poza śmiercią pani rodziny tamtej jesieni i zimy działo się wiele złych rzeczy... – jego głos dociera gdzieś z oddali. – Mieszkaliśmy już wtedy w Kartuzach, ale miałem w Gdyni kumpli, regularnie odwiedzałem też dziadków.

– Słucham?

– Mówię o dziewięćdziesiątym ósmym. Parszywy rok. Jakby nad Gdynią zawisło wtedy jakieś fatum.

– Co ma pan na myśli? – podchwytuję.

Kąciki ust Walczaka lekko drżą. Ale nie widać w nim smutku, raczej głęboko ukrytą satysfakcję.

– Parę bezsensownych, tragicznych śmierci.

Z jego twarzy niespodziewanie odpływa uśmiech, a wraz z nim wystudiowana uprzejmość. Wyciąga przed siebie rękę, ciągnie za metalową gałkę drzwi i zdecydowanym ruchem wskazuje na przejście. Odczytuję ten gest jako nakaz wyjścia. Mam teraz przed sobą dawnego, tracącego powoli cierpliwość Walczaka. Chcę przyjrzeć mu się lepiej.

– Nie wie pan, kto mógł zniszczyć nagrobek Ady? – prowokuję go.

Kiedy Szymczak powiedział mi o bożonarodzeniowych wizytach Walczaka u swoich dziadków, przez głowę przemknęła mi pewna myśl. Przed taką rodzinną wieczerzą albo po niej, dokładnie w pierwszą rocznicę śmierci mojej siostry, Dawid mógł stanąć nad grobem Ady z puszką farby w rękę i kilofem, którym roztrzaskał płytę.

– Skąd w ogóle ten pomysł? – Na usta Walczaka wypełza szyderczy uśmieszek. – Nigdy nawet nie byłem na cmentarzu w Pierwoszynie... Ja i Ada nie byliśmy ze sobą blisko. Myślę, że naprawdę czas już na panią. – Po raz kolejny wskazuje drzwi, drugą ręką chwyta mnie w pasie i lekko popycha.

Kutas. Skoro nie był u Ady, to skąd wie, gdzie została pochowana?

– Był pan za to bardzo blisko ostrza jej lotki. – Odwracam się i celuję palcem w jego twarz, od blizny dzieli mnie centymetr, może dwa. – Dwadzieścia lat temu.

Widzę, jak w Walczaku wzbiera gniew. Kolor jego twarzy przechodzi z różowego w purpurę. Bierze zamach, wbija swoje pulchne palce w moje plecy, z całą siłą wypycha mnie za drzwi i je zamyka.

Muszę ochłonąć.

Przez kilkanaście kolejnych minut pędzę biegnącą wzdłuż jeziora ścieżką, która przewęza się, aż wreszcie kończy niewielką wnęką w tataraku. Takiego miejsca było mi trzeba. Siadam nad spokojnym jeziorem z dala od radosnych okrzyków plażowiczów, z dala od połyskujących w słońcu budynków należących do Walczaków. W jakimś przypiływie obcego uczucia (czyżby tęsknoty?) wybieram numer Filipa. Chcę tylko usłyszeć, co dzisiaj robił, czy wszystko u niego w porządku. Pragnę być częścią tej wychwalanej przez wszystkich „normalności”. Pragnę, by i mnie zaczęła ona dawać radość, którą potem będę potrafiła odwzajemnić. Po kilku minutach rozmowy z moim chłopakiem i tak w końcu zaczynamy mówić o mnie. I znów tylko częściowo wyznaję Filipowi prawdę. Mówię mu, gdzie jestem, ale nie wspominam o swojej wcześniejszej konfrontacji z Walczakiem. Od

momentu jego wyjazdu nawarstwiają się kolejne tajemnice, więc trudno mi będzie znaleźć właściwy początek. W otaczającej mnie teraz pustce własnych myśli łapię się na tym, że naprawdę chcę, by mój chłopak wrócił wreszcie do domu. Nadszedł już czas na szczerą rozmowę, jakkolwiek obrót to dla nas przybierze. Ale muszę poczekać jeszcze dwa dni.

Ściągam sandały, zanurzam stopy w chłodnej wodzie i obracam w palcach telefon raz jeszcze, krok po kroku odtwarzając w myślach rozmowę z Walczakiem. Zastanawia mnie jedno – o jakich tragediach z roku dziewięćdziesiątego ósmego mówił. I po co w ogóle o tym wspominał? Tragedie mają miejsce nieustannie we wszystkich zakątkach świata, to wpisane jest w jakiś przewrotny rachunek prawdopodobieństwa. Mimo wszystko postanawiam to sprawdzić, choćby pobieżnie.

Googluję odpowiedni zakres dat, w wyszukiwarce wpisuję „Gdynia” oraz inne słowa kluczowe. Najpierw „wypadek”, później „śmierć”, „samobójstwo”, potem „morderstwo”, ale poza przewijającymi się raz po raz artykułami dotyczącymi zabójstwa mojej rodziny nie natrafiam na inną sprawę, o której byłoby równie głośno.

Docieram za to do archiwalnych wydań „Dziennika Bałtyckiego”. Opłacam symboliczny abonament, który pozwala mi bez limitu przeglądać wszystkie papierowe wydania gazety, począwszy od roku dziewięćdziesiątego. Siedzę nad ekranem smartfona przez kilka godzin, przewijając zeskanowane strony, zwłaszcza nagłówki, w poszukiwaniu interesującego mnie tematu, dopóki bateria w moim telefonie zupełnie się nie rozładowuje. Moje rozczarowanie jest tym większe, że dociera do mnie, że nie udało mi się znaleźć w artykułach prasowych niczego odkrywczego, a przynajmniej niczego, co mogłabym powiązać z Adą lub zabójstwem swojej rodziny.

Raz jeszcze analizuję nowe zapiski, o które właśnie uzupełniłam swój notatnik. Przyglądam się im na zimno. Taka strategia pomaga podobno znaleźć najlepszą perspektywę.

Największą uwagę medialną w miesiącach jesiennych i zimowych roku dziewięćdziesiątego ósmego poświęcono śmierci trojga pracowników gdyńskiego terminalu kontenerowego na Oksywiu, przygniecionych we wrześniu podczas przeładunku towaru. Adam Wójcik, Jan Szmidt, Stefan Kowalski. Żadne z tych nazwisk nie pokrywało się z przepisany mi do notatnika personaliami osób z listy Excela ani też z nikim, kogo nazwisko przewijało się w sprawie zabójstwa moich rodziców. To samo dotyczy trzydziestoczteroletniej Kamili Wójcik, która piątego października popełniła samobójstwo, skacząc z dachu wieżowca w centrum Gdyni. Podobnie niepowiązana wydaje się sprawa pięciu śmiertelnych ofiar wypadku w ruchu kołowym – kierowcy (Marcina Wyszynskiego) i czworga pasażerów trolejbusu linii numer 34 (Zuzanny Kot, Magdaleny Wołczyńskiej, Kamila Friebege i Michała Wołłejki), który przy zjeździe na Demptowo w listopadzie zderzył się czołowo z ciężarówką. I wreszcie pediatra Lucjan Andruskiewicz. Jadąc październikową nocą po trójmiejskiej ekspresówce, próbował wyminąć przebiegającą przez drogę sarnę lub inne zwierzę i zginął, wbijając się w znajdującą się na poboczu barierę ochronną. Także i on nie łączył się w żaden sposób z moją rodziną. Dochodzę do wniosku, że to nie ma sensu. Walczak rzucił to hasło najwyraźniej wyłącznie po to, by zepchnąć moje myśli na niewłaściwe tory. Rozczarowana, wracam pod osłoną mroku po samochód i jadę do domu.

LENA

30 lipca 2019 r.

Mózg to arcyciekawa konstrukcja – bezlik zależnych od siebie trybików, dźwigni, krętych zwojów i korytarzy. Czy rozbieżne daty wskazane mi przez Igę i gosposię w związku z bluzą Ady były jedynie pomyłką spowodowaną upływem czasu? Kaprysem mózgu? Zacieranym systematycznie obrazem? Nawet jeśli tak, to nadal odnoszę wrażenie, że matka Eryka nie powiedziała mi wszystkiego.

Zastaję ją w ogrodzie. Siedzi na leżance z książką w ręku, wsparta na miękkim zagłówku. Obok leżą narzędzia ogrodowe, opróżniona do połowy szklanka kompotu stoi przy tacy z ciasteczkami. Obiecałam nie pojawiać się tu nigdy więcej, ale wobec nowych okoliczności i kolejnych znaków zapytania musiałam zmienić zdanie.

Przyciskam twarz do drewnianych sztachetek i wołam z oddali „dzień dobry”, modląc się w duchu, by nie wywabić z domu jej córki, o ile tu jeszcze jest. Słyszając mój głos, kobieta zdejmuje okulary, unosi rondo słomkowego kapelusza i mruży oczy w słońcu. Wstaje z leżanki, ale raczej mnie nie rozpoznaje. Podwija sukienkę i podchodzi bliżej. Kiedy dzieli nas odległość kilkunastu metrów, zatrzymuje się.

– Myślałam, że powiedziałyśmy sobie już wszystko. – Wyraz jej twarzy z zaciekawionego przechodzi w strapiony, a może nawet nieprzyjazny.

– A ja myślałam, że wymusiła to na pani córka, która chce coś przede mną zataić. Czy to o bluzę chodzi?

Słyszając to, kobieta sztywnieje. Ściąga kapelusz i wachluje się nim. Odchyła głowę i drugą ręką zakłada kosmyk włosów za ucho.

– Nie rozumiem...

– Nie chcę pani nachodzić, ale trudno jest mi ułożyć właściwy obraz sytuacji, gdy zamiast prawdy zbieram wykluczające się nawzajem strzępki informacji. Stawką jest moja rodzina, dlatego nie odpuszczę. Nie mogę! – Ostatnie zdanie wykrzykuję. – Według innej wersji Ada miała przekazaną mi przez panią ostatnio bluzę jeszcze na tydzień przed swoją śmiercią. Która z nich jest prawdziwa?

Kobieta podchodzi do płotu. Jest w niej pewna rezygnacja. Opiera ręce na drewnianych sztachetkach. Moją uwagę przykuwa skóra jej dłoni – jest zniszczona, sucha, szorstka i spękana, pewnie od pracy fizycznej, hektolitrów detergentów i wybielaczy. Stoimy przez dłuższą chwilę i wpatrujemy się w siebie, może nawet wzajemnie oceniamy – ja ją, a ona mnie.

– Skłamałam – wyznaje kobieta z westchnieniem. – Ale to nie ma żadnego związku z Moniką.

– Więc z kim?

– Z Erykiem, moim synem. Ada i on od jakiegoś czasu się spotykali.

– Byli parą? – podchwytuję.

Na twarzy kobiety pojawia się smutny uśmiech.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Chyba źle to ujęłam. Eryk nie potrafiłby pokochać dziewczyny.

Nie naciskam. Zdaje się, że wiem, co chce mi powiedzieć. Zachęcam ją, by mówiła dalej.

– Ada faktycznie nie dała mi tej bluzy. Zostawiła ją tutaj, w łazience Eryka, krótko przed swoją śmiercią.

– Dlaczego od razu nie powiedziała mi pani prawdy?

Kobieta patrzy mi prosto w oczy, a jej spojrzenie staje się przenikliwe. Zupełnie, jakby w ten sposób, bez użycia słów, chciała odsłonić przede mną część prawdziwej siebie. Może to naiwne, ale w tej chwili jej wierzę.

– Bo chciałam chronić swojego syna. Bałam się, że wyciągniesz pochopne wnioski.

– Niech mi pani pozwoli zrozumieć.

– Tamtego wieczoru Ada przyjechała do nas na rowerze. Wielokrotnie widziałam ją rozgorączkowaną. Ale wtedy była jakaś inna, roztrzęsiona i zdesperowana, a to zdarzało się jej niezwykle rzadko. Nie miała w zwyczaju histeryzować, chyba że w grę wchodziła naprawdę podbramkowa sytuacja, z którą sama nie mogła sobie poradzić. Ada była twardzielką. –

Kąciaki oczu matki Eryka unoszą się, a na jej ustach pojawia się nieśmiały uśmiech. – Chciała zobaczyć się z moim synem. Zgodziłam się, bo bałam się zawrócić ją w tym stanie do domu. Chciałam ją zatrzymać, by powiadomić waszych rodziców. Co było zresztą dość ryzykowne. Twoja matka o tej porze częściej bywała pijana niż trzeźwa, a ojciec, no cóż... Kiedy wracał wieczorami do domu, też lubił sobie golnąć. Zadzwoiłam do nich. Odebrała twoja matka i niespecjalnie się tym wszystkim przejęła. W każdym razie stanęło na tym, że Ada miała tamtą noc spędzić w moim domu. Ale tak się nie stało. Uciekła.

– Nadal nie rozumiem...

– Kiedy tu przyszła, miała we włosach połamane gałązki i mech, rozciętą rękę, a ubranie zabłocone. Wyglądała, jakby faktycznie się przewróciła. Ale kiedy wychodziła... – matka Eryka robi pauzę – wyglądała inaczej. Znacznie gorzej. Jakby została pobita.

– Dlaczego jej pani nie zatrzymała?

– Nie było mnie przy tym. Ada wymknęła się, myśląc, że nikt jej nie widzi. Ale widziała ją Monika. I uprzedzając twoje kolejne pytanie: nie, nie powiedziałam o tym ani policji, ani tobie, bo w kontekście zarzutów stawianych Erykowi to tylko pogorszyłoby jego i tak beznadziejną sytuację.

– A może chciała go pani chronić, bo sama wierzyła w jego winę?

Kobieta stanowczo potrząsa głową.

– Mój syn nie uderzyłby Ady. Nigdy nie podniósł ręki na żadną kobietę. – W jej głosie brzmi niezachwiana pewność. – Choć oczywiście i w mojej głowie rodziły się wtedy pytania.

– A co na to wszystko Eryk?

– Nic z niego nie wyciągnęłam. Twierdził, że Monice się przywidziało. Byłabym skłonna pomyśleć to samo, bo Monika i Ada niespecjalnie się lubiły. Tylko że potem znalazłam aparat Eryka w nietypowym miejscu – ukryty w szufladzie, pod projektorem, a w środku niewywołany film... Zniosłam kliszę do fotografa. Ada. Tylko ona była na tych kilkunastu zdjęciach. Ona i jej okaleczone ciało.

ADA

18 grudnia 1998, późny wieczór

Obtarta w kilku miejscach skóra, oblepiający mnie brud, skradziona ze skrytki kaseta, zdeptane myśli o przyjaźni. Nie mam pojęcia, które z nich przytłaczają mnie najmocniej, kiedy podjeżdżam pod dom Eryka. Wiem, że zarówno mój wygląd, jak i późna pora wzbudzą podejrzenia pani Marianny, jego matki, jeśli to ona otworzy drzwi. Ale jest mi wszystko jedno. Opieram rower o schody i wchodzę na ganek. Ocieram rękawem twarz, z kącika warg zlizuję zaschniętą łzę, otrzepuję bluzę i przyglądam ręką włosy. W ten sposób próbuję doprowadzić się do względnego porządku.

Drzwi otwiera mi jednak ktoś inny. To Monika. Nie lubię tej cwanej grubaski z długim jęzorem. Wkurza mnie ona i świta jej koleżaneczek, małych, wścibskich intrygantek, takich samych jak ona.

– Czego chcesz? – pyta Monika i krzyżuje ręce na piersiach. Swoim tłustym cielskiem zagraża mi drogę.

– Zobaczyć się z Erykiem.

Monika parska śmiechem.

– Wal się. – Wyciąga przed siebie grzbiet zaciśniętej pięści i pokazuje mi faka. – Jest prawie dziesiąta. Chyba nie myślisz, że cię wpuszczę?

– Bądź tak miła, przesun się i odpierdol, okej?

Napieram ciałem na przejście, nieproszona, rzecz jasna. Ręka Moniki ląduje na mojej piersi i mnie odpycha.

– Kto to? – pyta z głębi korytarza ochrypły kobiecy głos.

Chwilę później w przejściu pojawia się matka Eryka i Moniki. W oliwkowym szlafroku, z turbanem na głowie

i szklanką parującego mleka w dłoni roztacza wokół siebie aurę przyjemnego domowego ciepła. Mierzy mnie czujnym wzrokiem, a ja w mig odczytuję jej myśli. Ubłocone ubranie, rozczochrane włosy i rana na ręku. Tak, to właśnie ja. Patrząc na mnie, nietrudno wyciągnąć odpowiednie wnioski.

– Wszystko w porządku? – pyta, w jej głosie słychać troskę.

– Tak. Ja tylko... – Gorączkowo staram się wymyślić jakieś wiarygodnie brzmiące kłamstwo. – Ja tylko przewróciłam się na rowerze tuż za zakretem. – Wskazuję na ciemność rozlewającą się wokół nas. – Mogę zobaczyć się z Erykiem? To bardzo ważne. Chodzi o nasz szkolny projekt – dodaję z przekonaniem.

– Akurat! Kłamczucha! – wykrzykuje mi Monika w twarz, a potem podskakuje, jakby właśnie została porażona moją ściemą. Jej twarz staje się purpurowa. – Przecież oni nawet nie chodzą do jednej klasy!

– To na fakultet – wchodzę tej małej zdzirze w słowo.

Pani Marianna jest kochającą matką, inną niż moja, musi więc wyczuwać moje kłamstwo. Mimo to, ku niezadowoleniu tej gówniary, wpuszcza mnie do środka, a ją odsyła do pokoju.

– Chcesz się umyć? Pójdę po plaster i zajmiemy się twoją ręką – proponuje.

Nie protestuję, choć w kontekście tego, co zamierzam wkrótce zrobić, doprowadzenie mnie do ładu jest zupełnie bez sensu. Ale zgadzam się, bo potrzebuję choć odrobiny czułości, namiastki troski. Tak, wiem, jestem jak zdesperowany szczeniak przybłęda, który łasi się do byle kogo, by wymusić chwilę pieczyoty. Trudno. Przecież tak na dobrą sprawę właśnie nim jestem – bezpańskim psem. Wchodzę do znajdującej się za pierwszymi drzwiami łazienki, a zaraz po mnie zjawia się tam matka Eryka. Opłukuję twarz pod strumieniem ciepłej wody i, siedząc na krawędzi wanny, pozwalam kobiecie najpierw odkazić rękę, a potem nakleić na nią plaster i owinąć ją bandażem. Zdezynfekowana rana

piecze, ale przynajmniej czuję się czysta i zadbana, nawet jeśli dotyczy to tylko skrawka mojego ciała.

– Zadzwońię do twojego taty i poproszę, żeby po ciebie przyjechał – głos pani Marianny brzmi przyjaźnie, ale zdecydowanie. Kobieta zwija niewykorzystany bandaż, wkłada go do apteczki i wsuwa ją do szafki.

Na wspomnienie o ojcu nieruchomieję.

– Nie ma go. Znów jest w terenie.

W terenie.

To słowo klucz, które najczęściej oznacza, że mój stary pieprzy na boku jakieś małolaty w ekskluzywnym burdelu albo w przydrożnych krzakach. Zależy, na którą z tych opcji aktualnie go stać. Niestabilność, także ta finansowa, to jego drugie imię. Pani Marianna wie o wszystkim. Nieraz była świadkiem awantur i libacji odbywających się w naszym domu. Kiwa głową, jednak bez przekonania. Myślę, że w ten sposób przymyka oko na moje kolejne kłamstwo. Albo tylko udaje.

– Może chcesz zostać na noc? – proponuje. – Powiadomię twoją mamę.

– Niestety nie mogę – oznajmiam, spuszczać wzrok. – Muszę rano zaprowadzić Nelę do przedszkola.

Kobieta kładzie ręce na biodrach i patrzy na mnie z ukosa, marszcząc brwi. To chyba oznacza, że wyczerpała się jej cierpliwość do moich kolejnych łgarstw.

– Ada, nie mogę pozwolić, żebyś wracała sama w nocy. Musimy coś ustalić!

– Dobrze, zostanę – znów kłamię, byle tylko pani Marianna dała mi już spokój. – Powiadomię mamę. – Z kieszeni bluzy wyciągam swój telefon komórkowy i macham nim przed jej nosem.

– Świetnie. Daj mi ją potem jeszcze na słowo. W tym czasie zrobię kolację i pościelę ci łóżko w pokoju gościnnym. Zejdź potem na dół.

Z zabandażowaną ręką wychodzę na korytarz, skromny i najwyraźniej dawno nieremontowany. Wiem, że podobnie wygląda większość pomieszczeń w tym domu. Wypłacana nieregularnie przez mojego ojca marna pensja nie pozwoliła tej kobiecie zarobić na godne życie. A ostatnio jeszcze oszukał ją i zwolnił. Złamas. Jest mi za niego cholernie wstyd. Ale to się zmieni. Już wkrótce. Już ja o to zadbam. Wspinam się po skrzypiących schodach na pierwsze piętro, zostawiając na parterze krzątającą się w kuchni panią Mariannę.

Popycham uchylone drzwi z zawieszoną na nich czarną tabliczką. Ignoruję wydrukowany na niej komunikat *Private zone!! Keep out!!* i wchodzę. Zastaję Eryka leżącego na łóżku ze słuchawkami na uszach. Podchodzę bliżej i pochylam się nad nim, a w ciepłym świetle rzucanym przez lampkę projektora jego twarz rozpala się i gaśnie. Eryk ma na sobie tylko T-shirt i czarne bokserki. Spod jego cienkiej jak pergamin skóry przebija sieć fioletowych żył. Długie blond włosy, zwykle związane w kucyk, są teraz rozpuszczone i opadają mu niedbale na ramiona. Poza bujną czupryną jego ciało jest zupełnie pozbawione włosów. Wielkie błękitne oczy ma zmrużone, a rysy twarzy spokojne. W takich momentach Eryk wydaje mi się zupełnie nierzeczywisty. Jest jak odrealniona postać z gry komputerowej albo z filmu fantasy.

Zakumpłowaliśmy się już jakiś czas temu, kiedy Eryk wpadał do naszego domu w odwiedziny do matki, kiedy jeszcze u nas pracowała. Rozmawiamy na różne tematy, z pewnymi wyjątkami. Nie mówiłam mu o tym, jak zakończył się ten chory challenge na obwodnicy. Nie wie też, że tak naprawdę rozmawia z kimś, kto spowodował śmiertelny wypadek. Postawmy sprawę jasno – z morderczynią. Nigdy nie poruszyliśmy też pewnego delikatnego tematu. Od dawna podejrzewam, że Eryk jest gejem. Jego łagodny i subtelny styl bycia, sposób poruszania się i ubierania zdradzają wszystko, czego on sam boi się mi powiedzieć. A może wcale nie chodzi o strach? Może oboje, bez zbędnych słów, uznaliśmy po prostu, że wiemy i w pełni to akceptujemy. Eryk jest świetnym kumplem. I tylko to się liczy.

– Hej! – Dotykam jego ramienia i delikatnie nim potrząsam.

Wybudzony z drzemki Eryk zrywa się na równe nogi. Wielkie słuchawki zsuwają mu się z głowy i spadają na szyję, jak oplatający ją wąż boa. Patrzy na mnie tymi olbrzymimi zdziwionymi oczami, jakbym była zjawą i zaraz miała zniknąć.

– Co ty tutaj robisz?

– Musimy to przyspieszyć.

– O czym ty mówisz? – Przeciąga się leniwie i pociera powieki.

– O włamaniu do naszego domu – szepczę konspiracyjnie.

Twarz Eryka nagle tężeje. Podchodzi do uchylonych drzwi, wychyla głowę i rozgląda się po korytarzu. Nie zauważa tam nikogo, zamyka je z cichym kliknięciem. Kiedy odwraca się w moją stronę, na jego twarzy maluje się niepokój.

– Monika może nas usłyszeć. Tylko na to czeka. Przecież wiesz, jaka jest na ciebie cięta. – Przykłada palec do ust. – Mów ciszej. I od początku.

Siadamy na jego łóżku, obok siebie. Wąski skrawek błękitnego prześcieradła, zwinięty w kłębek koc i puste opakowanie po kasecie magnetofonowej to jedyne, co nas teraz od siebie dzieli. Biorę róg koca w rękę i miętoszę go w palcach. W ten sposób łatwiej będzie mi wyznać to, co zamierzam.

– Muszę się wynieść z Gdyni już teraz. Razem z Nelą. Mówiąc teraz, mam na myśli koniec stycznia, tydzień po swoich osiemnastych urodzinach.

Eryk odsuwa się ode mnie gwałtownie i siada na krawędzi łóżka. Posyła mi stamtąd ponure spojrzenie.

– Miałaś dać sobie czas do czerwca na uporządkowanie wszystkich spraw. Co jest grane?

Świadomość tego, co faktycznie wkrótce mnie czeka, jest jak dławiąca, czarna myśl.

– Wszystko jest nie tak – urywam, żeby nabrać powietrza. – Na dodatek Iga i Łukasz trzymają mnie w szachu. Nie pytaj, proszę, o co chodzi. Naprawdę lepiej, żebyś nie wiedział. A do tego dochodzi stały temat – ojciec i te jego szemrane interesy, za które zaraz beknie. Zalana w trupa matka. Wiesz dobrze, jak jest. Nie wyrabiam. Miałeś tak kiedyś, że czułeś się okrutnie samotny i pusty, zdradzony po kolei przez każdą z bliskich ci osób? Że nie potrafiłeś zmusić się do niczego innego, jak tylko do ucieczki?

Nie musi mi odpowiadać. Wiem, że nigdy nie czułem tego co ja. Owszem, nie miał łatwo, bo szybko stracił ojca, ale matka swoją miłością rekompensowała mu go z nawiązką.

– Masz przecież mnie – odpowiada nieśmiało.

– Wiem. I to się nie zmieni. Ale chodzi też o moje miejsce. Ty je masz, masz swoje korzenie. Te dobre korzenie i cel. A ja nie. Ja muszę go dopiero poszukać.

Eryk nieco się rozluźnia. Opiera się plecami o ścianę, a za głowę wkłada zaplecione dłonie.

– I jesteś pewna, że znajdziesz swoje miejsce gdzie indziej, z czterolatką przy boku?

Usiłuję wyobrazić sobie to miejsce, w którym mogłabym być szczęśliwa. To nie takie trudne. Spokojny ką, treningi synchro, dobre przedszkole dla Neli. Wymarzona weterynaria w weekendy, a w dzień praca. Kilka bliskich mi osób. Czy to serio aż tak wiele? Naprawdę nic więcej nie jest mi potrzebne do szczęścia.

– Ono gdzieś tam już jest – mówię i tęsknym wzrokiem spoglądam w okno, jakby to tam wyświetlał się obraz mojej kolorowej przyszłości.

– To brzmi... – Eryk przerywa, by znaleźć odpowiednie słowo. – Nie zrozum mnie źle, jakoś tak utopijnie. Ale jak to się ma do realiów? Co z maturą? Co z mieszkaniem? Co

z kasą na życie? Wiesz w ogóle, na co się porywasz? Taka dorosłość na serio to nie bajka.

Nieraz zadawałam sobie dokładnie te same pytania. Doświadczona własnymi wtopami z przeszłości wiem, że kierowanie się w życiu gniewem zwykle nie popłaca. Złe emocje są najgorszym doradcą. Ale mój plan to nie kolejny spontan, tylko dojrzewająca we mnie od dawna myśl – wreszcie konkretna, gotowa, odpowiednio uformowana. To, co zrobił w lesie Łukasz, było ostatnią kroplą, która przelała czarę goryczy.

– To są formalności, które da się załatwić – odpowiadam z przekonaniem. – Nauczanie indywidualne to już nie problem, a maturę zdam w normalnym trybie, w naszej szkole. Przecież dobrze wiesz, skąd wezmę pieniądze na pierwszych kilka miesięcy, zanim sama znajdę pracę. – Patrzę na Eryka wymownie.

– A co z twoimi starymi? To też tylko formalność?

Wzruszam ramionami.

– W całym tym syfie, w jakim się teraz taplają, będą mieli przynajmniej jeden problem z głowy.

Eryk przygląda mi się nieufnie, jakby zupełnie nie kupował tej mojej optymistycznej wizji.

– A jeśli nie? To, że na co dzień mają was w dupie, wcale nie oznacza, że tak po prostu pozwolą ci odejść, tym bardziej razem z Nelą.

– Nie znasz nas – wzdycham. – My naprawdę nie jesteśmy radosną rodzinką z okładki pisma dla kobiet. Mama, tata, dwie urocze córeczki. Obrazek przewiązany różową wstążeczką. Nigdy tak nie było – podkreślam. – A nawet jeśli, jak mówisz, w przypiływie chęci zatrzymania mnie i Neli, nas, czyli swojej własności, mój stary będzie chciał iść ze mną na noże, to dostanie to, o co się prosi.

Mówiąc to, myślę przede wszystkim o ukrytych przeze mnie dokumentach potwierdzających malwersacje, których ojciec się dopuścił. Mój wyjazd to idealna okazja, by wpłynęły

do prokuratury w trakcie procesu. Oczywiście stanie się tak tylko wtedy, gdy ojciec będzie chciał wejść mi w drogę. Nie jestem mściwa i jeśli da nam spokój, to nie będę starała się go pogrążyć. Kiedy odkryta przez matkę Eryka skrytka w ścianie biurka przestała być bezpieczna, zabrałam dokumenty z domu i ukryłam w opuszczonym budynku. Tym samym, w którym wykonywaliśmy swoje challenge. To nie jedyna karta przetargowa, którą będę miała przeciwko swojemu ojcu. W zdobyciu kolejnej liczę na pomoc Eryka...

– No dobra – wzdycha ciężko i powoli wypuszcza powietrze z ust. Znów ścisza głos. – Więc jak to widzisz w kontekście włamania? I co zmienia się w naszym pierwotnym planie?

– Tylko data, reszta zostaje po staremu. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia mamy całą rodziną wyjechać w góry. Zrobimy to wtedy. Zwykle i tak to ja zamykam drzwi na klucz. Tym razem tylko je przymknę. Konsola i figurka, które sprzedasz, by odzyskać pieniądze swojej mamy, są w salonie, na swoim miejscu. Biżuterię mojej matki znajdziesz w szkatułce pod łóżkiem w sypialni. Sprzedam ją i przeznaczę na nasz start. Mój i Neli. Szczegóły ustalimy na spokojnie jutro. Ale... – Wiercę palcem dziurę w kocu, w ten sposób zbieram się, by powiedzieć Erykowi coś, co mu się nie spodoba. – Dokumenty to nie jedyna rzecz, którą muszę mieć na wypadek konieczności wystąpienia przeciwko ojcu.

Nastaje między nami pełna narastającego napięcia cisza.

– Mów.

– Chcę być swoim własnym żywym dowodem, który przez kolejny tydzień będą oglądać inni.

Eryk wstaje z łóżka, podchodzi do okna i odwraca się do mnie plecami, jakby w ten sposób chciał odgrodzić się od mojego pomysłu.

– Nie kumam.

– Chcę spreparować dowody, które będą wskazywały na to, że jestem ofiarą przemocy domowej. Masz film w swoim

aparacie?

Eryk unosi ręce w geście poddania.

– Zaraz... Zaraz... Nie mieszaj mnie do tego. Nie wiem nawet, czego oczekujesz. Bo chyba nie tego, żebym cię pobił?

– Nie zrozum mnie źle. Nie zwałę winy na swojego ojca. Te foty mają być tylko kartą przetargową. W szkole zmyślę jakiś powód, choćby taki banał jak wypadek na rowerze, a zdjęcia wykorzystam dopiero wtedy, gdy sytuacja się zaogni. I wyłącznie jako straszak na mojego starego. Przecież nie oskarżę go o coś, czego nie zrobił. Nie jestem szajbuską...

Mina Eryka mówi, że wcale nie jest tego taki pewien.

– Ada, to jest chore.

– Jeśli nie chcesz, zrobię to sobie sama. Proszę jedynie, żebyś cyknął mi zdjęcia.

Eryk przechodzi przez pokój w milczeniu i otwiera drzwi na oścież.

– Wiesz co... Lepiej wracaj już do domu. Tam ochłoniesz.

Wstaję z łóżka, ale zamiast do wyjścia kieruję się do przylegającej do pokoju Eryka łazienki, zamykam za sobą drzwi i zaciągam zasuwę. Nie reaguję na jego pukanie. A tym bardziej na coraz natarczywsze prośby Eryka, żebym wyszła.

Nie mogę ryzykować. Muszę mieć starego w garści. Omiatam wzrokiem pomieszczenie i zatrzymuję go na połyskujących na ścianie błękitnych kafelkach. Wybieram jeden z nich, prostokątny dekor o wypukłym kwiatowym wzorze wkomponowany między lustro a umywalkę. Przesuwam po nim palcami, po jego wypukłościach, po twardej chropowatej powierzchni. Kiedy podnoszę wzrok, natrafiam na swoje odbicie. Z dziewczyny, którą do niedawna byłam, wojowniczką wytyczającą sobie nowe cele, został już tylko cień. Wszystko się spierdoliło, wszystko to, co sobie zaplanowałam dotychczas, poszło nie tak. W krótko przyciętych odbarwionych włosach, które miały być oznaką zmiany, buntu i mojej siły, wciąż tkwią leśne paprochy,

symbol kolejnej porażki. W czarnych pierścieniach pod moimi oczami odbija się zmęczenie i smutek. A to też nie ja. Na bluzie poza zaschniętą ziemią znajduję kilka kropli krwi. Zdzieram ją z siebie, ten cholerny dowód zdrady Igi, zostaje w samym podkoszulku. Z jednej strony czuję się pokonana – przez własną słabość, przez pokładane w niewłaściwych osobach zaufanie, przez popełnione błędy. Z drugiej strony wiem, że dawna ja nie całkiem jeszcze we mnie zgasła. Wciąż jest we mnie gniew, a w sercu wzbiera wola walki o lepsze życie, choćbym miała je osiągnąć takimi drastycznymi metodami jak ta.

Czasem cel uświęca środki. Zaciskam obie ręce na krawędzi umywalki i wbijam w nią paznokcie, czując pod opuszkami palców porcelanowy chłód. Odchylam głowę i biorę zamach. Uderzam. Powtarzam zamach, po którym nadchodzi jeszcze szybsze i głośniejsze pulsowanie w czaszce. Zderzenie ze ścianą jest jak moment niewiedzy. Nie chodzi nawet o ból, który jest bardziej znośny, niż się spodziewałam. To pewnie za sprawą adrenaliny. Przez krótką chwilę nie wiem po prostu, kim jestem ani gdzie się znajduję. Kiedy raz jeszcze spoglądam w lustro, obraz mojej twarzy podwaja się, unosi i na powrót opada. Mija kolejna chwila, nim wraca na swoje miejsce. Zauważam wtedy, że z prawego łuku brwiowego ścieka krew. To dobrze. Tego właśnie chciałam. Na początek. Czekam chwilę, aż w obitym miejscu pojawi się wypukły guz, a najlepiej dwa. Podnoszę bluzę z ziemi i wyciągam z niej scyzoryk, który przed wyjściem z domu zabrałam z szuflady. Wybieram najostrzejszy z nożyków i przeciągam jego ostrzem na skórze pod brodą, dość płytko, by ewentualna blizna nie zostawiła widocznych śladów na mojej twarzy. Potem rozmazuję krew na szyi. Tę samą czynność powtarzam na swoim ramieniu, powyżej łokcia. Kiedy kończę, otwieram drzwi.

Stojący pod nimi Eryk wpatruje się we mnie nieruchomym wzrokiem i z rozdziawionymi ustami. Chyba nie do końca wierzył, że to zrobię. Ten widok musiał nim wstrząsnąć.

– Tylko kilka zdjęć. Nie każ mi prosić kogoś innego. –
Patrzę mu w oczy błagalnie, ale on spuszcza wzrok i odwraca się ode mnie.

Podchodzi do swojej bieliźniarki, z górnej półki wyciąga aparat. Przez ten cały czas nie odzywa się do mnie ani słowem. Z bliska, z profilu, z daleka, przybliżenie obu ran. Takie ujęcia rejestrują kolejne klatki jego kodaka. Kiedy kończymy, Eryk odkłada aparat na swoje miejsce i w milczeniu wyciąga się na łóżku.

– Pójdę już – mówię, ale on nie reaguje.

Muszę się spieszyć, bo w każdej chwili do pokoju może wejść pani Marianna, by sprawdzić, czy zadzwoniłam do swojej matki. Proszę Eryka o ostatnią rzecz – o pożyczenie mi bluzy z kapturem, bo swojej nie chcę wkładać. Niechętnie zwleka się z łóżka, wyciąga ją z szafy i wciska mi w rękę, również bez słowa. Naciągam bluzę na siebie, zakładam kaptur, związuję go pod brodą i wyslizguję się z jego pokoju z cichym „przepraszam” na ustach. Nie wiem, czy Eryk mnie słyszy. Nie wiem, co sobie o mnie myśli. Schodzę po schodach tak ostrożnie, jak tylko potrafię. Czuję się rozgorączkowana i zlodowaciała zarazem. Po jednym z takich wybuchów chłodu przez moją głowę przetacza się spóźniona fala bólu. Z kuchni dolatuje mdlący zapach tostów, z przylegającej do niej spiżarni dobiega głos rozmawiającej przez telefon pani Marianny. Przez nikogo niezauważona, wymykam się z domu, wsiadam na rower i ruszam przed siebie.

LENA

31 lipca 2019 r.

– Co ty znów kombinujesz? – Niemal upuszczam telefon na podłogę, kiedy Julka zagląda mi przez ramię.

– A ty? Nie powinnaś być czasem w pracy? – Wodzę wzrokiem za przyjaciółką. Patrzę, jak wkłada lateksowe buty i poprawia upięty wysoko kok.

– Właśnie się szykuję – odpowiada. – Od rana w salonie nie było prądu, więc zaczynam dopiero za pół godziny. I mam dzisiaj tylko dwóch klientów.

Julka jest ewenementem wśród swoich kolegów z branży. Długoletnie leczenie immunosupresyjne odebrało jej szansę na spełnienie marzenia, którym było wytatuowanie własnej skóry. Ale jest też przede wszystkim wojowniczką i mistrzynią w swoim fachu. Niezrażona ograniczeniami, przelała swoją miłość do tatuaży na ciała innych, czym wypracowała sobie uznanie klientów i wysoką pozycję na rynku. Prowadzony przez nią od dwóch lat salon tatuażu plasuje się w ścisłej topce województwa, a na zabieg u Julii trzeba umawiać się z przynajmniej dwumiesięcznym wyprzedzeniem.

– Tylko nie zrób znów niczego głupiego, okej? – prosi i czujnie mi się przygląda.

– Idę na spotkanie z Morawską – odpowiadam, wsuwając telefon do kieszeni spodni. – Dzwoniła przed chwilą, a teraz jeszcze udostępniła mi lokalizację. Googlowałam ją.

Julka staje przed lustrem, prawą ręką przeciąga usta bordową szminką, lewą spryskuje włosy utrwalającą fryzurę mgiełką.

– Ehe. – Unosi czujnie brew. – No i gdzie to jest?

– Wygląda na to, że na Dickmana, przy tych starych magazynach.

Nieruchomieje ze szminką w ręku i niedomalowaną górną wargą.

– Żartujesz? – Patrzy na mnie z politowaniem. – Tam nic nie ma. Tylko puste magazyny i las. Po co miałyby się z tobą umawiać na takim zadupiu? To szczwana baba. Przecież nie odda ci tam kasy, nawet jeśli ją ma. Chyba tam nie pójdziesz?

Wzruszam ramionami.

– Mam ze sobą gaz, a w komórce odpalę dyktafon, żeby ją nagrać – przekonuję Julkę, nim sama zdąży sobie ten plan wyperswadować. – Dobrze wiem, że Morawska nie przekaże mi tej kasy.

– To po co ci to wszystko?

– Chcę po prostu złapać tę sukę na jakimś kłamstwie. I mieć ją dzięki temu w garści.

– A co, jeśli to ona ma podobne albo jeszcze gorsze plany wobec ciebie? Albo jeśli naśle na ciebie jakichś zbirów?

Wrzucam ładowarkę do torebki, sprawdzam, czy są w niej klucze i dokumenty. Niezrażona marudzeniem Julki, zaczynam szykować się do wyjścia.

– Nie odważy się mnie tknąć, w najgorszym razie postraszy mnie i każe mi się wynosić – tłumaczę Julce. – W zasadzie na to liczę. Na groźbę, którą wypowie głośno i wyraźnie. I na to, że uda mi się ją zarejestrować. Z taką kartą przetargową będzie mi łatwiej wymusić na niej przynajmniej jakieś wyznanie.

Julka wzrusza ramionami.

– Wiem, że i tak zrobisz po swojemu – wzdycha. – Daj mi po prostu znać, że wszystko okej, jak już wrócisz.

– Gala jest o dziewiętnastej na Wójta Radtkego? – zmieniam nagle temat.

Odpowiada mi lekkim skinieniem głowy. Nominowana w konkursie na Gdyński Galion Roku w kategorii „przedsiębiorczość” Julka i jej salon mają całkiem spore szanse na wygraną. Wiem, że jej stonowany dystans wobec wyników konkursu to tylko pozory. Po cichu liczy na wyróżnienie, które pomogłoby wywindować jej interes, a także na finansową nagrodę, którą będzie mogła zainwestować w modernizację lokalu. Jeśli chcę ją wspierać podczas wieczornej gali rozdania nagród, muszę się teraz pospieszyć.

– Będę na czas – obiecuję.

– O ile ta cała Iga wcześniej cię nie załatwi – mówi Julka pół żartem, pół serio i wychodzi.

Do spotkania z Igą pozostało czterdzieści minut. Czytam jej zdawkową wiadomość od nowa. Nie ma w niej żadnych ukrytych wskazówek ani pikantnych wyznań, tylko adres i skopiowane z Google Maps współrzędne lokalizacji. Równie dobrze Julka może mieć rację, że spotkanie jest tylko zastawioną na mnie pułapką.

Nie chcę wpaść w paranoję, więc postanawiam po prostu uwierzyć, że będzie na odwrót, że to ja przyłapię Morawską na gorącym uczynku. Czekam jeszcze kilka minut, po czym też wychodzę. Zamykając drzwi na klucz, za plecami słyszę pospieszne kroki na schodach. Znam ten ich charakterystyczny rytm.

Kiedy się odwracam, wpadam na Kalinę. Trzyma w ręku papierowy rulon. Jest inna niż zwykle. Rozsadza ją energia, którą tak często w sobie tłumi, szczególnie w szkole. To jest ukryta, przechowywana tylko na szczególne chwile radość. Czuję, że teraz chce się nią ze mną podzielić.

– Udało się! – wykrzykuje, wciskając mi rulon w rękę. Jej oczy błyszczą. – Ojciec przekonał matkę. Od września przenoszę się do plastyka. Oceny powinny wystarczyć, moje portfolio też niby zrobiło na dyrektorze wrażenie. Jestem właśnie po wstępnej rozmowie – mówi jednym tchem.

Przyciągam Kalinę do siebie i przytulam. Liczyłam na to, że jej rodzice w końcu się opamiętają. Niczego więcej nie pragnęłam dla tej dziewczyny poza tym, by widzieć ją właśnie taką, spełnioną i szczęśliwą. Nareszcie we właściwym miejscu.

– To supernews! – Wypuszczam ją z ramion i mierzwię jej włosy. – Jestem z ciebie dumna.

– Tato mówi, że chciałby, aby i tak udzielała mi pani prywatnych lekcji. Zgodzi się pani? – pyta Kalina i patrzy na mnie wyczekująco.

– Jasne! Wpadniesz potem, pogadamy, jak wrócić? – Kątem oka zerkam nerwowo na zegarek, bo naprawdę nie chcę się spóźnić.

Kalina kiwa z przekonaniem głową.

– I jeszcze to. – Wskazuje na rulon, który przed chwilą wcisnęła mi w rękę. – To w podziękowaniu, że mogłam panią nachodzić. Ale i z tym już koniec. – Dziewczyna unosi prawą rękę jak świadek składający w sądzie przysięgę. – Mam już swoje klucze.

Rozwijam rulon i ze wzruszenia rozsypuję się na milion maleńkich kawałeczków. Na olbrzymim arkuszu papieru widnieje namalowany akwarelami portret, wiernie oddane rysy mojej twarzy, w którą wkomponowane są symboliczne elementy – jedna z moich rzeźb, migawka z niedawnego wernisażu, morze i szkoła. Ta dziewczyna wie, jak trzymać pędzel w ręku, wie też, jak znaleźć odpowiednią perspektywę i proporcje. A przede wszystkim potrafi tchnąć w obraz swoją własną wrażliwość, a wraz z nią życie.

Ocierając ukradkiem łzę, otwieram drzwi mieszkania i odkładam rulon w korytarzu. Od razu jakoś mocniej wierzę, że każda koszmarna bajka może w pewnym momencie mieć punkt zwrotny, a dzięki temu i lepszy finał. Z tą myślą wyruszam na spotkanie z Morawską.

Poziom adrenaliny, który podskoczył mi niedawno po telefonie Igi, teraz gwałtownie się obniżył. Zastanawiam się,

czy aby nie zwariowałam. Posępne, przytłaczające pustostany na Oksywiu nie zapowiadają niczego dobrego, są co najwyżej smętnym wspomnieniem dawnej industrialnej świetności. Miejscem, w którym teraz swobodnie czują się już tylko żule, małolaty albo takie mendy jak Morawska. Tym, co martwi mnie jednak najbardziej, jest zasięg mojego telefonu, który coraz częściej tu zanika. Jedna kreska albo jej zupełny brak. Stoję od kilku minut pod zardzewiałą bramą, czyli w ustalonym miejscu, ale Morawskiej nadal nie ma. Dopiero chwilę później telefon dzwoni, a na wyświetlaczu pokazuje się zastrzeżony numer. Przesuwam po nim palcem i odbieram połączenie.

– Jestem na miejscu – oznajmia Morawska, ale jakość połączenia jest tak słaba, że ledwie słyszę jej głos.

– Stoję pod bramą, tylko że nikogo tu nie ma – wykrzykuję, ale po drugiej stronie rozlega się jedynie jakiś chrzęst, a potem zapada cisza. Mimo kilkukrotnych prób nawiązania połączenia z kilku różnych miejsc nie udaje mi się ponownie złapać zasięgu.

Przybliżam raz jeszcze wysłaną mi przez Morawską wirtualną pinezkę wskazującą miejsce naszego spotkania. Wtedy dociera do mnie, że spieprzyłam sprawę. Stoję pod drugą z bram, tą niewłaściwą. Wściekła na siebie, przesuwam palcem po ekranie i zatwierdzam nowo wyznaczoną trasę, według której od docelowego miejsca dzieli mnie trzyminutowy spacer. Okej, to tylko prosta droga wzdłuż płotu. Ruszam przed siebie, mijając po drodze kolejne dwa pustostany. Wyglądają kiepsko: wybite na wszystkich trzech kondygnacjach okna, odpadający tynk, ściany zamalowane zwisającymi ku ziemi albo prężącymi się kutasami, trafiającymi w rozwarte waginy. Ewidentny fetysz jakiegoś grafficiarza. Te i inne ślady pozostawili tu po sobie bezdomni i szukające guza dzieciaki. Dokładnie takie jak moja siostra i jej paczka sprzed dwudziestu lat.

Docieram do celu, do położonej od strony lasu bramy, na której zawieszony jest gruby łańcuch spięty metalową kłódką. W założeniu ma pewnie bronić dostępu do jedyne

używanego tu jeszcze jako magazyn budynku. Pomysł z kłódką wydaje się kompletnie nietrafiony, bo w oddalonej ode mnie o kilkanaście metrów sztachecie płotu jest olbrzymia wyrwa, przez którą z łatwością można się przedostać na drugą stronę. Wzdłuż ogrodzenia rozpościera się przerzedzony las – sosny i kilka starych, rozłożystych dębów. Rozglądam się w poszukiwaniu Igi po całym terenie, po obu stronach płotu, ale Morawskiej tam nie ma.

Zaczynam mieć złe przeczucia. Opieram się o bramę, a z torebki wyciągam telefon, by spróbować po raz kolejny się z nią połączyć. Zza moich pleców dobiega metaliczny zgrzyt. Odwracam się i rozglądam po znajdującej się za płotem parceli. Zza drewnianej szopy wyłania się wielki czarny mieszaniec ze zwisającym u szyi pobrzękującym głośno łańcuchem. Ze zjeżoną sierścią, a przede wszystkim z dzikim błyskiem w oczach, wygląda na wściekłego. Każdy z tych sygnałów jest zapowiedzią jego ataku. Jeśli skuma, że może wydostać się na zewnątrz, to natychmiast mnie dopadnie. A to oznacza tylko jedno – muszę stamtąd wiać.

Od zaparkowanego na poboczu samochodu dzieli mnie najwyżej dwieście metrów. To i tak zbyt wiele, bym mogła dobiec do niego pierwsza, jeśli pies rzuci się za mną w pogoń. Zdaję się więc na instynkt, który kieruje mnie w stronę najbliższego schronienia, do lasu. Jest tak, jak przewidywałam – pies przedziera się przez dziurę w płocie, a następnie biegnie wprost na mnie. Przyspieszając, wyciągam z torebki atomizer z gazem, ale podczas nerwowej manipulacji przy odbezpieczeniu zawleczki rozpylacz pęka, wyślizguje mi się z ręki i spada na ziemię. Nie zawracam.

Wytrącona z równowagi, nieco zwalniam. Kilkanaście metrów dalej zwierzę zrównuje się ze mną, a zaraz potem jego zęby szarpią nogawkę moich spodni. Pierwsze szarpnięcie rozdziera materiał, a drugie – celniejsze – także moją skórę. Okolice kostki natychmiast rozsadza tępy ból. Biorę zamach, wyszarpuję się psu i trafiam butem prosto w jego pysk, w szeroko otwartą paszczę. Kopniak nieco go spowalnia, ale

tylko na krótką chwilę. Tyle musi mi wystarczyć, żeby zebrać myśli i w ostatniej chwili zmienić wcześniejszą decyzję.

Biegnę w stronę dębu rosnącego na niewielkim wzniesieniu poprzerastanym korzeniami, które rozchodzą się od pnia. Kładę się na brzuchu i wczołguję do wydrążonej między nimi nory jakiegoś zwierzęcia. Nie mam pewności, czy i tym razem pies nie pójdzie moim śladem. Ale dzięki mojemu niskiemu wzrostowi i raczej filigranowej sylwetce mam nad nim pewną przewagę. Przeciskam się przez największy otwór w poskręcanych korzeniach i przyjmuję pozycję „na żółwia”. Pięty przyciągam do pośladków, głowę kieruję do ziemi, oddycham zwrócona twarzą w dół. Przyciśnięta do ziemi zraniona kostka trze o kamień, a wtedy pulsowanie rozchodzi się od niej po całym kręgosłupie. Zaciskam zęby z bólu. Wciąż słyszę też za sobą groźny oddech i warczenie. Łapy psa ryją ziemię. Psu na szczęście nie udaje się dostać do środka. Stoi przed norą i ją obszczekuje. Liczę na to, że w końcu mu się znudzi i odejdzie albo zjawi się zwabiony jego jazgotem cieć. Przez dłuższy czas nic takiego się nie dzieje. Z kieszonki spodni wyciągam telefon, ale na wyświetlaczu nie pojawia się ani jedna kreska. Szlag by to!

Nie wiem, jak długo tu już leżę. W miejscu, gdzie do głosu dochodzi przytłaczający strach, czas płynie zupełnie inaczej.

Na zwirowej drodze w pewnym momencie słychać chrzęst kół. Chwytam za wystające z ziemi korzenie i podciągam się nieco wyżej, by móc się lepiej rozejrzeć. Oddalony od lasku o kilkanaście metrów, sunący po drodze samochód z początku widzę jako ciemnoczerwoną plamę. Kiedy mój wzrok na nowo przyzwyczaja się do światła, ta plama okazuje się służbowym samochodem Filipa.

Poznaję go po tym charakterystycznym logo naklejonym na drzwiach i masce. Wołam swojego chłopaka, ale mój głos brzmi głucho, przytłumiony szumem krwi w uszach. Zresztą jestem zbyt daleko – nie ma mowy, by mnie usłyszał. Coś innego daje mi jednak nadzieję na wydostanie się z pułapki – jadąc tą drogą, Filip musiał minąć mój zaparkowany na poboczu samochód. Dzięki temu wie, że gdzieś tutaj jestem.

Moje wołanie i coraz głośniejszy odgłos samochodu dezorientują psa. Przestaje ujadać, strzyże uszami, węszy, obraca się w stronę mijającego nas wozu. Myślę, że zastanawia się, czy ruszyć za nim w pogoń, czy dalej warować przy mnie. W końcu decyduje się na to pierwsze. Początkowo biegnie wzdłuż tylnego koła samochodu, a następnie wypada przed maskę, wciąż ujadając.

Przysuwam się jeszcze bliżej krawędzi mojego schronienia, zauważam, że Filip zwalnia, prawdopodobnie, żeby nie potrącić psa. Podjeżdża pod bramę, ale rozsądnie nie wysiada z samochodu. Czekam w ukryciu na dalszy rozwój sytuacji.

Po lasku rozchodzi się pulsacyjny, ostry dźwięk klaksonu Filipa, powtarzany kilkukrotnie. To on alarmuje starszego faceta, chyba stróża, który po chwili pojawia się na schodach magazynu. Dzieli nas zbyt duża odległość, bym mogła mu się dokładnie przyjrzeć. Ma ogorzałą twarz i nosi szary, roboczy kombinezon, a na ręce nasunięte ma czarne rękawice. Tylko tyle widzę. Schodzi na dół, wykrzykując coś w stronę samochodu. Nie słyszę, co dokładnie mówi, ale za pomocą gestów przywołuje zwierzę do siebie, a ono posłusznie daje się mu złapać i niemal natychmiast milknie. Widzę wychodzącego z samochodu Filipa, więc wyczołguję się ze swojej nory i utykając na jedną nogę, jakoś kuśtykam w jego stronę.

Filip patrzy to na mnie, to na moją kostkę, to na tego speszonego i gorączkowo przepraszanego nas ciecia. Tłumaczy, że to się przydarzyło pierwszy raz, zapewnia, że pies jest szczepiony, a poza tym nigdy dotąd nie zerwał się z łańcucha. Czuję, że za chwilę zemdleję, i tylko dzięki Filipowi udaje mi się utrzymać równowagę. Bardzo zdziwiony stróż, kręcąc z niedowierzaniem głową, pokazuje nam jeszcze przecięte metalowe ogniwo łańcucha. W końcu wraca z psem do magazynu.

Mam dość, muszę koniecznie usiąść. Oparta o ramię Filipa podchodzę do samochodu i wślizguję się na miejsce pasażera.

– Zawiozę cię do lekarza, a potem wrócę po twój samochód. Wtedy ustalimy, co dalej – rzuca Filip znad

kierownicy, ale nie patrzy mi w oczy. Jest zamysłony, ale chodzi raczej o rozgoryczenie albo rozczarowanie. Przecież go znam.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – pytam, sięgając po butelkę z wodą umieszczoną w schowku. Pociągam kilka łyków.

– Julia zadzwoniła do mnie, kiedy jechałem obwodnicą. Zamiast wrócić do domu, przyjechałem tutaj.

Dopiero wtedy zauważam, że mój chłopak ma na sobie białą wyjściową koszulę z wpiętą w nią szpilką z logo swojej firmy, a na tylnym siedzeniu leżą walizki i aktówka. No tak, jest wtorek, dzień jego powrotu z Krakowa. Niemal o tym zapomniałam, czuję się okropnie. Kiedy wsadza kluczyki do stacyjki, chwytam jego dłoń.

– Możemy porozmawiać? – pytam.

– Możemy, ale teraz jedźmy już – odpowiada sucho, wciąż na mnie nie patrząc. – Twoja noga naprawdę nie wygląda dobrze.

– Tylko pięć minut – naciskam.

Filip przekręca kluczyk w stacyjce, włącza klimę, ale samochód nie rusza z miejsca. Kojący strumień chłodnego powietrza owiewa moją twarz. Filip wychodzi z samochodu, otwiera bagażnik, grzebie w ukrytej pod plandeką skrytce i wraca z apteczką w ręku.

– Kiedy zamierzałaś mi o wszystkim powiedzieć? – pyta, uchylając drzwi. Kuca przy mnie, otwiera apteczkę, rozwija bandaż i kładzie go sobie na kolanie. Potem wyciąga płyn antyseptyczny i spryskuje nim gazik.

Zaprzeczanie czy udawanie idiotki nic nie da. Nie w sytuacji, w której w końcu zamierzałam wyznać mu prawdę, a przynajmniej tę prawdę o sobie, którą choć częściowo rozumiem. W mojej głowie są pewne obszary, wciąż rozległe i obce, do których sama nie mam dostępu.

– A może powinienem spytać: czy w ogóle zamierzałaś? I czym były nasze rozmowy przez ostatni tydzień? Te twoje radosne zapewnienia, że wszystko jest w porządku, że mało gadamy, bo siedzisz w ciemni, gdzie nie masz zasięgu, albo jesteś pochłonięta robotą? Te i inne kłamstwa. Ja je kupowałem jak ostatni dureń. A ty w tym samym czasie umawiałaś się z psycholami ze swojego drugiego życia, z których jeden zepchnął twój samochód z drogi, a drugi napuścił na ciebie tego kundla. O tym wiem. A pewnie i tak jestem w czarnej dupie, Lena... W czarnej dupie twoich kolejnych wcieleń, które przyjmujesz w jakimś tylko sobie znanym porządku.

Nachyla się nade mną i delikatnie ujmuje pogryzioną nogę w swoją dłoń. Czuję zimny zacisk palców na kostce, a potem nasączoną płynem gazę. Drażni moją skórę. Początkowe pieczenie jest niczym w porównaniu z bólem, który po zetknięciu płynu z raną staje się tak nieznośny, że wbijam paznokcie w fotel.

– Skąd wiesz? – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Julia mi powiedziała, w wielkim skrócie, kiedy prosiła, żebym sprawdził, czy nic ci nie jest. Nie mogła się do ciebie dozwonić. Zresztą ja też. Spytałem ją, co jest grane. Musiałem wiedzieć.

Wcale nie jestem rozczarowana zdradą Julki. Wręcz przeciwnie. Celowo powiedziałam jej o spotkaniu z Igą.

– O wiele bezpieczniej jest budzić strach niż miłość – szepczę, oblizując spierzchnięte wargi.

Zapada milczenie. Potem Filip nonszalancko wzrusza ramionami.

– Nie rozumiem.

– To Machiavelli. Z *Księcia* – dodaję ciszej. – Ten cytat przylgnął do mnie już dawno – dodaję niepewnie i zaciskam rękę na nadgarstku prawej ręki Filipa, powstrzymując go przed kolejnym przetarciem rany. Podnosi wzrok i patrzy mi w oczy, wpatrujemy się w siebie uporczywie.

– Robiłam to, bo walczyłam, by wreszcie poczuć siebie. Chciałam zrozumieć moją rodzinę, wydrzeć z nich ten kawałek prawdy o sobie, który zabrali do grobu razem z cholerną tajemnicą swojej śmierci. Chyba wtedy, jakoś przy okazji, dostrzegłam pewien schemat w obrazie swojego życia. Wcześniej nie potrafiłam spojrzeć na siebie w ten sposób. Ucieczka. Po niej kolejna. I jeszcze jedna. To był mój stały patent na przetrwanie. Pakowałam walizki, ten swój marny dobytek, i szłam dalej. Z każdą kolejną przeprowadzką stawałam się coraz bardziej zgorzkniała i obca. Tak było do niedawna, do momentu spotkania człowieka w przebraniu klauna. Zbierając odtąd wszystkie ślady pozostawione przez moich bliskich, rozumiałam, że po kolei opuszczali mnie wszyscy, dla których chciałam coś znaczyć. Na początek matka i ojciec, którzy niespecjalnie się mną przejmowali. A potem kochająca mnie siostra – pogubiony i samotny dzieciak, potrzebujący pomocy. A na koniec jeszcze ciotka, która odepchnęła mnie już pierwszego dnia – dopiero co osieroconą czterolatkę. Małe dzikie zwierzątko. Tak o mnie myślała, wtedy i teraz. Może jestem taka, bo podświadomie powielalam ten sam schemat. – Biorę głęboki wdech. Oczy Filipa nadal wpatrzone są we mnie wyczekująco. – Nie wiesz o mnie nic. Nie wiesz nawet tego, że w moim życiu przed tobą było wielu facetów, których w pewnym momencie zawsze zostawiałam.

– Czy o to chodzi? To właśnie chcesz zrobić? – pyta, spuszczać wzrok. Bierze bandaż i owija go wokół mojej kostki. – Chcesz mi powiedzieć, że właśnie odhaczasz kolejnego faceta ze swojej listy?

Potrząsam głową.

– Nie. Jesteś pierwszym, któremu o tym mówię.

Filip puszcza moją stopę, zamyka apteczkę i wstaje, opierając się o drzwi samochodu.

– To już coś – uśmiecha się smutno. – Nie związałem się z tobą dla ładnego opakowania. Ani dla nieskomplikowanej relacji. Już to mówiłem. Podobałaś mi się, bo byłaś inna.

– Czyli jaka? – pytam.

– Do tej pory spotykałem się z dziewczynami, które sprzedawały mi na starcie tę najlepszą wersję siebie. A potem zawsze okazywało się, że to była ściema. Ty zrobiłaś całkowicie odwrotnie. Staralaś się mi udowodnić, że straszna z ciebie jędza. A tak naprawdę masz wszystko to, czego nie znalazłem w nikim innym. Empatię. Determinację. Pasję. A poza tym umiesz wychodzić przed szereg. Mam wymieniać jeszcze?

Kiwam głową, czując się jak łasy na pochwały dzieciak.

– Uwielbiam podglądać, jak pracujesz, jak zagryzasz wtedy wargę i tworzysz, nie wiedząc nawet, jak seksowna się wtedy stajesz. – Na ustach Filipa pojawia się tęskny uśmiech. –
Lubię się potem z tobą kochać. Wtedy, kiedy się zupełnie zapominasz, stajesz się najprawdziwsza.

Patrzę na swojego chłopaka, na jego regularne rysy, na pełne dobroci oczy. W jego spojrzeniu kryje się wszystko, co jest mi takie obce – kochająca go rodzina, dobre dzieciństwo, spełnienie, jasne zasady, których się trzyma.

– To co teraz? – pytam.

Nie odpowiada. Oplata mnie tylko ramieniem i przytula, trochę zachowawczo. W tej chwili nie oczekuję niczego więcej. Żadnych słów i zapewnień, że jakoś to przetrwamy. Na moment wierzę, że w tym milczeniu kryją się wszystkie odpowiedzi.

ADA

24 grudnia 1998 r., noc

Dziś nie zmruję oka. Przewracam się z boku na bok, słuchając *Zombie* w zapętleniu. To nie tak, że chcę w ten sposób uzbroić się w furję. Jest dokładnie na odwrót – ten mocny rockowy kawałek pomaga nieco stępić moje własne ostrze, szczególnie w taką noc. Jestem tylko ja, odpalona w słuchawkach muza i moja przestrzeń, czyli wąski prostokąt łóżka i wpięty za pasek spodni walkman. Furtka do innego świata. Ale żeby nie wiem jak próbowała zapomnieć o tym, co wydarzy się za kilka godzin, świadomość nieodwracalnego i tak mnie dopada. Włamanie do naszego domu pociągnie za sobą lawinę zdarzeń, które wywrócą nasze życie do góry nogami. Ale przecież pokusa istnieje zawsze, obok radości, obok niebezpieczeństwa, obok strachu...

Zaciskam powieki i wyobrażam sobie siebie z tej wcale nie tak odległej przyszłości. To mgliste jeszcze wyobrażenie w pewnej chwili przybiera realny kształt pulchnej i ciepłej dłoni, wplecionej w moją własną. Podrywam się z łóżka i z głowy zsuwam słuchawki, odwracając się do stojącej przy łóżku siostry. Mój wzrok wyławia z mroku ledwie widoczny kontur jej ciała. Z błyszczącymi w ciemności oczami, w tej za dużej koszuli nocnej i z rozpuszczonymi włosami wygląda jak zjawą. Niby jest jak zawsze, mała często wślizguje mi się przecież pod kołdrę, kiedy starzy się kłóć, ale intuicyjnie czuję, że tym razem coś nie gra.

Z ich znajdującej się po drugiej stronie korytarza sypialni dobiega rumor. Jest inny, donośniejszy niż zwykle. Nie wrzeszczą na siebie, chyba nawet nie rozmawiają. Marszczę brwi, próbując wsłuchać się w hałas i w ten sposób zorientować się, o co tym razem chodzi. Ale zamiast słów

słyszę tylko głuchy łomot strącanych przedmiotów, może nawet przewracanych mebli.

– Coś się stało mamie i tacie – mówi mała jakby na potwierdzenie moich obaw i ciągnie mnie za rękaw. Wciska się pod moją kołdrę razem ze swoim ulubionym pluszakiem.

Hałas po chwili ustaje. Dzięki temu z ciszy wyławiam inne stłumione dotychczas, ale dobrze znane mi dźwięki. Są zbliżone do odgłosów, które nieraz sama wydawałam na chwilę przed utratą świadomości, kiedy kuciałam na dachu opuszczonego budynku z pętlą zaciśniętą wokół szyi. Krótkie urywane jęki i następujące po nich charczenie. Te dźwięki nie pasują do żadnej z dotychczasowych kłótni rodziców. Głaszczę małą po głowie, gorączkowo zastanawiając się, co się dzieje i co powinnam zrobić, ale w głowie mam tylko pustkę. Moje ciało jest tak samo zastygłe jak mózg.

– Co słyszałaś, skarbie? – pytam, tuląc ją mocniej w ramionach.

Odpowiada mi tylko jej przyspieszony oddech.

– Przypomnij sobie. To ważne – naciskam.

– Obudziłam się.

Nela pociera oczy zaciśniętą pięścią, do ust wpycha kciuk, robi to zawsze wtedy, kiedy się bardzo boi.

– I co było potem?

Skinieniem głowy zachęcam ją, by mówiła dalej. Wysuwam kciuk z jej buzi.

– Mama krzyczała...

– Co mówiła? Pamiętasz?

– Wołała pomocy. Kazała tacie się obudzić.

Kładę palec na jej ustach.

– Mów ciszej. A tato?

– Odłóż to! Odłóż to! – naśladowuje mała rozgorączkowany głos naszego ojca.

Patrzę na uchylone drzwi wychodzące na korytarz. Rozlewającą się za nimi ciemność rozjaśnia słabe światło rzucane przez zawieszzone na lustrze bożonarodzeniowe lampki. Tylko kilkanaście kroków dzieli mnie od sypialni naszych starych. Dobiegający stamtąd hałas cichnie, co wcale mnie nie uspokaja. Wręcz przeciwnie.

– Coś jeszcze? – pytam szeptem.

– Nie.

– Słyszałaś kogoś jeszcze poza mamą i tatą? Jakieś inne głosy? Nela potrząsa główką, a potargane od snu loki rozsypują się na jej ramionach.

Stało się coś bardzo złego. Czuję to. Kładę dłoń na ustach siostry i przeciągam po nich opuszkami palców w obie strony, od prawego do lewego kącika. To znak, który Nela rozumie bez słów. Stosowałam ten nasz tajny kod wielokrotnie, gdy przemykałam się z nią do ogrodowej altanki, by schronić się w niej, zanim kolejna awantura starych wymknęła się spod kontroli. Wiem, że dopóki jej na to nie pozwolę, Nela nie piśnie ani słowa. Naszym zwyczajem i teraz biorę siostrę na rękę, ale nie kieruję się w stronę ogrodu, lecz swojego biurka, by sięgnąć do leżącej przy nim kostki. Wsuwam rękę do kieszeni plecaka i przeszukując ją po omacku, wreszcie natrafiam na chłodną, metalową rękojeść swojego scyzoryka. To beznadziejna broń, ale pod ręką nie mam nic lepszego. Przeklinam w myślach wieczorną kłótnię z ojcem – wkurwiony za słabe wyniki testu z matmy, odebrał mi telefon i pewnie jak zwykle zostawił go w swojej sypialni. A bez telefonu nie będę w stanie wezwać pomocy.

Myśl, kurwa, myśl.

Ale mój stężały mózg jest wciąż zasnuty pajęczyną. Telefon stacjonarny ładuje się w bazie, w kuchni, jak każdej nocy. Musiałabym najpierw przejść obok sypialni starych, zbiec na dół i dopiero wtedy wszczać alarm. W głowie układam szybko wszystkie możliwe scenariusze, łącznie z wyobrażeniem sobie niefortunnej pomyłki Eryka, sięgającego pod łóżko śpiących rodziców w poszukiwaniu

szkatułki z biżuterią. Ale nie, to niemożliwe, żeby przyszedł za wcześniej i odważył się wejść do domu.

A więc kto dostał się do naszego domu?

Ktoś, kto wie, że jeszcze nie wyjechaliśmy.

Ktoś, kto wie, że śpimy.

Ktoś, kto wybrał tę porę celowo.

Dlaczego?

Nie chcę wiedzieć, ale zakładam najgorsze. Ostatnio wokół tego domu krąży zbyt wiele żądnych krwi sępów.

– Sprawdzę tylko, co się dzieje, a ty poczekaś na mnie w skrytce, dobrze? – mówię do siostry.

– Niiieeee chcęęęę... – grymasi mała. Leży przytulona do mojej piersi. Gdy podnosi na mnie swój zaspany wzrok, twarz owiewa mi jej gorący oddech. Kiedy otacza moją szyję ramionami, uczucia rozlewającej się czułości i strachu o Nelę wzbierają we mnie z jednakową siłą. Kąciki ust małej wygięte są w dół, a dolna warga drży. Znam swoją siostrę, więc wiem, że lada chwila wybuchnie płaczem. A wtedy nas wyda.

– To będzie jak zabawa w chowanego. Ukryjesz się tak, żeby nikt cię nie znalazł – przekonuję małą entuzjastycznie, ale żołądek mam zaciśnięty w ciasny supeł. Nela chyba wyczuwa to zdenerwowanie.

Muszę ją uspokoić i ukryć. Zadbać o jej bezpieczeństwo.

– Nie chcę – marudzi wciąż, trąc oczy. Ale na szczęście w jej głosie słyszę pewną uległość.

Mój pokój, tak jak wszystkie inne pomieszczenia w tym domu, jest dziełem samozwańczych architektonicznych wizji ojca. Jednym z jego pomysłów było osadzenie w pomieszczeniu dwóch par drzwi – jedne wychodzą na korytarz, drugie łączą pokój Neli z moją sypialnią. To przez nie przechodzę. Przemierzam na palcach oświetlony nocną lampką pokój siostry i podchodzę pod zamaskowane w tapecie drzwi. Podważam paznokciem popsuty od lat zamek,

otwieram skrytkę i delikatnie sadzam małą w środku na drewnianej podłodze. Nela nie rusza się z miejsca, po prostu przycupnęła we wnętrzu skrytki i stamtąd spogląda na mnie wielkimi oczami. Wygląda jak przestraszony kociak.

– Przyjdiesz po mnie? – pyta z nadzieją w głosie.

– Obiecuję – posyłam jej blady uśmiech. – Ale ty też musisz zrobić coś dla mnie.

Nela kiwa głową z przekonaniem.

– Nieważne, co zaraz usłyszysz. Co powiem ja albo ktoś inny. Może nawet krzyknę albo coś stłukę. Nieważne, kto będzie stał po drugiej stronie drzwi. Nikomu nie otworzysz ani nie odpowiesz. Nie, dopóki sama po ciebie nie wrócę, dobrze?

Nela milczy.

– Musisz mi to obiecać. Musisz tu zostać – oznajmiam dosadnie. Przytulam ją. – Nie będziesz tu sama – dodaję łagodniej i poklepuję wyleniałą łepetynę jej misia. – Kocham cię! – szepczę.

Dopiero wtedy słyszę, że się zgadza. Nie mogę przeciągać tego dłużej, zamykam drzwi i na wszelki wypadek zastawiam je krzesłem.

Od sypialni naszych rodziców dzieli mnie kilkanaście metrów i wąski pas korytarza. Z tłukącym w piersi sercem mrużę oczy, by wypatrzeć stojącą na jego końcu obcą sylwetkę albo, co daj Boże, walczących ze sobą po raz kolejny rodziców. Ale nic z tego. Z sypialni nie dobiega ani głos matki, ani ojca, niczego nie słyszę. W uszach dźwięczy mi tylko głucha cisza, jest jak zły omen. Przylegając plecami do ściany, przesuwam się w stronę sypialni, krok po kroku, dopóki nie dotrę do otwartych na oścież drzwi. Gdy zaglądam do środka, zamieram.

Najnowszy zakup matki, czerwony abażur, toczy się po dywanie, wprost pod moje stopy. Światło strąconej na podłogę lampki nocnej skierowane jest na leżącego na boku, ubranego w pasiastą pidżamę mężczyznę. Mojego ojca. Jego oczy są szeroko otwarte, wpatrzone w przestrzeń. Z rozchylonych ust

nie wydobywają się żadne słowa, a tylko słabe rżenie, okropne dźwięki należące już do innego świata. Po chwili i one cichną. Spadający na ojca kolejny cios dziurawi mu pierś w tym samym miejscu, w którym ostrze noża musiało już być zanurzone wcześniej, przynajmniej kilkakrotnie. Odwracam wzrok i przenoszę go na łóżko. Leży na nim moja półnaga matka, z obnażoną piersią i kroczem. Wygląda, jakby spała, jakby tylko ucięła sobie krótką drzemkę w tej swojej ulubionej srebrnej, niechlujnie włożonej podomce, śniąc koszmarne sen o nadchodzącym końcu. Jakby po prostu w nim zastygła. Przez jej szyję przechodzi głębokie poziome cięcie. Krew jest wszędzie – na pościeli, kołdrze, budziku, dywanie, podomce... pozostawione przez matkę ślady ostatniej, przegranej z kretesem walki.

Nie wiem, co zdradza moją obecność na korytarzu – krzyk, skrzypienie podłogi czy to, że nie mogąc złapać tchu, zaczynam się krztusić. A potem wymiotuję.

Stojący nad ojcem człowiek wciąż zaciska w rękach trzonek noża. Odwraca się w moją stronę. Ma na sobie czapkę baseballową z logo Lakersów i skórzaną kurtkę nabitą ćwiekami, a pod nią kolorowy T-shirt, na rękach lateksowe rękawice. W mdłym świetle żarówki jego twarz wygląda jak płonąca gniewem maska. Kiedy odwraca się w moją stronę, rozpoznaję jego twarz.

– Ada.

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie faktu – będziesz następna. To chciał mi powiedzieć.

Kiedy rzucam się do ucieczki, woła mnie kolejny raz. Zbiegając schodami, potykam się dwukrotnie. Niemalże spadam z półpiętra. W końcu docieram na dół. Zapalone lampki na choince udekorowanej przeze mnie i Nelę wczorajszego wieczoru rzucają na parkiet kolorową upiorną poświatę. Ale wytyczają mi też drogę prowadzącą przez salon do drzwi wyjściowych na taras. Z oddali widzę, że u Strużyńskich, naszych sąsiadów, pali się światło, a z komina wydobywa się rozedrgana smużka dymu. Oddycham z ulgą,

jeszcze nie śpią. Przebiegnę przez ogród i korzystając z ukrytej w płocie furtki, przedostanę się do nich. Nie tracę czasu na poszukiwanie telefonu, kieruję się wprost do celu. Zaciskam dłoń na klamce, niemal czując osiadające na mojej twarzy płatki śniegu, a wraz z nimi nadchodzący z drugiej strony płotu ratunek. Ale nie. Górny i dolny rygiel wciąż są zasunięte, a ja nadal tkwię w środku, po niewłaściwej stronie drzwi.

Uchwyt lodowatych palców nadchodzi znienacka, wbija się w moje ramię i obraca mnie jak marionetkę. Potem wszystko dzieje się tak szybko, za szybko, by pozostawić mi choć chwilę na zastanowienie, a tym bardziej na działanie. Zakrwawione ostrze noża, to samo, które wbijał w pierś mojego ojca, wielkie i szerokie o zwężającej się ku końcowi krawędzi, błyska mi przed twarzą. A potem spada na mnie i obraca się w mojej klatce piersiowej.

– Scyzoryk – szepczę sama do siebie, ale moje myśli się rozmywają. – Scyzoryk...

Moja dłoń reaguje, ale w zupełnie inny sposób, niż oczekiwałam. Scyzoryk wyślizguje mi się z rąk i spada na podłogę. Drugą ręką przyciskam szyję, jakbym w ten sposób chciała spowolnić galopujące tętno. Za późno... Miejsce, w które trafiam, jest już gorące i lepkie...

LENA

1 sierpnia 2019 r.

Wczorajszy wieczór skończył się parogodzinnym pobytem na SOR-ze: szycie rany, zastrzyki przeciwțężcowe, leki przeciwbólowe, chłodny dotyk lateksowych rękawic, antyseptyki aplikowane na ranę. Szpitalne kombo, które natychmiast ścięło mnie z nóg. Po powrocie do domu dowleklam się do łóżka i nim się zorientowałam, zasnęłam.

Nie dotarłam na galę, nie wsparłam Julki podczas jej triumfalnego, jak się okazało, wieczoru. Zgarnęła główną nagrodę w plebiscycie. Dowiedziałam się o tym przez telefon, półprzytomna od leków, w drodze powrotnej ze szpitala do domu. Nie widziałam się jeszcze od tego czasu z przyjaciółką, która po gali i afterze noc miała spędzić w hotelu. Na wieczór planuję przygotować dla niej niespodziankę, by zrekompensować jej swoją nieobecność. Zdałam sobie sprawę, że od jakiegoś czasu wszystko kręciło się wokół mnie. Chcę to naprawić.

Obudziłam się przed szóstą, wtulona w ramię Filipa. Okazało się, że i on nie przebrał się w pidżamę. Jego wymięta i przybrudzona koszula w niczym nie przypominała tej, w której widziałam go wczoraj. Po raz pierwszy od dawna, a raczej po raz pierwszy w ogóle, mój chłopak wydał mi się przyjemnie szorstki i brudny, idealnie do siebie pasowaliśmy. Zanim wymknął się do swojego mieszkania, by zmienić ubranie przed wyjściem do pracy, wymógł na mnie pewną obietnicę. Nie protestowałam. O dziwo i w tym byliśmy zgodni. Po południu mamy pójść na komisariat, by złożyć zawiadomienie o próbie popełnienia przestępstwa. Chodzi oczywiście o Igę, o wczorajsze zajście. Czy ufam glinom? Nie. Od czasu wypadku na klifie tamta sprawa utknęła w miejscu. A przynajmniej o żadnym postępie nigdy mnie nie

poinformowano. Trudno w takiej sytuacji czuć się bezpiecznie. Nie wierzę w feralne zbiegi okoliczności. Ale mimo wszystko w tej sytuacji współpraca z glinami wydaje się jedynym sensownym rozwiązaniem.

Leżę na łóżku ze wzrokiem wbitym w sufit, nie mogę zasnąć od nadmiaru myśli i piekącego bólu w żołądku. To pewnie efekt leków przeciwbólowych, na które zawsze źle reaguję. Łatwiej mi zająć głowę ułożeniem planu rozmowy na komisariacie. A przynajmniej tak sobie tłumaczę chęć przeczesywania internetu w poszukiwaniu kolejnych śladów rodziców i siostry. Uparcie zamierzam zwrócić uwagę śledczych na podobieństwa łączące zabójstwo mojej rodziny z atakami na mnie, a przede wszystkim z Benjaminem, który w przeddzień swojej śmierci na oczach gości rozpoznał mnie na wernisażu i chciał ze mną porozmawiać. Tamto wydarzenie mogłoby stanowić pretekst do jego uciszenia, jeśli zabójca faktycznie był wtedy na sali. Jaki miałyby jednak powód? Tego na razie nie wiem.

Ostrożnie, żeby nie urazić nogi, schodzę z łóżka, siadam na fotelu, biorę laptop i zaszywam się z nim pod kocem. W trakcie przeglądania najświeższych postów na portalu trojmiasto.pl natrafiam na przedwczorajszą wzmiankę o aresztowaniu Jana S. – bezdomnego oskarżonego o zabójstwo Benjamin. Jakoś nie kupuję tej wersji o zemście. Nie w kontekście tych wszystkich zdarzeń. Następnie raz jeszcze przeglądam folder ze zgromadzonymi przeze mnie informacjami dotyczącymi zabójstwa mojej rodziny – skopiowane z artykułów zdjęcia, oględne fragmenty wypowiedzi rzecznika prasowego policji i prokuratora, wyrok sędziego skazujący Eryka na dożywocie. Fakty przytoczone w artykułach schodzą na dalszy plan, dominują sensacje dla czytelników nieustannie spragnionych afer. Kolejne hipotezy i domysły. To, co najważniejsze, znajduje się w aktach sprawy, do których wciąż nie mam dostępu.

Przeglądam zapisane na pulpicie zdjęcia. Moją uwagę przykuwa wizualizacja narzędzia zbrodni – tego, którego nigdy nie znaleziono. Widziałam te fotografie już wcześniej,

ale spojrzałam na nie tylko pobieżnie, chyba przez wzgląd na to, gdzie zaprowadziła mnie wtedy wyobraźnia. Podyktowała mi obraz, a właściwie kilkanaście wizerunków, na których ciała moich najbliższych leżały w różnych pozycjach, zawsze rozplątane – na podłodze, na łóżku, na kuchennych kafelkach, między kawałkami roztrzaskanych doniczek, w połamanych kwiatach. Tak, wyobraźnia prowadziła mnie właśnie takimi, okrutnie krętymi korytarzami.

Teraz jednak przyglądam się tej wizualizacji lepiej. Głębokie rany, zadane moim rodzicom i siostrze, wskazywały na precyzyjne ciosy ostrą klingą, prawdopodobnie nożem rzeźnickim lub myśliwskim – narzędziem, do którego użycia nigdy nie przyznał się Eryk. Uznano jednak, że zabrał go matce z kuchni, w której znajdowało się kilka profesjonalnych noży do obróbki mięsa. Kiedy ostrza żadnego z nich nie dopasowano do ran zadanych moim bliskim, uznano, że Eryk po prostu pozbył się noża. Znalezione na miejscu zbrodni odciski palców chłopaka, ślady jego butów, a także zastawione w lombardzie skradzione przedmioty i tak przesądziły sprawę. O tym też już wiedziałam. Nie znajduję w laptopie nic więcej, otwieram więc swój szary notatnik. Wertuję kartki, licząc na olśnienie albo choć jeszcze jedną wskazówkę, która nada moim myślom sensowny bieg. Na razie jej nie znajduję.

Żołądek po raz kolejny zaciska mi się w ciasny supeł. Zaglądam do kuchennej szafki, by zaparzyć miętę, która zwykle mi pomaga. Znajduję w szafce jedynie puste opakowanie po miętowej herbacie. Postanawiam zejść do osiedlowego sklepu oddalonego o dwa kroki od naszej kamienicy. Przebieram się w wygodny dres i ostrożnie wychodzę. W drodze powrotnej zaglądam do skrzynki na listy i wyciągam z niej plik kopert, pewnie rachunków, i reklam. W domu zaparzam sobie zioła. Przeglądam raz jeszcze korespondencję. Moją uwagę przykuwa jeden z listów zaadresowany do sąsiada spod siódemki, ojca Kaliny. Listonosz musiał omyłkowo wrzucić go do mojej skrzynki. Ale nie to mnie dziwi.

Jakub Andruszkiewicz

Kalina nie nosi nazwiska swojego ojca. Dobrowolska, właśnie tak dziewczyna się nazywa. Lecz i to w tej chwili nie ma dla mnie większego znaczenia. Chodzi o coś innego, o przelotne wrażenie, że przed chwilą nazwisko z koperty mignęło mi w notatniku albo na monitorze laptopa. A może dopada mnie już paranoja? Obracam kopertę w palcach, ale po nadrukowanym na niej logo sieci komórkowej wiem, że w środku znajdę tylko rachunek, czyli nic, co mogłoby stanowić jakąś wskazówkę. Kładę list na stole i wracam do sypialni, gdzie raz jeszcze kartkuję swój notatnik, strona po stronie. Wreszcie docieram do nazwisk ofiar tragicznych wypadków, do których doszło zimą i jesienią dziewięćdziesiątego ósmego. Lucjan Andruszkiewicz. Pediatria. Śmiertelna ofiara samochodowego wypadku na obwodnicy. Stracił panowanie nad kierownicą, kiedy usiłował wyminąć przebiegające przez drogę zwierzę. Taką informację na temat jego śmierci znalazłam w „Dzienniku Bałtyckim”. Odkładałam notatnik i odganiałam kłębiące się w głowie myśli, szukające i w tej historii jakichś powiązań. Najpewniej ten człowiek nie ma nic wspólnego z moją rodziną, a ja po raz kolejny niepotrzebnie skręcam w ślepią uliczkę. Waham się jeszcze przez chwilę, wiercę na taborecie z kubkiem w rękę, w końcu zabieram kopertę ze stołu i idę oddać ją swojemu sąsiadowi.

Otwiera mi Kalina ubrana w oversize'ową neonową koszulkę i różowe szorty. Jej policzek i drobne ręce ubrudzone są farbami tworzącymi na skórze miraż pastelowych kolorów.

– Hej – mówię, wręczając jej kopertę. – To dla twojego taty. Była u mnie w skrzynce.

– Aha – odpowiada dziewczyna, odbierając ode mnie list. – Dziękuję. – Ponieważ wciąż stoję w drzwiach, wydaje się speszona, bo zastanawia się pewnie, czego jeszcze od niej chcę. W zasadzie nie powinnam oczekiwać, że zaproponuje mi wejście do środka, ale moja ciekawość sięga teraz zenitu.

– Nie wiedziałam, że nosicie inne nazwisko – mówię, wskazując kopertę.

– No tak. – Wzrusza ramionami. – Tato nie jest moim biologicznym ojcem. Tamten nawiał, kiedy miałam dwa lata. To Kuba wychowywał mnie przez całe życie. To on jest moim ojcem.

Kiwam głową i w milczeniu robię krok do przodu, udając, że przyglądam się tkaninie wiszącej w korytarzu.

– Piękna – wzdycham z udawanym zachwytem, wskazując palcem na ścianę.

– To gobelin. Tato przywiózł go z Francji – podejmuje temat Kalina, ale wciąż niespokojnie przestępuje z nogi na nogę. Znam język jej ciała – reaguje w podobny sposób zawsze wtedy, kiedy nie wie, jak się zachować. Na ubrudzony farbą palec nawija kosmyk włosów. – On niespecjalnie lubi przyjmować w domu gości, a tym bardziej wścieka się, kiedy kogoś tu zapraszam bez jego zgody – tłumaczy. – Chodzi o jego hobby – dodaje enigmatycznie. – Nie każdy to rozumie. Ale – robi pauzę – raczej nie będzie miał nic przeciwko, jeśli wpadnie pani na chwilę. Zresztą jest jeszcze w pracy. – Uśmiecha się niepewnie, ale uchyla szerzej drzwi.

Właśnie na to czekałam.

Przekraczając próg mieszkania, zauważam, że przeciwległą ścianę zdobią jeszcze trzy mniejsze gobeliny, najwyraźniej tkane ręcznie, w posępnych szaroburych odcieniach. Przedstawiają sceny polowania. Mieszkanie ojca Kaliny jest lustrzanym odbiciem tego, które wynajmuję z Julką. Korytarz, dwa pokoje, kuchnia i łazienka, przestronne i wysokie. Ale wystrój tego wnętrza różni się od naszego – utrzymany jest w ciężkiej, przytłaczającej kolorystyce szarości, ciemnej zieleni i brązu. Pod dwoma antycznymi fotelami rozpościera się skóra zdarta z dzika z wyciętym na szyi niewielkim okręgiem, śladem po kuli, jak się domyślam. Na starej rzeźbionej komodzie znajdują się książki, porcelanowe figurki leśnych zwierząt i podłużny przedmiot zakończony czerwoną szybką – przypomina mi lunetę termowizyjną. Poza stojącym w narożniku metalowym wieszakiem i przymocowanym nad nim lustrem w korytarzu nie ma niczego więcej.

– Umyję tylko ręce i przyniosę coś do picia. Proszę! – szczebiocze Kalina i dwukrotnie podskakuje na palcach, jakby jej wyrzut sumienia zniknął wraz z moim wejściem do mieszkania. – Sok pomarańczowy będzie okej?

– Tak, idealnie – odpowiadam i wchodzę do salonu.

Na ścianach porozwieszane są rogi jeleni, łącznie kilkanaście sztuk, każde zamontowane na drewnianej tablicy, przybite do ściany wraz z czaszką. Wyschnięte poźółkłe kości i wgapiające się we mnie martwo oczodoły. Ten widok działa na mnie cholernie przytłaczająco. Odwracam wzrok i zawieszam go na jedynym wolnym od złych skojarzeń kącie – na stojącej w narożniku prostokątnej szafie pancерnej. Są nad nią zawieszane zdjęcia – kilka aktualnych, na których sportretowana jest dorastająca Kalina, i te starsze, nieco wyblakłe. Podchodzę bliżej, by móc lepiej im się przyjrzeć. Kilka z nich oprawionych jest w drewniane ramki. Przedstawiają uśmiechniętych ojca i nastoletniego syna. Dzieciak opiera się o kolbę dubeltówki o długiej, metalowej lufie, a mężczyzna czule oplata chłopaka swoim ramieniem. Obaj mają na sobie identyczny komplet w stylu kamo – kurtkę i spodnie. Starszy myśliwy nosi kapelusz z piórkiem, młodszy – baseballówkę założoną tyłem do przodu. Kątem oka dostrzegam wchodzącą do salonu Kalinę.

– To tato i dziadek. – Dziewczyna podchodzi do mnie i podaje mi szklanke z sokiem. Widzi, że przyglądam się jednemu ze zdjęć. I ona zawiesza na nim wzrok. Spogląda na nie z pewną nostalgią, może smutkiem.

– Twój dziadek jest myśliwym? – pytam, wskazując na starszego mężczyznę.

– Był. Nie żyje już od dawna.

– Od jak dawna? – dociekam.

– Zginął w wypadku dwadzieścia lat temu – wzdycha i pociąga ze swojej szklanki łyk napoju. – Dostał nocne wezwanie do chorego dziecka. Nie odmówił, chociaż mógł – co prawda prowadził w domu prywatny gabinet, ale matka

zadzwoiła do dziadka w nocy. Ale on taki podobno był, nigdy nie odmawiał, kiedy ktoś naprawdę potrzebował pomocy. Wracając wtedy do domu, stracił panowanie nad kierownicą...

– Lucjan. – Kiedy wypowiadam imię mężczyzny, Kalina podnosi na mnie czujny wzrok. – Twój dziadek miał tak na imię, prawda?

– Skąd pani wie? – pyta, marszcząc brwi.

– Leczył i mnie, kiedy byłam mała – kłamię, czując się z tym wstrętnie. Gdy potrząsam nerwowo szklanką, rozlewam sok. Spływa po mojej dłoni, kapie na podłogę. – A twój tato? On też poluje?

Kalina wybucha śmiechem.

– Wiem, wygląda na miłego urzędasza. Ale pozory mylą. – Dziewczyna nieco się rozchmurza i wskazuje na znajdującą się za nami pancerną szafę. – To sejf. Sztucer, półautomat i dubeltówka. Te i inne zabawki ojca, wszystko tam jest. Spokojnie – dodaje, widząc popłoch na mojej twarzy. – Są na legalu, pod kluczem. Nie mam nawet pojęcia, gdzie ojciec go trzyma.

Kolejne wypowiedziane przez Kalinę zdanie zagłusza zgrzyt przekręcanego w zamku klucza. W korytarzu pojawia się mój sąsiad w swoim zwykłym wydaniu. Grafitowy garnitur i czarna aktówka, a do tego blada wymizerowana twarz. W żaden sposób obraz spracowanego intelektualisty nie łączy się w mojej głowie ze światem zamordowanych i wypatroszonych zwierząt, których ślady widać w całym mieszkaniu. Odnoszę wrażenie, że łowiectwo to coś więcej niż zaszczipiona mu przez ojca pasja.

Coś wzmaga moją czujność i mój niepokój. Mam przeczucie, że ten człowiek ma coś wspólnego z tragedią, jaka dotknęła moją rodzinę. Na widok mnie wyraz jego twarzy się nie zmienia. Jest obojętny. Ale wyczuwam emanującą z niego wrogość.

– Pani Lena wpadła tylko na chwilę. Opowiadałam jej o dziadku... – tłumaczy się Kalina i kolejny raz nakręca kosmyk włosów na palec.

– W porządku.

Ojciec kiwa głową na powitanie i odwraca się do nas bokiem. Odwiesza marynarkę i wygładza białą koszulę. Uśmiecha się cierpko.

– Proszę się rozgościć – zwraca się do mnie, a potem przenosi wzrok na córkę. – Kochanie, podasz mi polisę ubezpieczeniową naszego mieszkania? Jest w górnej szufladzie bieliźniarki. Muszę na chwilę wyjść i jej potrzebuję – mówi i znika we wnętrzu drugiego pokoju.

Dopada mnie wtedy przecucie, graniczące niemal z pewnością, że coś tu nie gra. Ruszam w stronę wyjścia, ale zatrzymuję się w połowie drogi, bo przejście zagraża mi ojciec Kaliny. Jego oczy są puste, bez wyrazu, a zaciśnięte usta tworzą cienką poziomą linię. Z trzymanego pod pachą pokrowca wyciąga długą metalową dmuchawkę. Wygląda jak rozciągnięty flet zakończony dużym ustnikiem. Przykłada ją do ust i celuje nie we mnie, ale w odwróconą do niego plecami córkę. Wołam ją, ale jest już za późno. Wystrzelona z lufki strzykawka trafia dziewczynę w udo. Kalina zatacza się i osuwa na podłogę, uderzając ramieniem o parkiet. Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy, oblewa mnie zimny pot.

Pozostaję w poczuciu tego odrealnienia jeszcze przez kilka sekund, ale widzę, że z niewielkiego etui mój sąsiad wyciąga kolejną strzykawkę zakończoną pomarańczową lotką. Instynkt każe mi uciekać, ale nie mam dokąd – jestem w pułapce. Cofam się o dwa kroki i plecami trącam kłamkę. Wiem, dokąd prowadzą te drzwi. Między kuchnią a pokojem mojego mieszkania znajduje się łazienka. Tu jest tak samo. Obiema rękami chwytam współprzypadną Kalinę pod pachy i ciągnę w stronę oddalonej od nas o metr łazienki. Jej ciało jest bezwładne, a przez to cięższe, niż przypuszczałam. Kolejny wystrzelony z dmuchawy nabój omija moje ramię o włos, trafiając we framugę otwieranych nogą drzwi. Przeciągam

dziewczynę przez próg, zatrzasnę drzwi za sobą i zaciągam metalowy skobel. Robię to, nim ojciec Kaliny zdąży umieścić w dmuchawie kolejną strzykawkę. Czuję się w zamknięciu nieco bezpieczniej, wyrównuję oddech.

Układam dziewczynę na podłodze i drżącymi rękoma wyciągam z jej uda pustą strzykawkę. Widziałam kiedyś podobną, w środku był preparat działający usypiająco na zwierzęta. Delikatnie odginam głowę dziewczyny, kładę ją na boku i oglądam ślad – na szczęście jest niewielki i dość płytki. Ściągam z wieszaka ręcznik, nasączam go zimną wodą, przecieram nim ślad po igle i twarz Kaliny. Biorę w dłoń jej nadgarstek i sprawdzam puls. Wyczuwam go, choć dziewczyna jest nieprzytomna. Nie reaguje ani na moje słowa, ani na poklepywanie po policzku. Szperam w łazience w poszukiwaniu broni albo czegoś, co pomoże mi wydostać się na zewnątrz.

Stare dwuskrzydłowe okno wychodzi na podwórze. To najprostsza droga, żeby zaalarmować sąsiadów. Szarpię za klamkę, ale okno nawet nie drgnie. Przesuwam palcami po każdej ramie, wciskam paznokcie między ich krawędzie, próbując je podważyć. Niedawno pomalowane, jeszcze pachną świeżą farbą. Wygląda na to, że posklejała ramy ze sobą. Szlag by to! Rozglądam się, robiąc szybką kalkulację moich szans. Marnie to wygląda. Ojciec Kaliny ma do dyspozycji cały arsenał. Trudno nazwać bronią odłamek rozbitego lustro albo żyletkę. A tylko to tutaj znajduję. To, że mój oprawca w końcu wejdzie się do środka, jest tylko kwestią czasu – kilku, najwyżej kilkunastu minut. Nie sądzę, by wyciągnął którąś ze swoich dubeltówek – hałas natychmiast zaalarmowałby sąsiadów. Ale wcale mnie to nie uspokaja.

Nasłuchuję, trzymając się z dala od drzwi. Ciężkie podeszwy skrzypią na drewnianej podłodze, aż wreszcie się zatrzymują. Nie potrafię zlokalizować dokładnego miejsca. Zza drzwi dobiega przytłumiony zgrzyt otwieranego sejfu. Słyszę, że chyba wkłada gumowe rękawiczki. Znowu słyszę kroki, tym razem dokładnie wiem, gdzie się zatrzymuje. Przedostające się przez szczelinę pod drzwiami światło

blokują dwie czarne plamy – jego buty. Pod naporem jego ciała drzwi łazienki się uginają, a zaraz potem słyszę chrzęst podważanego zamka, szybkie i precyzyjne trafienia noża. Między drzwiami a framugą raz po raz błyska końcówka metalowego ostrza. Jeszcze chwila, a drzwi staną dla ojca Kaliny otworem. Wiem, co to dla mnie oznacza.

Ponownie podchodzę do okna, zaciskam obie dłonie na klamce i zapieram się kolanami o ścianę. Ciągnę. Cichy trzask wydobywający się zza okiennej ramy daje mi nadzieję. Przyciągam klamkę do siebie ponownie, z większą siłą. Okno opiera się jeszcze chwilę, aż wreszcie zgrzyta i puszcza. Uderza mnie fala letniego parnego powietrza, w którym unoszą się drobinki zdartej z ramy farby. Wychylam głowę na zewnątrz i wzywam pomocy jakimś obcym głosem. Nikt nie reaguje. Podwórze jest puste. Tylko para spłoszonych moim wrzaskiem gołębi porzuca swój kawałek bułki, wzbija się w powietrze i odlatuje.

Kalina. Muszę ją tu zostawić, by dać nam obu szansę. Nie czekając na pomoc, która równie dobrze może nie nadejść, podciągam na parapet najpierw jedną, potem drugą stopę. Wychodzę na pokryty blachą gzyms, trzymając się przytwierdzonej do elewacji rynny. Świeży szew na kostce daje o sobie znać. Musiał pęknąć, teraz albo chwilę wcześniej, kiedy zapierałam się nogą o ścianę, bo rana zaczyna krwawić, barwiąc opatrunek czerwonym kręgiem. To teraz i tak mój najmniejszy problem. Opierając się plecami o tynk, stawiam pierwszy krok. Moje mieszkanie znajduje się na przeciwległej ścianie, od uchylonego okna balkonu dzieli mnie kilkanaście metrów spaceru po wąskiej nagrzonej słońcem blasze. Strach, który mnie ogarnia, staje się tak paraliżujący, że na moment tracę oddech. By uspokoić głowę i rozedrgane ciało, koncentruję swoją uwagę na jednym punkcie, na zaparkowanym pod kamienicą volvo, a dokładnie na znajdującym się za tylną szybą białym pluszowym misiu. Daje mi to jakieś odrealnione poczucie bezpieczeństwa.

Stopa do stopy, wypracowuję sobie powolny, ale systematyczny rytm, zgodny z uderzeniami mojego serca –

dwa uderzenia, jeden krok i tak dalej. W końcu rytm i ja stajemy się jednością. Nie wiem, ile metrów gzymsu pokonałam, ale w którymś momencie pod palcami kończy mi się punkt oparcia. Odwracam się, by to sprawdzić, gdy uświadamiam sobie, że był to fatalny błąd. Że o czymś zapomniałam. To nie swój balkon mam za plecami, ale kuchenne okno sąsiada. Jest otwarte, wystają z niego rozczapierzone palce, które wbijają mi się w żebra. Tracę równowagę i grunt pod stopami. Tylko jedna sekunda, w której wszystko się kończy.

Epilog

Czternaście dni później

Podobno to brutalna śmierć ma ostatnie słowo. W jakimś innym świecie, gdzie Twój i moi bliscy wciąż byliby żywi, nie dopuściłbym jej do głosu. Ale akcja wymaga reakcji... Jeśli jedno złamie zasadę, drugie ma prawo odebrać to, co i jemu zostało wcześniej zabrane. To prawo odwetu. Kodeks Hammurabiego.

Wizyta w moim domu i wypytywanie Kaliny o jej dziadka przesądziły sprawę. Uświadomiły mi, jak niebezpiecznie blisko granicy poznania prawdy się znalazłaś. Skąd wiem?

Wszystko zaczęło się całkiem niedawno, w dniu Twojego wernisazu, dzięki mojej niczego niepodważającej córce. Kalina wróciła z niego podekscytowana, ale i pełna oburzenia. Ze szczegółami opowiedziała mi o dziwnym człowieku w przebraniu klauna, który popsuł Ci tamten dzień. Ta z początku niewiele znacząca informacja i lampka ostrzegawcza, która zapaliła się wtedy w mojej głowie, kazała mi wyostrzyć czujność.

A potem, zgodnie z moimi przewidywaniami, systematycznie pojawiały się kolejne wskazówki potwierdzające Twoją prawdziwą tożsamość. Nie kryłaś się z tym zresztą. Dzięki zainstalowanej przeze mnie przy dzwonku pluskwie z dobiegających zza drzwi strzępków rozmów raz po raz wyłaniały się Twoje kolejne plany. Z miłej, czynnej sąsiadki, a także ukochanej nauczycielki mojej córki, stałaś się siostrą morderczyni mojego ojca. Tą jedyną, która ocalała. Historia, jak widać, lubi zataczać koło. Do jakiego miejsca dotarłaś w swoim śledztwie po latach – czyżby do samego końca? Niewiedza – to jedna z rzeczy dopisanych ostatnio do listy tych, których żałuję.

Postąpiłem wbrew regule prawa, której zawierzyłem, a zgodnie z którą sprawiedliwość wyznacza sankcja równoważna ze skutkiem przestępstwa. Oko za oko, ząb za ząb. W myśl tej zasady powinienem był wtedy poprzestać na Twoim ojcu i Twojej matce. Nie zrobiłem tego. Po nich była jeszcze Ada i ten bezdomny. Rozpoznając Cię na wernisazu, stał się dla mnie śmiertelnym zagrożeniem. Dlaczego? Wystarczyłoby, że odkryłby przed tobą Twoją prawdziwą tożsamość. Niby nic, ale w kontekście skazania niewinnego chłopaka ryzykowalibyśmy zbyt wiele. Sam wiem najlepiej, że więzy krwi, tęsknota i emocjonalne zaangażowanie osieroconego dziecka w śledztwo na własną rękę mogą prowadzić w wiele niebezpiecznych miejsc. A w rezultacie do odkrycia prawdy. Nie mogłem dopuścić do Waszej rozmowy. Jednego tylko nie przewidziałem. I bez tego zaczęłaś grzebać tam, gdzie nie powinnaś. A w dodatku poruszałaś się zadziwiająco sprawnie w stronę właściwego zakończenia.

A początek? Twoja siostra, to od niej wszystko się zaczęło.

Nie znałem jej dobrze, chociaż chodziliśmy do tej samej szkoły. Nie interesowały mnie dziewczyny takie jak ona. Takie, które nie potrafią odnaleźć się ani w szkole, ani w życiu. Takie, które zamiast zdobywać, sieją wokół siebie zamęt i spustoszenie. Nie istniałaby dla mnie do teraz, gdyby pewnej nocy nie zechciała zabawić się w Boga i gdyby na swoją ofiarę nie wybrała mojego ojca.

Dopóki przyjaciel Ady któregoś dnia nie pękł i nie wyznał mi wszystkiego – tak po prostu – myślałem, że było tak, jak ustalili śledczy. Że mój ojciec zginął przez zwierzę i okrutny los.

Pamiętam tamten dzień – mroźne listopadowe popołudnie, trzaskającą pod butami skorupę lodu i powrót do domu z zajęć koła naukowego. Bledszy i mizerniejszy niż zwykle Kamil podszedł do mnie na przystanku autobusowym. Wcześniej nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. To chyba dręczący wyrzut sumienia rozwiązał mu język tamtego dnia. Opowiedział mi wtedy o okrutnej grze, którą zorganizowała Ada i w którą go wciągnęła. Rosyjska ruletka na obwodnicy. Tak nazywało się

wyzwanie, które wykonała Twoja siostra na oczach reszty – czyli Kamila, Igi i Łukasza, jej szkolnych przyjaciół. Zasady gry były proste. Pusta droga i ofiara – zaledwie tyle. Padło na mojego ojca. Ada miała stanąć i czekać na pierwszy nadjeżdżający z przeciwka pojazd. Wóz albo przewóz. Przegra swoje życie albo je wygra – rozwiązania były tylko dwa. W ten sposób miała sprawdzić, czy dopisze jej szczęście. Adzie się udało, mojemu ojcu nie. Wymijając ją, uratował jej życie, oddał za nią własne.

To nie tak, że chciałem zemsty – dałem Adzie kilka szans na zrehabilitowanie się, szans całkowicie niewykorzystanych. Mogła się przyznać, ale stchórzyła – mała, cholerna egoistka. Drugą jej szansą miał być Kamil, który obiecał mi złożyć zeznanie na policji. Ale i on stchórzył, wolał popełnić samobójstwo. Zrozumiałem wtedy, że to koniec szans na sprawiedliwość. Bez dowodów, bez przyznania się do winy Ada i jej świta nigdy nie mieli odpowiedzieć za to, co wtedy zrobiła. Ona mogła wieść radośnie to swoje żalosne życie, podczas gdy mój ojciec od dawna leżał w zimnym grobie. Trzecią, ostatnią szansę Twoja siostra dostała ode mnie, kiedy przyszedłem do Waszego domu – by dostać to, co mi się należało. Chciałem zabrać jej ojca i matkę. Miała poczuć tę samą rozpacz, którą czułem ja. Ale ona pojawiwszy się wtedy na korytarzu, nie pozostawiła mi wyboru.

Była bożonarodzeniowa noc. Co roku tego dnia jeździłem z ojcem po choinkę w ulubione miejsce naszych polowań – do lasku w Łężycach. Tamtego dnia wykradłem z garażu samochód ojca i stanąłem w tym samym miejscu co zwykle, przy kolejnym drzewku, które miałem zawieźć do pogrążonego w żałobie domu. Pomyślałem wtedy: w imię czego? W imię czego miałem być frajerem, który pozwala, by morderczyni jego ojca wszystko uszło na sucho? Pod wpływem impulsu zmieniłem swój plan.

Zamiast wrócić do domu, zabrałem z garażu kilka rzeczy, w tym nóż ojca, i przyjechałem pod Wasze drzwi, w miejsce, w którym po rozmowie z Kamilem byłem już wielokrotnie. Ze swojego punktu obserwacyjnego nieraz podglądałem

wracając do domu nocami Adę, a za dnia także i Ciebie, puszczonej samopas do ogródka.

Tamtej nocy drzwi frontowe Waszego domu nie były nawet zamknięte na klucz – odebrałem to jako znak, jako dane mi przez ojca pozwolenie, zachętę do działania.

Nie, nie czułem po wszystkim satysfakcji. Bo na pewno to chcesz wiedzieć. Potrójne zabójstwo nie pozostawia człowieka obojętnym. Sącząca się kropla po kropli toksyna zabija trzeźwą ocenę i osąd, ale jednocześnie uzależnia. Ten dręczący mnie przez wiele lat wyrzut sumienia kazał zacierać kolejne ślady, by chronić bliskich, którzy mi zostali. W szczególności Kalinę. I Tobie przez wzgląd na nią dałem szansę. Byłaś jedną z nielicznych osób w życiu mojej córki, która o nią walczyła. Ale, podobnie jak Ada, nie wykorzystałaś danej Ci szansy. Nie odpuściłaś nawet po moim ostrzeżeniu. Nawet wtedy, kiedy zepchnąłem Twój samochód z klifu.

Ten list nie równoważy wszystkiego, co stało się tamtej nocy w Waszym domu; nie jest też usprawiedliwieniem dla skazania Eryka, niewinnego chłopaka, który w celi odebrał sobie życie. Nie jest też moim sposobem na szukanie dla siebie odkupienia – teraz, na chwilę przed tym, co i dla mnie będzie ostateczne. Zależy mi wyłącznie na porządku, który już dawno powinien zostać zaprowadzony.

Niech Bóg mi wybaczy.

Znam niemal każde z tych słów na pamięć. Kilka godzin po wysłaniu tego listu Jakub Andruszkiewicz popełnił samobójstwo we wspomnianym przez siebie lasku – w miejscu, które wiązało się z ukochanym ojcem. Jego ciało z raną postrzałową klatki piersiowej i leżącą przy nim dubeltówkę znaleziono trzy dni temu, na zalesionej polanie, z której jako nastolatek co roku wycinał świąteczne choinki. Nie żył już wtedy od przynajmniej tygodnia. Najprawdopodobniej z tą samą bronią widziano go na klatce schodowej zaraz po tym, jak zepchnięta przez niego, spadła z gzymsu. Czy zszedł na dół, bo chciał się wtedy upewnić, że nie żyje, i ewentualnie dokończyć to, co zaczął w swoim

mieszkań? Czy raczej planował już ucieczkę i samobójstwo i właśnie wtedy się wymknął? Nie wiem. Pozostałe tajemnice Jakub Andruszkiewicz zabrał ze sobą do grobu.

Z całą pewnością nie odpowie za cztery zabójstwa i próbę morderstwa, chyba że – tak jak chciał – wyłącznie przed Bogiem. Prawo mówi, że postępowanie przeciwko zmarłemu sprawcy nie może zostać przeprowadzone. Ale list z przyznaniem się do winy może mieć znaczenie dla przywrócenia dobrego imienia Eryka i oczyszczenia go z zarzutów. Postępowanie sądowe zakończone prawomocnym orzeczeniem wznawia się, jeżeli po jego wydaniu pojawią się nowe fakty albo dowody, a takie, poza wysłanym do mnie listem, podobno znaleziono w sejfie w mieszkaniu Andruszkiewicza. To on zepchnął mnie z drogi – odkryty na terenie należącej do niego działki drugi samochód odpowiadał opisowi pojazdu, który wcześniej, po incydencie na klifie, wskazałam wraz z matką Eryka.

Procedura wznowienia śledztwa zostanie przeprowadzona także w sprawie spowodowania wypadku ze skutkiem śmiertelnym, którego ofiarą padł Lucjan Andruszkiewicz. W tym przypadku udowodnienie współwiny Idze i Łukaszowi nie będzie łatwe, ale nieposzlakowana reputacja pani dyrektor z pewnością na tym procesie ucierpi. Jestem pewna, że zdążyła zniszczyć obciążające ją nagranie z dyktafonu Ady, najpewniej już dwadzieścia lat temu. Ale pozostałe cztery kasety będące w posiadaniu policji też nie wystawiają pochlebnego świadectwa ani Idze, ani Łukaszowi.

Pytań, na które być może nigdy nie poznam odpowiedzi, jest więcej. Czy wiedziony prywatną zemstą Walczak zniszczył nagrobek mojej siostry w pierwszą rocznicę jej śmierci? Czy agresywny Łukasz miał coś jeszcze na sumieniu?

Najbardziej martwi mnie jednak Kalina. Kimkolwiek okazał się ojciec, w jej oczach pozostanie człowiekiem, który ją wychował i kochał. A taka więź jest silna, niemal nierozzerwalna. Nie wiem, dlaczego nie odpowiada na moje wiadomości. Być może obarcza mnie winą za śmierć ojca

albo, pogrążona w żałobie, musi przepracować smutek. Mimo wszystko staram się ostatnio nie myśleć i nie analizować zbyt wiele – mój mózg rozpaczliwie pragnie odpocząć od wydarzeń ostatnich tygodni.

Upadek z pierwszego piętra miał swoje konsekwencje, doznałam otwartego złamania kości piszczelowych. Podobno i tak miałam sporo szczęścia – udało mi się ochronić głowę i kręgosłup. Takie upadki są najczęściej śmiertelne.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni przeszłam trzy operacje zespolenia kości, a następująca po nich kilkunastotygodniowa rehabilitacja ma stopniowo przywrócić mi sprawność w nogach. To będzie długa i wyboista droga, okupiona niejednym zwątpieniem, niejedną ciężką chwilą.

Leżąc przez ten czas w szpitalnym łóżku, niemal całkowicie unieruchomiona, dostałam największą w swoim życiu lekcję pokory. Poza staraniami o stricte fizyczne postawienie mnie na nogi po raz pierwszy w życiu przechodzę intensywną terapię, która ma pomóc mi się uporać z własną głową. Często czuwają przy mnie bliscy: Filip i Julia, a w chwilach, kiedy na przemian traciłam i odzyskiwałam przytomność, była przy mnie także i siostra.

Nie wiem, na ile udało mi się ją poznać – tę dziewczynę pełną skrajności. Może zrozumiałam ją lepiej, niż ktokolwiek zdołał ją zrozumieć, kiedy jeszcze żyła.

Doktor Marta Gajewska, moja psychoterapeutka, uświadomiła mi, że nastolatki, takie puszczane samopas dzieciaki, narażeni na toksyczne oddziaływanie najbliższego otoczenia, nie zawsze są w stanie przewidzieć konsekwencje swoich działań.

Z dużym prawdopodobieństwem moja siostra odbiła sobie ten brak miłości w inny sposób. Kontrola Ady, przejawiająca się choćby w roli przywódczej dla jej paczki, opiece nade mną czy konsekwentnym wytyczaniu sobie sportowego celu, wynikała z potrzeby zamaskowania czającego się za tymi działaniami poczucia braku własnej wartości.

Za każdym razem, kiedy myślę o Adzie, myślę o dziewczynie uciekającej na oślep przed samą sobą. Wyobrażam sobie, że ją przytulam. Tak po prostu. Stoimy obok siebie i milczymy, wyjaśniamy sobie wszystko bez słów. Myślę wtedy o alternatywnej wersji jej życia, którego moja siostra już nigdy nie doświadczy. O tym, jak dorastając, mogłaby poznać wszystko to, czego ją pozbawiono.

A co ze mną?

Przez dwadzieścia lat przeobrażałam się w kogoś, kto nie był nawet zbliżony do mnie samej. Wymykając się wtedy nad ranem z domu, ja, czterolatka w pokrzwawionej koszuli nocnej, z pluszowym misiem pod pachą, musiałam po drodze natknąć się na ciała swojej matki, ojca, a wreszcie siostry, przeżywając trzykrotnie najgorszy z możliwych koszmarów. Nieleczony zespół stresu pourazowego zebrał w kolejnych latach swoje żniwo. Podobno ta decydująca o przetrwaniu część mojego mózgu utraciła z czasem całkowicie zdolność odczuwania przyjemności, miłości, radości i satysfakcji. Poza tym oduczyłam się budowania zdrowych relacji z ludźmi, by nie dopuszczać do głosu kolejnego cierpienia. W rezultacie po tych wszystkich latach pozwoliłam zdominować się frustracji, poczuciu winy i ciągłej nieufności.

Z pomocą Filipa i Julki, swojej sztuki, a także dzięki perspektywie wielomiesięcznej terapii uczę się powoli oswajać wszystkie swoje traumy.

Wciąż znam się z nimi lepiej niż z kimkolwiek innym – w końcu rosły w siłę przez cały ten czas, kiedy zamiast pomocy przyjmowałam kolejne ciosy – te zadawane mi przez innych i te, które zadawałam sobie sama. Jest i pewnie na zawsze utrzyma się we mnie pewna skaza. To te niewielkie draśnięcia, jakie pozostawiły po sobie moje doświadczenia.

Ale ostatnio rośnie we mnie determinacja do zamknięcia pewnego rozdziału w moim życiu. Od dawna było w nim zbyt wiele mroku.

Podobno zostaliśmy stworzeni po to, by płynąć środkiem strumienia, a nie po to, żeby stać na brzegu. Te słowa mogą

brzmieć w ustach osoby przykutej do łóżka jak kiepski żart. Ale tym większe jest we mnie pragnienie, by któregoś dnia znów wypłynąć na szerokie wody.

Trzymam w ręku swój własny kompas i wreszcie znam kierunek, jaki mi wyznacza. A przede wszystkim mam kogo chwycić za rękę, gdy znowu porwie mnie nurt.

Podziękowania

Tworzenie moich historii jest trochę jak nocny spacer po lesie w trakcie burzy. Z początku nie wiem, gdzie uderzy nowy pomysł albo kiedy i czy w ogóle uda mi się z tego pogrążonego w mroku terenu wydostać. ;) To przedzieranie się przez gąszcz własnych myśli i radzenie sobie z huraganem emocji. To zarywanie kolejnych nocy, podczas których rozsypuję tajemnice swoich bohaterów. Wystawiam ich wtedy na próby, rozbijam emocjonalnie, obarczam winą, ale czasami też tulę. Bardzo mocno... To także dopieszczanie ukończonego tekstu, a wreszcie oddanie gotowej książki w ręce czytelników. Wtedy zaczyna żyć tak naprawdę, w każdym na swój sposób.

Na tych poszczególnych etapach twórczych nie jestem sama. Wsparcie bliskich i życzliwych mi osób – rodziny, przyjaciół, znajomych, a później także czytelników, upewnia mnie w tym, że podążam właściwą ścieżką. A to z kolei daje mi poczucie szczęścia i spełnienia. Dobrze i bezpiecznie mi tu, na tej drodze, razem z Wami. To moje miejsce.

Dziękuję:

– Tobie, Mamusiu, za czułość, zrozumienie i Twoją bezgraniczną miłość. Za bliskość, nieustanne wspieranie mojej pasji i dzielenie ze mną wszystkich radości. Za wytrzymywanie moich „zawiech” i częstych lotów do drugiego świata. Za sprowadzanie mnie na ziemię, kiedy się tam zasiedzę i zapomnę, że jednak kiedyś trzeba przecież wrócić.

– Tobie, Sarso, za przyjaźń. Za wysłuchiwanie moich książkowych rozterek na każdym etapie pisania. ;) Za nasz twórczy przepływ myśli na fullu. Za przeżywanie ze mną

wszystkich radości i za wsparcie, kiedy czasem dopada mnie zwątpienie. Za Twoją siłę, kreatywność i dobroć. <3

– Tobie, Werciu, za Twoje niezachwiane zaufanie, wiarę we mnie, za wysłuchiwanie moich szalonych, spontanicznych opowieści i teorii, które wkładałam Ci do głowy, kiedy byłaś jeszcze bardzo małą dziewczynką. Za naszą siostrzaną bliskość, współodczuwanie i wygłupy, które pomagały mi złapać dystans i dobry humor. *Luv ya!!!*

– Tobie, Asiu, za nasze porozumienie, nawet bez słów. Za życzliwość, za nieustanne kibicowanie mi. Za szczere i dobre rady, za zaszczepianie książkowej pasji w Kubie. ;)

– Tobie, Ewelino (bookini.w.poscieli), za ogromny wzrusz, jaki miałam dzięki Twojemu wsparciu. Za Twoją wrażliwość, odwagę i słowa motywacji, do których wracałam nieraz, pisząc tę książkę, i które za każdym razem dały mi mnóstwo siły, szczególnie w chwilach zwątpienia. Za Twój kreatywny, prowadzony z pasją i zaangażowaniem bookstagram. <3

– Tobie, Moniko, za Twoją miłość do skrzywdzonych psiaków i walkę o ich lepszy los. Za Twoje dobre i odważne serce, empatię i za nieustanne wspieranie mojej twórczości. <3

– Tobie, Piotrze, za wieloletnią życzliwość, za rozmowy o książkach, za literackie rekomendacje, za wskazówki i cenne rady, które pomogły mi obrać swój własny kierunek.

– Tobie, Tomku, za cierpliwość i za wtajemniczenie mnie w niuanse działań policji. Za twoją fachową wiedzę i nieustanną chęć pomocy.

– Tobie, Marcinie, za optymizm, wsparcie, życzliwość i cenne rady.

– Tobie, Pawle, za życzliwość i twórczy przepływ myśli.

– Mojej Redaktor, Pani Małgosi, za pracę we wspaniałej, niemal rodzinnej atmosferze, za troskę o bohaterów i bieg zdarzeń, za profesjonalizm i serdeczność, za olbrzymie zaangażowanie w nadanie jak najlepszej formy ostatecznej wersji książki.

– Mojemu Wydawcy, za zaufanie, za wsparcie na każdym kolejnym kroku, za wiele wspólnych działań. Cudownie jest być częścią Waszej Rodziny.

– Bookstagramerom i blogerom książkowym, za Waszą książkową pasję i wsparcie mojej twórczości. Szczególne podziękowania kieruję do Natki (girlinthebooks), Dagmary (books.cat.tea), Joli (czytanie.na.platanie), Gabrysi (gabriela_setla_), Pauliny (thesmallest_puma), Magdy (tu.zabookowana), Oli (livremacabre), Małgosi (ladymargotpl), Zuzy (zuzamaniek), Agnieszki (__pinklife), Ani (tylkoskonczerozdial), Agnieszki (aga.bookish), Kasi (pani_ka_czyta), Sylwii (_bookini_), Dominiki (domiczytapl), Kingi (zaczytana.zolza), Natalii (prostymislowami), Asi (panda_zksiazka_), Ani (alonka_czyta), Agnieszki (alkanba), Martyny (foto.pajak), Eweliny (evelina.czyta), Kasi (kasia_i_ksiazki), Basi (_my_world_book_), Małgosi (malgorzata_love_books) i Kasi (herbatkowa.czyta).

Trójmiejskim lasom i chaszczom dziękuję za inspirację i wyciszenie. To głównie tam fabuła tej książki nabierała w mojej głowie właściwego kształtu. To tam do życia zaczęli budzić się bohaterowie.

Tobie zaś, Czytelniku, za ogromne wsparcie. Dzięki Tobie mogę robić to, co kocham najbardziej – tworzyć!

- [1] Uszyty z zielonego brezentu plecak, popularny w szkołach w latach 90. Kłapa kostki zwykle ozdabiana była napisami i naszywkami nazw ulubionych zespołów jej właściciela. „Kostka” w gwarze wojskowej to także nazwa tornistra będącego w wyposażeniu żołnierzy Wojska Polskiego do końca XX wieku.
- [2] Choker – opaska na szyję, która ciasno do niej przylega, podobnie jak obroża. Wykonana m.in. z linek, aksamitki, tasiemki lub sznurka. Zwana także dusikiem.
- [3] Grunge – określenie podgatunku rocka alternatywnego, który narodził się w Seattle. Największą popularność osiągnął w latach 90., kiedy trendy wyznaczały takie zespoły jak Nirvana czy Alice in Chains. Wizerunek artystów przeobraził się w modę będącą symbolem luzu. Główne jej cechy to niedbałość, mieszanie stylów i fasonów, ciężkie buty i zbyt obszerne ubrania, szczególnie swetry.
- [4] Merch – (z ang. *merchandise*) koszulki i inne gadzety dla fanów zespołu dostępne do kupienia na stronach internetowych kapel lub na straganie w trakcie koncertu.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz